

BANKI i FRANKI
Klient ma prawo
się mylić

CHWAŁA AMAZONII
Kościół na nowej
drodże życia

MICHAŁ HELLER:
Nauka nie odczaruje
świata. I dobrze

WŁÓCZYKIJ KULTURALNY
Co zobaczyć, czego słuchać, czym
się wzruszyć – jesienny przewodnik

Kraków 13 października 2019 nr 41 (3666) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

CZAS NA WYBÓR



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



2



KIELECKI

MIĘDZYNARODOWY

FESTIWAL TEATRALNY

TEATR
ŻEROMSKIEGO
W KIELCACH140
lat Teatru
w Kielcach22 → 28
PAŹDZIERNIKA
2019H I S Z P A N I A
P O L S K A
S Ł O W E N I A

fot. Paweł Topolski

23 października | godz. 19.00

SINESTESIA

reż. i wykonanie
Iron Skulls Co
(Hiszpania)W widowisku wykorzystuje się efekty
sceniczne i grę na emocjach.

Sanjoy Roy, THE GUARDIAN



fot. Monika Stolarska

22 października | godz. 19.00

BĄDŹ TAKA,
NIE BĄDŹ TAKA

scen. i reż. Joanna Satanowska

Teatr im. Ludwika Solskiego w Tarnowie

Koncertowa część spektaklu zadowoli
nawet bardzo wybredne ucho.

Beata Stelmach-Kutrzeba, NIEZALEŻNOŚĆ I MUZYKA



fot. Vicente R

25 października | godz. 19.00

BYĆ JAK BEATA

scen. Piotr Domalewski, Żeliszław Żeliszawski
reż. Magda Miklasz

Teatr Współczesny w Szczecinie

Mistrzowskie wykonanie za sprawą
połączenia sił twórczych
i pomysłowości realizatorów.

Mike Urbaniak, VOGUE



fot. Peter Uhan /Drenfa LJ, MGL, CD.

28 października | godz. 19.00

ZAPISKI Z WYGNANIA

na podstawie wspomnień Sabiny Baral
adapt. Magda Umer, Krystyna Janda
reż. Magda Umer

Teatr Polonia w Warszawie

Najważniejszy spektakl, jaki kiedykolwiek
firmowała Krystyna Janda.

Łukasz Drewniak

27 października | godz. 19.00

ILIADA wg Homera

adapt. Jernej Lorenci, Eva Mahkovic,
Matic Starina, reż. Jernej LorenciSNG Drama Ljubljana,
Mestno gledališče ljubljansko,
Cankarjev dom (Słowenia)Aktorzy traktują sytuacje rozgrywane się
na scenie jak drzwi do świata niemal
nieskończonych możliwości.

Andrew Haydon, THE GUARDIAN



fot. Katarzyna Kural-Sadowska

Dofinansowano ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.Dofinansowano ze środków
Urzędu Marszałkowskiego
Województwa Świętokrzyskiego.

Klub festiwalowy

Coffena Cafe
Łeśna 7, KielceDla widzów festiwalu
po okazaniu biletów
teatralnych – zniżki!

Patroni medialni



e-teatr.pl

FESTIWALOWI TOWARZYSZĄ
BEZPŁATNE WARSZTATY

TANECZNE

z hiszpańską grupą Iron Skulls Co
dla osób od 13 r.ż.,
zapisy pod numerem: 41 344 75 00

AKTORSKIE

dla uczniów z liceów partnerskich

Więcej informacji:

www.teatrzeromskiego.pl/2festiwal

KS. ADAM

Boniecki: Podróż do Amazonii

WOSTATNIĄ NIEDZIELĘ SŁUCHALIŚMY Biskupów aż dwa razy. List pasterski zapowiadał Dzień Papieski – omawiał jego hasło: „Wstańcie, chodźmy”, i kończył się zachętą do wsparcia Fundacji Dzieło Nowego Tyśiąclecia, zapewniającej stypendia dwóm tysiącom uczniów, stworzonej jako „żywy pomnik wdzięczności Janowi Pawłowi II” po pielgrzymce w 1999 r. Na końcu mszy św., w „Słowie przed wyborami parlamentarnymi”, przewodniczący Konferencji Episkopatu pouczał, że 13 października powinniśmy głosować na programy i osoby gwarantujące chrześcijańskim zasadom dotyczącym ludzkiego życia i rodziny respekt i pełną ochronę państwa.

No i zabrakło czasu, by wspomnieć o wydarzeniu, dzięki któremu ten dzień być może wpisze się w historię Kościoła.

W Rzymie rozpoczęło się zwołane przez papieża zgromadzenie specjalnego Synodu Biskupów dla Amazonii „Amazonia: nowe drogi dla Kościoła i na rzecz ekologii integralnej”. Synod będzie trwał do 27 października (piszemy o nim obszernie w dziale Wiara). Amazonia to obszar o powierzchni ponad 7 mln km² (dla porównania: Polska ma ponad 312 tys. km²), który rozciąga się na terenach Boliwii, Brazylii, Ekwadoru, Peru, Kolumbii, Wenezueli, Gujany Francuskiej, Gujany i Surinamu. Większość zajmuje amazoński las deszczowy – wilgotny las liściasty, największy i najbogatszy gatunkowo obszar na naszej planecie. Żyje tu 35 mln osób, w tym ok. 3 mln ludności rdzennej, należącej do 390 grup etnicznych (130 z nich w dobrowolnej izolacji od świata). Mówią 240 językami. Odwieczne lasy amazońskie od zeszłego wieku są systematycznie niszczone przez bezmyślną eksploatację. Dewastacja tego ekosystemu stanowi zagrożenie dla całego globu. Niszczenie Amazonii niszczy jej mieszkańców. Szczegółowy raport o dramatycznej sytuacji regionu i żyją-



cych tam ludzi otwiera synodalny dokument roboczy.

W tej perspektywie synod będzie debatował nad „nowymi drogami Kościoła”. Przygotowaniom synodu przyświecały idee bliskie Franciszkowi: wiara w „zmysł wiary” (*sensus fidei*) ludu, pragnienie oczyszczania Kościoła z tradycji niewywodzących się z Ewangelii, wychodzenie Kościoła do peryferii. Papież wierzy, że zainicjowane

wane tu zaangażowanie Kościoła w troskę o sprawiedliwość społeczną, o ekologię integralną i odklerykalizowane duszpasterstwo może być drogowskazem dla przeżywających kryzysy Kościołów w Europie.

Ten synod już w czasie przygotowań budził w kręgach kościelnych kontrowersje i obawy. Wyrażano zastrzeżenia co do niektórych propozycji. Kwestionowano zasadność wysokiej oceny duchowego bogactwa ludów Amazonii, ich (niechrześcijańskich) wierzeń i kultury oraz dopatrywania się w nich „nasion słowa” (*semina verbi*), refleksów jednej prawdy, które – jak pisał Jan Paweł II – „świadczą o tym, że na różnych wprowadzie drogach, ale przecież jakby w jednym kierunku postępuje to najgłębsze dążenie ducha ludzkiego, które wyraża się w szukaniu Boga, pełnego wymiaru człowieczeństwa, pełnego sensu życia”. Z niepokojem przyjęto ideę tworzenia amazońskiej liturgii i ewentualność udzielania święceń kapłańskich cieszącym się szacunkiem żonatym mężczyznom. Także sceptycznie traktowano odwołania do „teologii indiańskiej”, która miałaby zastąpić teologię wyrosłą z korzeni rzymskich i greckich.

Niepokoje są przedwczesne, bo dokument roboczy jest punktem wyjścia prac synodu, których konkluzje pełnią funkcje doradcze dla Ojca Świętego. Można jednak przypuszczać, że dla Franciszka ten synod będzie początkiem nowego etapu wędrówki nowymi drogami Kościoła. ©P

OSTATNIE DNI W SPRZEDAŻY!

**Głaszcz, dbaj, szanuj,
weź i czytaj!**

Tylko w sklepach z dobrą prasą.
E-book: powszech.net/ezwierzenia

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

12 Czas na wybór

Z JAROSŁAWEM FLISEM, POLITOLOGIEM I SOCJOLOGIEM, ROZMAWIA PAWEŁ BRAVO:
System, w ramach którego wybieramy Sejm, demoralizuje ludzi, ale uczy działania w procedurach.

16 Niezgoda buduje

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Sekretem nie jest przekonanie wszystkich do tego samego wyboru, lecz stworzenie przestrzeni, w której możemy się ze sobą nie zgadzać w sposób cywilizowany.

**32 Z tej ziemi**

MIROŚLAW WLEKŁY

W dorzeczu Amazonki Kościół katolicki wypierają wspólnoty protestanckie. Kryzysowi ma zaradzić synod.

36 Nowa droga zacznie się w Amazonii

ROZMOWA
Z O. KASPEREM
MARIUSZEM
KAPRONIEM,
MISJONARZEM
I TEOLOGIEM

**22 Bankowiec nasz pan**

MAREK RABIJ

Klienci, którzy w połowie zeszłej dekady chcieli po prostu kupić sobie mieszkanie, nie musieli wiedzieć tego, z czego zdawali sobie sprawę polscy bankowcy.

**28 Ciasna miłość**

ROZMOWA Z MARIĄ REIMANN, ANTROPOLOŻKĄ KULTURY:

Trzeba zacząć myśleć i mówić o niepełnosprawności jak o elemencie ludzkiego doświadczenia. Uznać, że to jest po prostu jedna z wielu cech, które ludzie mają.

**46 Małe miasto u granic Unii**

KAROLINA ANNA KUTA Z BOŚNI I HERCEGOWINY

Pole po wysypisku śmieci, wkoło góry, podobno z minami z wojny. Do obozu Vučijak bośniacka policja zwozi ujętych imigrantów. Aby nie psuli turystycznego klimatu.

84 Bunt, który cenię

Z JERZYM
JARNIEWICZEM,
PISARZEM
I TŁUMACZEM,
ROZMAWIA
KATARZYNA
KUBISIOWSKA:

Przeciw czemu się teraz buntuję? Choćby przeciw temu, że ludzie dzielą ziemię i mówią: to moja własność. Z tego brały się największe koszmary historii.



6 Protest na zgłiszczach PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ
ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA /
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Bankowiec nasz pan MAREK RABIJ

26 Cztery lekcje z czterech lat RAFAŁ WOŚ: Czego o sobie i polityce dowiedzieliśmy się od poprzednich wyborów?

28 Ciasna miłość ROZMOWA Z MARIĄ REIMANN

■ ■ WIARA

32 Z tej ziemi MIROŚLAW WLEKŁY

36 Nowa droga zacznie się w Amazonii ROZMOWA Z O. KASPEREM MARIUSZEM KAPRONIEM

40 Afera w Watykanie BARTOSZ HLEBOWICZ: Dlaczego Stolica Apostolska utrzymuje luksusowy gmach w Londynie?

■ ■ Z ODDECHEM

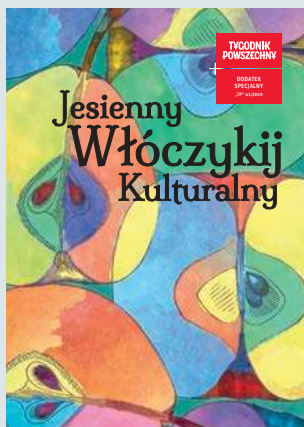
42 Świat nie został odczarowany ROZMOWA Z KS. PROF. MICHAŁEM HELLEREM, KOSMOLOGIEM: Stworzenie Wszechświata jest realizowaniem niezmiernie racjonalnego programu

■ ■ ŚWIAT

46 Małe miasto u granic Unii KAROLINA ANNA KUTA

50 Transylwański miks emocji JAKUB MEJER Z RUMUNII

DODATKI SPECJALNE



65 JESIENNY WŁÓCZYKIJ KULTURALNY

Od „Wilga Superbohatera” po „Dziady”.
Od „Sygnałów wojny” po „Wcielenia jelenia”.
Od jazzu po rap.
Wybraliśmy najciekawsze
wydarzenia kulturalne jesieni.
Piszą o nich Dariusz Kosiński,
Jan Błaszczak i Karolina Plinta.

98 NAGRODA CONRADA – NOMINACJE 2019

■ FELIETONY ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER

41 SZYMON HOŁOWNIA

64 WOJCIECH BONOWICZ

96 JAN KLATA 97 PAWEŁ BRAVO

106 STANISŁAW MANCEWICZ

106 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: MAREK ZALEJSKI

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

52 Zimna wojna w Azji Wschodniej

ROMAN HUSARSKI Z SEULU:
Japonia i Korea Południowa są
w najgorszym konflikcie od dekad

55 Krwawiąca Papua TOMASZ AUGUSTYNIAK Z MALEZJI

■ ■ HISTORIA

56 Ślad według Sehna PIOTR LITKA: Sędzia śledczy, Polak o niemieckich korzeniach, ruszył tropem Niemców-zbrodniarzy

■ ■ NAUKA

60 Opcja atomowa WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Przed katastrofą klimatyczną mogą nas uchronić działania metodami geoinżynierii. Nie są one ani tanie, ani przyjemne

■ ■ KULTURA

84 Bunt, który cenię ROZMOWA Z JERZYM JARNIEWICZEM

88 Sztuka sprzeciwu PIOTR KOSIEWSKI o wystawie „Nigdy więcej. Sztuka przeciw wojnie i faszystom w XX i XXI wieku”

92 Gram, jak mówię KAJETAN PROCHYRA: Aga Derlak, pianistka jazzowa, na scenach Nowego Jorku

94 Księżowski freestyle ANITA PIOTROWSKA o filmie „Boże Ciało” Jana Komasy

96 Pilch trzeci LEKTOR o książce Jerzego Pilcha „Żółte światło”

■ ■ ZMYŚŁY

100 Państwo słońca MICHAŁ MILCZAREK Z TURKMEŃSTANU: Aszchabadzki nadmiar i nieokreślone samouwielbienie kryły w sobie wielką pustkę

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➡ Woś się jeży

Film „Parasite”, nagrodzony Złotą Palmą w Cannes, pokazuje,
że kino może trafiać w punkt. Na jego tle nasi filmowcy fetowani
niedawno na festiwalu w Gdyni wydają się żyć na innej planecie
– recenzuje **RAFAŁ WOŚ** tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➡ Szpieg po dobrej stronie

FBI zamieściła na Facebooku serie reklam, które były adresowane do
rosyjskich szpiegów. Czy okazały się skuteczne? – **AGATA KAŹMIERSKA**
i **WOJCIECH BRZEZIŃSKI** wyjaśniają, jak działają relacje wywiadu
i mediów społecznościowych powszech.net/reklama-szpiedzy

Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](http://WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA_SWIATA)

f /TygodnikPowszechny ■ t /Tygodnik ■ i /Tygodnik ■ y YouTube /TygodnikPowszechny

A photograph of a man with a mustache and a dark cap, wearing a blue jacket over a grey t-shirt with the letters 'ONY TY U' visible. He is holding a large, round, yellow and red protest sign that features a black angry face emoji. In the background, a crowd of people is gathered in a city square at dusk, with the illuminated architecture of a historic building visible. A red rectangular box with white text is overlaid on the top right of the image.

OBRAZ
TYGODNIA

PROTEST NA ZGLISZCZACH

Decyzja ZNP o podjęciu strajku włoskiego po wyborach
to kolejny dowód na smutną prawdę:
nauczyciele zostali na placu boju sami.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

W WYPEŁNIONYM JUŻ PONAD MILION razy popularnym „Latarniku Wyborczym” – skonstruowanym przez Centrum Edukacji Obywatelskiej narzędziu służącym uzyskaniu lepszej orientacji, do którego komitetu nam najbliższej – wśród dwudziestu najważniejszych polskich spraw znalazło się miejsce na jedną dotyczącą edukacji. To poruszające, że pod stwierdzeniem: Należy ograniczyć zakres wiedzy teoretycznej nauczanej w szkołach na rzecz kształcenia umiejętności uczniów, podpisały się wszystkie biorące udział w ankiecie komitety – podobna zgodność wystąpiła jeszcze

tylko w dwóch sprawach (wysłania części urzędów centralnych poza Warszawę oraz utrzymania międzynarodowych sankcji na Rosję). Mowa o polskiej szkole publicznej, instytucji najbardziej bodaj od trzech dekad ze wszystkich skostniałej, odpornej na jakiekolwiek odważne zmiany, chyba że uznać za takowe nieustanne niemal remonty fasady tego próchniejącego w środku pod rządami kolejnych politycznych sił budynku.

Niech nas jednak ta zgodność partii nie zwiedzie: edukacja w dobiegającej właśnie końca kampanii wyborczej poważnie nie zaistniała. Konfederacja powtórzyła, że obecny

*Protest nauczycieli
na Rynku Głównym
w Krakowie,
kwiecień 2019 r.*

system publicznej oświaty należy zaorać, a następnie pozostawić wyrokom rynku. PiS rytualnie – zaczepiane z rzadka przez dziennikarzy – pochwaliło się podwyżkami dla nauczycieli, opozycja zapowiedziała podwyżki większe. Z rzeczy świeższych: PSL obiecało 5 godzin lekcji angielskiego od pierwszej klasy podstawówki (propozycja tyleż efektywna, co oderwana od rzeczywistości: to nie ilość, ale jakość i warunki, w jakich odbywają się lekcje języków, są problemem polskiej szkoły publicznej). Jeśli w ogóle uznać, że o cokolwiek się w tej niemrawej kampanii żarliwie spierano, to na pewno nie o szkołę. O ile władza się czymś chwaliła, to bardziej 500 plus niż wygaszeniem gimnazjów; gdy opozycji chciało się czymś postraszyć, to prędzej demontażem demokracji i zapaścią w służbie zdrowia niż podwójnym rocznikiem w liceach. O edukacji głównie milczano.

Nie może w tym kontekście dziwić decyzja Związku Nauczycielstwa Polskiego, by kolejną odsłonę strajku w oświacie rozpocząć już po wyborach (15 października), i to w formie – by tak rzec – radykalnie zlagodzonej. Tzw. strajk włoski, za którym opowiedziała się ponad połowa ankietowanych przez ZNP nauczycieli (chodzi o „nie wykonywanie pozastatutowych zadań”, czyli np. organizacji wycieczek), można uznać za eufemizm zastępujący słowo „kapitulacja”. Kapitulacja skądinąd zrozumiała: największym problemem zbuntowanego od wiosny tego roku środowiska nauczycieli nie jest wcale programowe lekceważenie ze strony władzy, ale brak wsparcia tam, gdzie można się go było spodziewać: opozycji, rodziców, społeczeństwa. Dodajmy do tego coraz wyraźniejsze podziały w samym środowisku nauczycieli: wśród wyników ankiet ZNP największe wrażenie robi statystyka odpowiedzi rzadziej w mediach cytowana: za kontynuacją strajku (w jakiegokolwiek formie) opowiedziało się 47 procent pytanych...

Tak oto w atmosferze ogólnego marazmu domyka się – także w sensie dogorywającego politycznego sporu – rekordowo bezsensowna reforma polskiego szkolnictwa. Po wyborach zostaniemy z bałaganem i sfrustrowanymi nauczycielami. W dodatku pozbawionymi ostatniego w najbliższych latach narzędzia, by wpływać na swój los. O losie szkoły z jej prawdziwymi problemami nawet nie wspominając. Naprawdę nietrudno sobie wyobrazić „Latarnika” A.D. 2023, 2027 lub 2031: pod dowolnym stwierdzeniem diagnozującym patologię polskiej oświaty podpisują się najspokojniej w świecie wszystkie partie. Wszystko zostaje po staremu. ©

KRAJ W SKRÓCIE

STAWKA WYBORÓW: WOLNOŚĆ.

„Musimy wygrać te wybory, bo stawką tych wyborów jest wolność” – powiedział Jarosław Kaczyński, a pod zdaniami tym mogłoby się wreszcie podpisać politycy wszystkich rywalizujących z nim partii.

DŁUGO RZĄDZI, DŁUGO MÓWI.

A jak już wygrają, premierem będzie nadal Mateusz Morawiecki. W wywiadzie dla TV Trwam prezes PiS wyraził nadzieję, że pobije nawet Cyrankiewicza (w czasach PRL stał na czele rządu w sumie 21 lat, a rzeczywistą władzę również sprawował ktoś inny). Na jedno pytanie prowadzącego Kaczyński odpowiadał blisko 11 minut.

ONA MÓWI KRÓCIEJ.

Podobne standardy są niemożliwe w TVP.

„Teraz ja mówię, człowieku” – powiedziała Magdalena Ogórek do goszczącego w tej stacji kandydata KO do Sejmu, który zarzucił prowadzącym program „szczucie na ludzi LGBT”, po czym wyprosiła go ze studia.



SEAWOMIR KAMINSKI / AG

ON MÓGŁBY NIE MÓWIĆ.

Nikt natomiast nie wyprosił z mównicy przemawiającego podczas konwencji Koalicji Obywatelskiej Lecha Wałęsy, kiedy określał zmarłego właśnie Kornela Morawieckiego mianem „zdrajcy”.

STAWKA WYBORÓW: WOLNE.

Jak wyliczyła

„Rzeczpospolita”, w kończącej się kadencji Sejm zebrał się 86 razy, podczas gdy za drugiej kadencji rządów PO zrobił to 102 razy, a za pierwszej – 100 razy. Spadła też liczba dni poselskich obrad: w tej kadencji było ich 233, w poprzednich – 287 i 294.

Jeszcze nie mają głosu



ADAM ROBIŃSKI

NA OSTATNIEJ PRZEDWYBORCZEJ PROSTEJ WALCZĄCE party przypominały sobie o środowisku. Kandydaci coraz częściej przepytani są z punktów programów, w których mowa jest o reagowaniu na katastrofę klimatyczną czy problem smogu. Ich uważna lektura pokazuje jednak, że to tematy wciąż traktowane ogólnikowo. Żadna z partii nie ma ani odwagi, ani wizji zaproponowania polityki, która ochronę przyrody traktowałaby serio. Nikt nie podnosi problemu drastycznego spadku bioróżnorodności i degradacji ekosystemów.

I tak PiS wciąż chce zrobić z Wisły i Bugu międzynarodową drogę wodną, mimo katastrofalnych skutków hydrologicznych, które ten ruch przyniesie. Autorzy programu partii rządzącej deklarują też, że w 2045 r. zalesienie kraju zwiększy się do 33 proc. Sęk w tym, że dokładnie taki udział lasów na połowę XXI wieku zaplanowano już w połowie lat 90. w krajowym programie zwiększania lesistości Polski. Deklaracja jest więc tylko potwierdzeniem stanu zastanego.

Żeby wyłączenie z gospodarki 10 proc. lasów miało sens (co proponuje Lewica), należy robić to z głową – przede wszystkim na dużych obszarach, z poszanowaniem dla korytarzy migracyjnych zwierząt. Koalicja Obywatelska chce zrobić z całej Puszczy Białowieskiej park narodowy, ignorując fakt, że decyzjami kolejnych ministrów instytucja parku narodowego powoli staje się wydmuszką. Z kolei dla PSL ochrona środowiska sprowadza się niemal wyłącznie do promowania odnawialnych źródeł energii. Konfederacja chce wypowiedzieć unijny pakiet klimatyczny.

Rówieśnicy Greta Thunberg często mówią, że jeśli politycy nie będą ich słuchać, zostaną rozpedzeni na cztery wiatry. Budzi to uśmiechy politowania. Ale za cztery lata większość dzisiejszych nastolatków nie będzie już w stosunku do władzy petentami, tylko elektoratem. To już ostatnie takie wybory. ©

Arcybiskup Głódź odmawia

GDAŃSKA KURIA poinformowała Barbarę Borowiecką, w latach 60. molestowaną przez ks. Henryka Jan-kowskiego, o odmowie wszczęcia dochodzenia w jej sprawie. Chodziło o powołanie komisji, która wyjaśniłaby mroczną przeszłość kapelana Solidarności.

„Jeśli oskarżony nie żyje, z punktu widzenia prawa nic nie można zrobić. Ale przecież ofiary pozostają z nami, a ich rany i ich gniew się nie przedawniają”, skomentował „Tygodnikowi” abp Charles Scicluna, sekretarz pomocniczy Kongregacji Nauki Wia-ry i watykański ekspert od pedofilii w Kościele.

© © ARTUR SPORNIĄK

Pan premier nie jest przekonany

MICHAŁ OKOŃSKI



NIE JESTEM PRZEKONANY, ŻE POWINIEN być dyrektorem” – odpowiedział wicepremier i minister kultury Piotr Gliński na pytanie, dlaczego mimo wygranej w maju konkursu prof. Dariusz Stola nie został ponownie powołany na stanowisko dyrektora muzeum Polin. Pal lichu, że rozwijając swoją wypowiedź, Gliński kolejny raz powtarzał nieprawdziwe informacje, jakoby „pan dyrektor odmówił symbolicznego upamiętnienia Lecha Kaczyńskiego, który był twórcą tego muzeum” (chodzi o rzekomą odmowę zorganizowania na terenie placówki konferencji poświęconej wkładowi niezującego prezydenta w dialog polsko-żydowski; w rzeczywistości prof. Stola poprosił Ruch Społeczny im. Lecha Kaczyńskiego o znalezienie partnera merytorycznego dla konferencji, proponując którąś z instytucji akademickich lub Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, ale na tę propozycję nie było już odzewu). Poważniejszą kwestią jest to, jak minister kultury rozumie prawa i obowiązki związane z pełnieniem powierzonych mu funkcji.

Oczywiście dobrym prawem ministra było nieprzedłużenie pięcioletniej kadencji prof. Stoli i rozpisanie konkursu na stanowisko dyrektora, nawet jeśli współodpowiedzialne za placówkę stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny i Miasto Warszawa nie uważały tego za konieczne i nawet jeśli kaskada nagród, również międzynarodowych, na równi z frekwencyjnym sukcesem świadczyły o tym, że muzeum pod rządami dotychczasowego dyrektora ma się świetnie. W sytuacji jednak gdy prof. Stola w cuglach ów konkurs wygrał, wstrzymywanie się z jego ponowną nominacją, argumentowanie tego w sposób sugerujący polityczny odwet i ryzykowanie kolejnych międzynarodowych napięć (sytuacji w muzeum bacznie przyglądają się światowe organizacje żydowskie, piszą o niej amerykańskie media) nie daje się obronić.

Parafrazując słowa wicepremiera: nie jestem przekonany, że jest on szanującym procedury konserwatystą i dbającym o powagę podlegających mu instytucji państwowcem. Jestem przekonany, że potrafię powiedzieć to dosadniej i krócej. ©

Aotearoa, czyli też Stary Świat

CZY JAMES COOK ODKRYŁ NOWĄ ZELANDIĘ?

Jeszcze kilka lat temu, uczeni tego w szkole, odpowiedzielibyśmy „tak”. Dziś jednak opinie ludności rdzennej na temat historii przestają być w końcu lekceważone. I zmuszają nas do zmiany zdania.

Choć pierwszym Europejczykiem, który dotarł do Nowej Zelandii (już w 1642 r.), był Holender Abel Tasman, to właśnie Cook, kapitan Royal Navy, zapoczątkował kolonialny okres w historii archipelagu. Kiedy 8 października 1769 r. jego okręt „Endeavour” dobił do ujścia rzeki Tūranganu (niedaleko obecnego miasta Gisborne), na spotkanie z ekspedycją wyszli Maorysi. Cook, biorąc to za atak, odpowiedział ogniem. W minionym tygodniu brytyjska wysoka komisarz wyraziła dyplomatyczny żal z powodu śmierci 9 osób – ale dla wielu Nowozelandczyków to za mało. Tuż przed 250. rocznicą „spotkania” czy też „pierwszego kontaktu” Europejczyków i Maorysów (właśnie słowem „encounter” zastępuje się dziś „discovery” – „odkrycie”) protestowano przeciw wizycie repliki statku „Endeavour” w Gisborne.

James Cook – który potem przez pół roku opływał Nową Zelandię, nawiązując

również pokojowe stosunki z mieszkańcami – miał pod koniec życia żałować tamtej strzelaniny. Abstrahując od dyskusji o kontekstach czasów, w których podróżował (i sporu, do jakiego stopnia można jego postępowanie oceniać wedle obecnej wiedzy i świadomości), pozostaje pytanie, jakim językiem dziś te czasy opisywać. W końcu *terrae incognitae* – ziemie nieznanne – „białymi plamami” były tylko na europejskich mapach; „Nowy Świat” dla rdzennych mieszkańców pozostawał stary (i, tak jak dla Europejczyków ich własny, był jedynym znanym); „Nowej Zelandii” nie dało się „odkryć” także dlatego, że „Aotearoa”, nazwa, którą Maorysi określali te ziemie, odnosiła się wtedy wyłącznie do Wyspy Północnej. Jeśli chcieć sprawiedliwie opisywać świat, należałoby w podręcznikach więcej miejsca poświęcić atlantyckim podróżom wikingów czy imponującym osiągnięciom żeglarzy z Omanu, którzy niegdyś dominovali na Oceanie Indyjskim. W takim ujęciu świat czy też raczej światy odkrywały się nawzajem...

Dyskusja o dziedzictwie Cooka w Nowej Zelandii (gdzie kultura Maorysów stanowi ważną część tożsamości) to zapowiedź podobnej, w Australii: w kwietniu 2020 r. minie 250 lat od przybycia „Endeavour” na ten kontynent.

© © MARCIN ŻYŁA



DELIL SOULEIMAN / AFP / EAST NEWS

CZARNE CHMURY NAD ROŻAWĄ. Prezydent USA Donald Trump oświadczył, że Turcja wkrótce rozpocznie „długą planowaną operację w północnej Syrii”. Amerykanie po raz pierwszy przyznali, że w konflikcie między swoimi sojusznikami – Turkami i Kurdami – nie zaangażują się po żadnej ze stron. Ankara od dawna zapowiada stworzenie 30-kilometrowej strefy buforowej w północnej Syrii, gdzie mieszkają głównie Kurdowie. Tym samym w jednym z najbezpieczniejszych regionów tego kraju może znowu zapanować chaos, a ludność cywilna zazna dramatów, które wydawały się już należeć do przeszłości. Konflikt może eskalować, jeśli syryjska armia wraz z Rosją i Iranem postanowi walczyć o kurdyjską ziemię. Na zdjęciu: antyturecki protest Kurdów, Ras al-Ajn, Syria, 6 października 2019 r.



SAUL LOEB / AFP / EAST NEWS

O losie Trumpa zdecydują Republikanie

JAN SMOLEŃSKI



CHINY POWINNY ROZPOCZĄĆ ŚLEDZTWO w sprawie Bidenów” – powiedział w minionym tygodniu podczas konferencji prasowej przed Białym Domem Donald Trump. Chwilę wcześniej, wspominając o rozmowach handlowych z Chińczykami, prezydent USA stwierdził, że „jeśli oni nie zrobią tego, co chcemy, to my mamy wielką siłę”. Dziewięć dni wcześniej doniesienia o naciskach na prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskigo (na zdjęciu z Trumpem) doprowadziły do oficjalnego rozpoczęcia procedury impeachmentu, czyli odsunięcia prezydenta od władzy, przez Izbę Reprezentantów.

W swojej walce o utrzymanie się u władzy Trump sięga już po zagrywki znane autokratom. Jest gotów nie tylko kłamać, obrażać i straszyć – w tym wojną domową – ale też wykorzystywać podległe mu organy państwa oraz przywileje, jakie daje mu piastowane stanowisko, do własnych politycznych celów.

W nadużycia władzy przez prezydenta (co raz więcej obserwatorów jest przekonanych,

że to właściwe określenie poczyną Trumpa) zamieszani są również wysoko postawieni członkowie jego administracji. Na Zełenskigo naciskał wiceprezydent Mike Pence; wcześniej sekretarz stanu Mike Pompeo i sekretarz sprawiedliwości William Barr szukali zaś informacji dyskredytujących dochodzenie specjalnego prokuratora Roberta Muellera (śledztwo dotyczyło zмовy sztabu wyborczego Trumpa z Rosją w celu wpłynięcia na wynik wyborów prezydenckich w 2016 r.). Donald Trump może ich pociągnąć za sobą.

Losy Trumpa zależą od kalkulacji republikańskich senatorów. To oni zdecydują, czy prezydent zostanie usunięty ze stanowiska. Swoim zachowaniem obóz prezydenta zapędza się w kozi róg tylko z pozoru. W takiej sytuacji bowiem dalsza polaryzacja partyjna czyniąca z każdej kwestii wojnę swoich i wrogów jest dla niego jedynym ratunkiem, choć amerykańskiej demokracji wróży bardzo źle. Wtedy nawet przemoc – wciąż mimo wszystko odległa – może stać się samospelniającą się przepowiednią. ©

Indie płaczą przez cebulę

NA NAJWIĘKSZYM SUBKONTYNENCIE znów przypomniał o sobie jeden z najważniejszych tutejszych tematów politycznych: cebula.

Po powodziach, które w porze monsunu dotknęły zachodnie prowincje kraju znane z upraw tego warzywa, rząd Indii wstrzymał eksport cebuli do krajów ościennych. A jako że kuchnia krajów Półwyspu Indyjskiego opiera się na tym warzywie, problem szybko nabrał także wymiaru politycznego.

W Bangladeszu ceny cebuli w ciągu dwóch miesięcy wzrosły o 700 proc., a rząd w Dhace oskarżył Delhi o próby destabilizacji sytuacji wewnętrznej poprzez wstrzymanie eksportu.

Rządząca Indiami partia BJP pamięta jednak wydarzenia z jesieni 2010 r., gdy po powodziach w stanach Maharashtra i Karnataka ceny cebuli w Indiach wzrosły z 0,51 do równowartości 1,3 dolara za kilogram. Zamieszki, do jakich wtedy doszło, przyczyniły się do wzrostu popularności BJP, która w wyborach w 2014 r. pokonała rządzący Indyjski Kongres Narodowy. © P MAREK RABII

Konflikt w Donbasie: dużo znaków zapytania

WOŁODYMYR ZEŁENSKI próbuje spełnić jedną z głównych obietnic wyborczych i doprowadzić do uregulowania konfliktu w Donbasie. Efektem trwających od trzech miesięcy intensywnych rozmów międzynarodowych jest zgoda Kijowa na „formułę Steinmeiera”: chodzi o plan pokojowy, zaproponowany w 2016 r. przez szefa niemieckiego MSZ, a dziś prezydenta Niemiec. Przewiduje on, że tereny Donbasu, niekontrolowane dziś przez Kijów, dostaną specjalny status w ramach Ukrainy. Jednak wszedłby on w życie dopiero po przeprowadzeniu tam wyborów samorządowych i uznaniu ich przez OBWE za „ogólnie” spełniające kryteria. Jak widać, to tylko punkty ramowe i diabeł tkwi w szczegółach. Nie wiadomo na przykład, co z kampanią wyborczą, dostępem mediów i kontrolowanymi przez Rosję zbrojnymi formacjami. Kijów uważa, że muszą zniknąć, ale „formuła” o tym nie wspomina. Pytań jest więc tu więcej niż odpowiedzi.

Zełenski uważa, że bez uregulowania konfliktu nie może być szybkiego rozwoju kraju, a jego popularność daje mu możliwość działania. Ukrainę do porozumienia z Rosją popycha też Zachód, pragnący poprawy relacji z Kremlm. Wyraźnie brzmi to w retoryce prezydenta Macrona, który w „formacie normandzkim” (liderzy Ukrainy, Rosji, Niemiec i Francji) chce przejąć palmę pierwszeństwa od Berlina. Kreml liczy, że wykorzysta sytuację i proces pokojowy odbędzie się na jego warunkach. Sprowadzają się one do tego, że „zwracając” Donbas Ukrainie, *de facto* utrzyma nad nim kontrolę. Można oczekiwać, że planowany szczyt „formatu” w Paryżu rzuci więcej światła na rachuby każdej ze stron.

Niezwykle ważne jest, by wokół procesu pokojowego panował konsensus społeczny na Ukrainie. Z tym jest problem: w niedzielę na kijowskim Majdanie i w wielu miastach odbyły się protesty „przeciw zdradzie”. Ugoda, której wielu obywateli nie zaakceptuje, może mocno zdestabilizować sytuację w kraju. Dlatego warto pamiętać, że podpisanie czegokolwiek jeszcze niczego nie gwarantuje.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PIÓRA

I DUCH ŚWIĘTY.

„Jaka jest różnica między indiańskim pióropuszem na głowie a biretem noszonym przez pracowników kurii?” – pytał retorycznie Franciszek podczas przemówienia otwierającego obrady Synodu dla Amazonii, odnosząc się do usłyszanej pogardliwej wypowiedzi na temat Indian. Papież przypomniał, że „głównym aktorem synodu jest Duch Święty”. (O Amazonii – zob. reportaż Mirosława Wlekłego i rozmowa z o. Kasperem Kaproniem na str. 32-39).

BEATYFIKACJA PRYMASA.

Metropolita warszawski w rozmowie z dziennikarzami potwierdził, że data beatyfikacji przypadnie na późną wiosnę, w okolicy rocznicy śmierci i pogrzebu nowego błogosławionego (28 i 31 maja), oraz podał, że nastąpi ona na placu Piłsudskiego w Warszawie.

Przypomnijmy: tydzień temu poinformowaliśmy jako pierwsi, że beatyfikacja kard. Wyszyńskiego nastąpi w czerwcu.

AUDYT W CARITASIE.

Episkopat zlecił kontrolę w Caritas Polska. Dziennik „Gazeta Prawna” opisał m.in. nietransparentne relacje kościelnej organizacji z jedną z firm PR-owych.

LICZBA TYGODNIA

1903

tyle misjonarek i misjonarzy z Polski pracuje obecnie na pięciu kontynentach. Wśród nich są 42 osoby świeckie. Jak podała Komisja Episkopatu Polski ds. Misji, w zeszłym roku na misjach pracowały 2004 osoby – nastąpił więc spadek liczby misjonarzy.

Przeciwnicy ekshumacji Franco piszą do papieża

DWA TYSIĄCE OSÓB podpisało się pod listem z apelem o niedopuszczenie do ekshumacji gen. Francisco Franco. Sygnatariusze listu uważają generała za „obrońcę Hiszpanii i wiary katolickiej”, a lata jego dyktatury za czas „pokoju, rozwoju i dobrobytu” oraz „wiernego naśladowania nauki Pana naszego Jezusa Chrystusa”. Ekshumację nazywają „gwoździem do trumny, w której [rząd] pragnie pochować nas, hiszpańskich katolików”.

Konflikt w sprawie pochówku generała trwa od lat. Od 1975 r. Francisco Franco spoczywa w podziemnej bazylice w Dolinie Poległych, mauzoleum ofiar wojny domowej. W czerwcu 2018 r. zapowiedź ekshumacji była jedną z pierwszych decyzji socjalistycznego rządu Pedro Sáncheza. Od tej pory rodzina generała robiła wszystko, by ją powstrzymać. Wiele wskazuje, że poniosła klęskę. 24 września hiszpański Sąd Najwyższy oddalił jej sprzeciw. Rząd chce pochować Franco na cmentarzu El Pardo-Mingorrubio obok jego żony. Premier zapewnił, że przenosiny nastąpią jeszcze przed zapowiedzianymi na 10 listopada powtórными wyborami parlamentarnymi.

List do papieża jest ostatnią próbą zapobieżenia ekshumacji. Jest także głosem najbardziej

radykałnych zwolenników Franco i przeciwników ustawy o pamięci historycznej z 2007 r. – zabroniła ona gloryfikowania dyktatury, usunęła frankistowską symbolikę z przestrzeni publicznej i dała wsparcie rodzinom, które 70 lat po wojnie wciąż poszukują anonimowych mogił ofiar frankistowskich represji. Historycy szacują, że w latach 1936–1939 nacjonaści rozstrzelali około 130 tys. cywilów, w ramach wspieranych przez władze wojskowe represji politycznych. W tym samym czasie na skutek tzw. czerwonego terroru (anarchistycznego i komunistycznego) zginęło ok. 50 tys. osób, w tym ponad 7 tys. duchownych. W ostatnich latach 1700 zakonników i księży, zamordowanych w latach 1936-39, zostało beatyfikowanych jako męczennicy za wiarę.

Jak dotąd Stolica Apostolska zachowywała dystans w sprawie ekshumacji gen. Francisco Franco. Podobne stanowisko zajmuje hiszpański episkopat. Jedynie przeor Doliny Poległych o. Santiago Cantera, były członek Falangi, z uporem odmawia rządowi dostępu do podziemnej bazyliki. Zapowiada, że usłucha jedynie papieża. Jesienią 2018 r. hiszpańska wicepremier Carmen Calvo uzyskała jednak zapewnienie sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej, że Watykan nie będzie sprzeciwiał się ekshumacji.

© KATARZYNA KOBYLARCZYK



TWITTER / @JESUITCZERNY

Jak zostać kardynałem w 24 godziny?

PORAD W TEJ MATERII MÓGŁBY UDZIELAĆ ojciec Michael Czerny, jezuita. Jeszcze w miniony czwartek był „zwykłym” księdzem, w piątek otrzymał święcenia biskupie, a w sobotę – kardynalski biret. Na rewersie prymicyjno-kardynalskiego obrazka zapisał – niczym odpowiedź na tytułowe pytanie – słowa Georges’a Bernanos: „Jedno tylko się liczy: abyśmy, odważni czy tchórzliwi, zawsze byli tam, gdzie nas Bóg chce widzieć”.

Urodził się w 1946 r. w Czechosłowacji. W 1948 r. jego rodzina wyemigrowała do Kanady, gdzie przyciągnęli ją obcy ludzie. Ośmi

lat później przyjechał pod dach, na sześć miesięcy, emigranta z Węgier. Z rodzinnego niezbyt zamożnego domu Michael wyniósł szacunek do każdego człowieka, bez względu na pochodzenie i poglądy, oraz wrażliwość na potrzeby biednych i niesprawiedliwie traktowanych.

Wstąpił do jezuitów. Niedługo po studiach założył zakonne Centrum Wiary i Sprawiedliwości Społecznej. Gdy w 1989 r. na uniwersytecie w San Salvador wojskowe komando zabiło sześciu jezuitów (a także kucharkę i jej 16-letnią córkę), zaangażowanych w pokojowe rozmowy z partyzantką, przyjął funkcję wicerektora uczelni i dyrektora Instytutu Praw Człowieka. Kilka lat później znalazł się w Afryce, tworząc sieć pomocy ofiarom AIDS. W 2010 r. do Watykanu ściągnął go ghański kardynał Peter Turkson. Wraz z nim trafił do nowo utworzonej Dykasterii Promocji Integralnego Rozwoju Człowieka, obejmując Sekcję Emigrantów i Uchodźców.

Łódź z uchodźcami umieścił w kardynalskim herbie, wraz z hasłem „Suscipe” (przyjmij). Z jej resztek, znalezionych u brzegów Lampedusy, zaczął wykonać drewniany biskupi krzyż. A obraz Świętej Rodziny uciekającej do Egiptu, namalowany w latach 30. przez jego babcię Annę Hayek, wydrukował jako pamiątkę z kardynalskich prymicji.

© EDWARD AUGUSTYN



MARTIN ATHENSTADT / DPA / PAP

Żal Karela Gotta

„SŁOWIK Z PRAGI”, „SINATRA WSCHODU”, czyli Karel Gott, zmarł po ciężkiej chorobie w wieku 80 lat. Był najbardziej znanym piosenkarzem Czechosłowacji, a potem Czech, sprzedał kilkadziesiąt milionów płyt, głównie z muzyką popularną, choć studiował wcześniej śpiew operowy. Wielbiony przez pokolenia Czechów, często występujący za granicą (także w PRL i NRD), był zarazem symbolem uległości wobec komunistycznego reżimu. Podpisał tzw. antykartę – wyrażającą poparcie dla władz petycję, stworzoną w reakcji na opozycyjną Kartę 77 (jej sygnatariuszką była z kolei zmarła w tych dniach Vlasta Chramostova: słynna przed laty aktorka po sowieckiej inwazji na Czechosłowację zniknęła z ekranów i scen na ponad 30 lat). Po latach wyraził z tego powodu żal i to właśnie on – wraz z opozycyjnym pieśniarzem Karem Krylem – zaśpiewał hymn narodowy na Václavskim náměstí w Pradze podczas Aksamitnej Rewolucji w 1989 r. (tego z kolei, tzn. śpiewania z Gottem, miał żałować Kryl).

Postać Gotta budzi kontrowersje także po śmierci. 12 października będzie w Czechach dniem żałoby narodowej; w praskiej katedrze św. Wita ma zostać odprawiona przez kard. Dominika Dukę msza żałobna, ale propozycję uroczystości w katedrze skrytykował ks. Tomáš Halík, uznając to za „moralny kicz”, a także przejaw braku szacunku m.in. dla dysydentów z czasów komunizmu. © PATRYCJA BUKALSKA

Koniec wrażeń fantomowych: jest proteza, którą „akceptuje” mózg

DALEKO IM DO BIOLOGICZNYCH KOŃCZYN: osoby, które przeszły amputację części nogi i chodzą z protezą, doświadczają wrażeń fantomowych – czują, że utracona kończyna jest na swoim miejscu. To dlatego, że po amputacji mózg przestaje odbierać całą gamę sygnałów nerwowych, informujących o położeniu kończyny. Zaradzili temu Francesco Maria Petrini i współpracownicy – stworzyli protezę ze stymulatorem nerwów i sensorami, zbierającymi dane o nacisku wywieranym na sztuczną stopę. Jak piszą w „Science”, mózg poprawnie interpretował te sygnały, dzięki czemu użytkownicy sprawniej się przemieszczali; zaczęli nawet odczuwać, że proteza jest częścią ciała (towarzyszyła temu zmiana wrażeń fantomowych). © ŁK

KULTURA W SKRÓCIE

NIE MA.

„Nagradzamy książkę, która jest niczym rozsiane archiwum z poszukiwań odpowiedzi na pytanie fundamentalne: dlaczego raczej czegoś nie ma, niż jest?” – uzasadniał wybór jury Nagrody Literackiej Nike Marek Zaleski, wręczając wyróżnienie Mariuszowi Szczygłowi. Uhonorowany przez kapitułę Nagrody Nike zbiór reportaży „Nie ma” okazał się także najpopularniejszy w plebiscycie czytelników.



JEST.

Reportaż zainspirował także twórców gry „Wanderlust. Travel Stories”. To oparta na tekstach literackich interaktywna antologia opowieści podróżniczych, która pozwala na zwiedzenie Barcelony, Tajlandii, Antarktydy oraz Afryki. „W czasach, gdy gry opierają się przede wszystkim na strachu, frustracji albo potrzebie triumfu, my chcieliśmy zaproponować rozrywkę, która wiąże się z pozytywnymi emocjami” – wyjaśniają twórcy „Wanderlust”, wcześniej związani ze studiem CD Projekt, producentem „Wiedźmina”.

BĘDZIE.

Podróżujący do Londynu mają natomiast okazję odwiedzić sklep Banksy’ego. Otwarty na dwa tygodnie w Croydon „Gross Domestic Product” oferuje wykonane przez artystę wyposażenie wnętrz oraz edukacyjne „zabawki”, m.in. taką do nauki liczenia, w której drewniane figurki ludzi upycha się do ciężarówki. Dochód ze sprzedaży asortymentu zostanie przeznaczony na zakup łodzi do ratowania imigrantów na Morzu Śródziemnym.

Zeberki = inepcja

KAŻDEJ NASZEJ MYŚLI odpowiada jakiś wzorzec aktywacji komórek nerwowych, a to, czego się nauczyliśmy, zakodowane zostaje w połączeniach pomiędzy neuronami – wiemy to od dawna. Wiemy też, że pamięć bywa bardzo psotna: tysiące publikacji poświęcono fenomenowi fałszywych wspomnień, czyli śladów pamięciowych dotyczących wydarzeń czy przeżyć, które nie miały miejsca w rzeczywistości. Dlatego powinniśmy zdawać sobie sprawę, że w teorii możliwe byłoby wszczepianie w mózgu fałszywych wspomnień, gdyby udało się zidentyfikować właściwe obwody neuronów i je odpowiednio aktywować. Jednak gdy czytamy, że udało się to w praktyce, trudno nie złapać się za głowę.

Neurobiolodzy z UT Southwestern Medical Center w Dallas w USA pochwalili się na łamach „Science” wszczepieniem w mózgach zeberki zwyczajnych pewnych parametrów piosenek, których te ptaki normalnie uczą się od tutorów – czyli naśladowując jakiegoś dorosłego osobnika. Ptaki, które dorosną w izolacji od innych osobników, także komponują swoje piosenki, ale o nieco innych parametrach. W opisanym eksperymencie jedna z cech piosenek – długość poszczególnych sylab – została „wgrana” do mózgów ptaków wychowanych w samotności.

Badacze najpierw zidentyfikowali obwód neuronów, który aktywuje się, gdy zeberki uczą się imitować pieśń tutora. Potem, za pomocą specjalnego wirusa, zmodyfikowali go tak, by można go było zdalnie aktywować dzięki stymulacji światłem. Wreszcie, manipulując czasem aktywacji, badacze „implantowali” ptakom ślady pamięciowe dotyczące długości trwania poszczególnych dźwięków. W efekcie ptaki wychowane bez społecznych kontaktów zaczęły wykonywać piosenki przypominające te, których nauczyłyby się od tutorów. I to w typowych sytuacjach społecznych – podczas zalotów. © ŁK

CZAS NA WYBÓR

JAROSŁAW FLIS, SOCJOLOG I POLITOLOG:

System, w ramach którego wybieramy Sejm, demoralizuje ludzi, ale uczy działania w procedurach.

I w dniu kiedy prezes już nie będzie prezesem, procedury będą nadal obowiązywać.

PAWEŁ BRAVO: Czy wiemy już wszystko, co trzeba wiedzieć przed wyborami?

JAROSŁAW FLIS: Choć sporo się jeszcze może zdarzyć, to nawet i bez tego wiemy, że wyborczy wieczór może przynieść bardzo różne rozstrzygnięcia. Różne, ale jakoś przewidywalne. A co jeszcze ciekawsze, kampania potwierdziła to, czego przez minione cztery lata dowiedzieliśmy się o nas samych – o polskim społeczeństwie. Bo to wytycza koleiny, którymi będziemy się poruszać także po wyborach.

Kampania ciągle jeszcze trwa...

Są cztery etapy kampanii wyborczej. Najpierw – pokazać, kim jestem. Po drugie – wyjaśnić, po co chcę kandydować. Trzeci etap – udowodnić, że jestem dobrze przygotowany. Czwarty – po prostu powiedzieć: wygram. Każdy etap ma swoje narzędzia, na ostatnim zostaje już tylko obwieszenie płotów plakatami, żeby było widać, że dominujemy. Za późno już na mówienie, po co.

Ostatnia kampania dostosowała się do tego porządku. Na początku wakacji partie się pogrupowały. Potem z większym i mniejszym trudem określały swoje priorytety – po to były jednak konwencje programowe. Następnie kandydaci stawiali z ważnymi osobami, które ich popierają, pokazując, że mają zaplecze. Teraz trzeba już tylko stać do świtu na najruchliwszym przystanku w mieście i wszystkim

życzyć miłego dnia. Pokazywać, że ci zależy.

Pytanie: czy politykom bardziej zależy niż wyborcom?

Po stronie opozycji nie jest to oczywiste. Mam wrażenie, że wyborcy – ich rdzeń – są bardzo zmotywowani. Część jest rozjuszona, część nosi w sobie zleżałą złość, jest zdegustowana. Ale mają wrażenie, że ich kandydatom albo nie wychodzi, albo im nie zależy. Albo nie są dość przygotowani, albo nie wiadomo, kim są.

A po drugiej stronie wyborcy zdają się czuć satysfakcję. Nie ma żaru. Jest przekonanie, że wszystko się toczy normalnie. Z wielu badań wynika, że o ile wyborcy opozycji są przekonani, iż sytuacja jest nadzwyczajna, o tyle wyborcy partii rządzącej są przekonani, że sytuacja jest zwyczajna. Opozycja coś tam marudzi, bo taka jej rola, ale nic się nie dzieje. Nic w każdym razie gorszego niż to, co się działo. A więc ta władza rządzi za przyzwoleniem, a nie dzięki zaangażowaniu.

Sztabowcy PiS boją się i mają świadomość, że trzeba się mobilizować. Prezesowi na razie jednak całkiem nieźle wychodzi dostarczanie konkurencji amunicji na tacy. Nic tak nie nakręca jak dobrze dobrane cytaty z drugiej strony. Jarosław Kaczyński kiedyś powiedział, że jesteśmy „ludzkie pany”, a niedawno rzucił hasło stworzenia nowej elity – łatwo więc byłoby wymyślić cykl memów albo filmik



pod hasłem „Nowa elita ludzkich panów” z wyjętą z „Superwizjera” rozmową z Marianem Banasiem. No, ale opozycja ma dwie lewe ręce.

Jaki przekaz miałyby te memy?

Mogłyby podkopać przekonanie, że PiS jest bliski zwykłym ludziom. W amerykań-



Katowice, październik 2019 r.

kańskiej kampanii prezydenckiej 2004 r. krążył taki żart: kiedy przemawia Bush, to ludzie mają wrażenie, że angielski jest jego drugim językiem. A jak przemawia Kerry, to mają wrażenie, że angielski jest ich drugim językiem. Zawsze zadaje studentom pytanie: w którym sztabie wyborczym wymyślono ten dowcip? Nie

wszystkie wpadki polityka – jak lapsusy językowe czy słabości wyposażenia kulturowego – w oczywisty sposób działają na jego niekorzyść.

Partia „górna” powinna więc przekonywać, że ta „dolna” wcale nie jest taka dolna. Ale „dolna”

z kolei, oprócz piętnowania elitaryzmu, sufluje przekaz podważający kompetencje PO tam, gdzie ona rządzi, np. tropiąc najdrobniejsze wpadki Trzaskowskiego w Warszawie. Nie dość, że elityści, to jeszcze nieudacznicy.



→ Realną przewagą Koalicji jest to, że jej elektorat może być bardziej samostereowny. Jest w nim bowiem więcej osób wykształconych, czyli ludzi, którzy samodzielnie są w stanie wpasnąć na to, co trzeba zrobić. Przy czym zakładamy, że wykształcenie służy czemuś więcej niż tylko bardziej błyskotliwemu biadoleniu. Wiedzą, że gdy idą wybory, to nie trzeba czekać, aż przyjedzie prezes i naładuje energią, tylko można energię samemu wygenerować, żeby coś zrobić.

To znaczy na przykład przekonywać znajomych zwolenników władzy?

Jest tu paradoksalny problem: liczba sympatyków PO, którzy przyznają się do znajomości ze zwolennikami PiS, jest mniejsza niż liczba sympatyków PiS przyznających się do znajomości ze zwolennikami PO. Sieci społeczne „górnej części” społeczeństwa są bardziej hermetyczne. W grupie np. pracowników naukowych przeciwnicy PiS będą przekonani, że wszyscy są tacy sami i komunikują się między sobą otwarcie. A tymczasem w tym gronie jest też grupa osób popierających PiS, ale ci siedzą cicho i tylko analizują, co się dzieje. Dochodzą do przekonania, że druga grupa wypowiada się pogardliwie i deklarowany szacunek do odmiennych poglądów ich akurat nie obejmuje. Ale nie wstaną i nie powiedzą, że „to wasze wsobne ciepłko, które wycina inaczej myślących, wreszcie się skończy”. Im nie jest wstyd, że są w mniejszości. Raczej utwierdzają się w przekonaniu, że to system, który wymaga zmiany, choć nie wiedzą, jak się za nią zabrać.

Z kolei zwolennicy opozycji widzą, że przeciw ich poglądom nikt nie protestuje. Dlatego nie dostrzegają, jak i gdzie mogliby kogoś przekonywać. Nie mają do kogo pójść, nawet gdyby chcieli.

A przecież nawet na Żoliborzu w Warszawie padło sporo głosów na PiS – to paręnaście tysięcy ludzi, którzy chodzą po tej bogatej dzielnicy. Czasami uświadamiam dawnym kolegom, którzy tam mieszkają: na sto osób, które spotykasz na stacji metra na placu Wilsona, co najmniej dwadzieścia głosowało na PiS.

Prawdopodobieństwo, że osoba, która stoi przed tobą w kolejce, głosowała na PiS, jest na Żoliborzu większe niż w Suchowoli na Podlasiu. A to dlatego, że różnica we frekwencji jest duża. 30 proc. gło-

sów przy frekwencji 70 proc. daje więcej ludzi niż 50 proc. przy frekwencji 40 proc.

Ale druga strona też ma swoje kule u nogi.

Jakie?

Przede wszystkim rozgorączkowanie części liderów, na czele z prezesem. Jest ono sprzeczne z fundamentalnym, na chłodno skalkulowanym przekazem partii rządzącej, że wszystko jest dobrze, że Polska się rozwija, że to druga strona historyzuje, a my sprządamy, jesteśmy najnormalniejszą władzą w najnormalniejszym kraju.

Druga rzecz: oni przez przekonanie o swojej misyjności, wyjątkowości i przez przywiązanie do kadr, a nie instytucji zaliczają potężną liczbę wpadek. Reagują na nie, ale z narastającą irytacją. Nie potrafią pożegnać się z myślą, że zaprowadzają porządek, bo są lepsi, a nie dlatego, że mają lepszy pomysł, jak to zorganizować. Na przykład lepszy pomysł, jak rekrutować szefa NIK, żeby była to osoba bez skazy, a nie osoba od nas. Uważają bowiem, że bycie od nas gwarantuje, że się jest bez skazy.

Ale to by wymagało zgody na jakiś udział opozycji w tym procesie.

Z biegiem lat coraz trudniej sobie to wyobrazić.

To jest część dziedzictwa III RP. Kluczowa była tu kadencja Sejmu w latach 1993-97, kiedy udało się wyautować całe środowisko, które reprezentował Konwent Świętej Katarzyny, cały późniejszy AWS. Obydwie strony doszły wtedy do przekonania, że z przeciwnikiem można przestać się liczyć. Przez jakiś czas nie mieściło się w głowie, że przegrani jeszcze kiedyś będą rządzić. A rządzili.

Ale także PiS powinien z minionej kadencji wyciągnąć podobne wnioski, do których najwyraźniej nie udało się dojść jego liderom ani aktywistom. Bo po dzisiejszych sondażach widać, że przypuszczenia, które podgrzewały emocje na przełomie 2016 i 2017 r., okazały się ułudą: PO przetrzymała konkurencję Nowoczesnej, skłócona Lewica nie wypadła na trwałe poza Sejm, wiadomości o śmierci PSL też okazały się przedwczesne. Dziś niepewność rozstrzygnięcia jest chyba większa niż przed czterema laty – skąd więc przypuszczenie, że za kolejne cztery miałyby być inaczej? I to niezależnie, kto będzie rządził po 13 października.

Scenę polityczną powinien stabilizować mały imperatyw kategoryczny: zachowuj się względem przeciwników tak, jak byś chciał, żeby oni zachowywali się względem ciebie, gdy będziesz na ich miejscu. Zamiast tego wciąż jeszcze obserwowuję głębokie przekonanie, że na ich miejscu nigdy się nie będzie. A to się przecież coraz bardziej rozchodzi z rzeczywistością.

Łatwo się zapomina, że kiedyś było inaczej.

Wyobrażenie, że może być inaczej, służy już tylko mobilizacji własnych ludzi do jeszcze mocniej wytężonej walki.

Możemy sobie wyobrazić, jak zareaguje PiS, gdyby nie zdobył większości?

Może będzie przekonywać, że tak naprawdę wygrał, czyli – stracił władzę, ale Polacy go docenili, zwiększyli poparcie? Nie wiemy, jak będzie dalej. Próba budowania nowej elity skończy się tak, że wszyscy, którzy dali się złapać na profity, dalej będą ich szukać, a nie kalkulować, że trzeba przeczekać cztery lata.

Zobaczymy, jaka będzie presja na samorządy, gdy się okaże, że tylko one oraz Pałac Prezydencki zostają w rękach PiS. Parcie byłych ministrów do zarządów województw może być potężne. A może zdarzyć się też tak, że młody PiS przejmie władzę. Dobry wynik partii jest raczej w rękach Pawła Szefernackera niż Jacka Sasina.

Jeśli to opozycja będzie tworzyć rząd, czy dojdzie do wielkiego wyładowania frustracji?

Triumfalizm dużo bardziej grozi PiS-owi, bo triumf po stronie opozycji będzie wątpliwy. Będzie miał wymiar symboliczny i przyniesie poczucie ulgi. Ale to wszystko nie nastąpi tak szybko, bo prezydent najpierw powierzy misję zwycięskiej partii. I nastąpi dłuższy moment niepewności, czy swojej roli nie odegra tu PSL. Jeśli Lewica i PO zaczną antycypować zdradę ludowców, z góry ich piętnując, w nadziei, że to ich powstrzyma przed współpracą z PiS, to może wręcz ich do tego zachęcić. Trzeba będzie przetrzymać ze dwa tygodnie.

Zleżała złość jednych, ciepłko normalności drugich – to nie jest materiał na pasjonujący spektakl.

Emocje nie są związane z wielką nadzieją, raczej wynikają z obaw. Wszystkie strony mają obawy. Przede wszystkim przed podłożeniem się. Przed wyborami w 2007 r. sondaże pojawiały się codziennie. Odbyły się trzy potężne debaty z trzema powszechnie rozpoznawalnymi osobami. Z całym szacunkiem dla panów Sasina, Budki i Kosiniaka-Kamysza – tym razem to nie to samo. W poprzedniej kampanii przynajmniej Szydło i Kopacz się starły. Mamy regres.

Z Lewicy teraz pojawił się w debacie Andrzej Rozenek, chyba po to, żeby Adrian Zandberg zbyt dobrze nie wypadł...

To, jak ważne są w partiach obawy, widać np. po dominacji spadochroniarzy. Policzylem, że w PiS co siódmy kandydat jest niezwiązany ze swoim okręgiem. Na listach Koalicji spadochroniarzy jest 8 proc., a Lewicy 12,5 proc. Ich obecność na listach świadczy o tym, że partie nie mobilizują do zwycięstwa, tylko zabezpieczają byt swoim ważnym ludziom.

A więc panuje domniemanie, że podział elektoratu jest tak głęboko zakorzeniony, iż odegra swoją rolę samoczynnie?

Tak. PiS sądzi, że wystarczy go obsługiwać piknikami. A opozycja obsługuje go kandydatami – niech się o siebie troszczą. Do niedawna na stronie KO nie było zakładki „aktualności”. Teraz się pojawiła, ale lista nie powala. Filmik „Małgorzata Kidawa-Błońska – objazd Polski” ma niecałe 900 wyświetleń.

Najbardziej zdeterminowany jest elektorat Lewicy, bo przez ostatnie lata jego polityczni reprezentanci nie uczestniczyli w realnej polityce.

Hasła wojny kulturowej nie działają?

Nie widać potęgi przeciwnika. Bo jest jasne, że PO z samą Lewicą nie będą miały większości. Jediną nadzieją opozycji stanowi PSL, a w sprawach związanych z wojną kulturową jest to partia bardziej konserwatywna niż PiS – przecież premier Morawiecki w wywiadzie dla „Gościa Niedzielnego” wychwalał kompromis aborcyjny.

Był taki okres w tym roku, kiedy sądziłem, że to wojna kulturowa zdominuje kampanię.

O ile wyborcy opozycji są przekonani, że sytuacja jest nadzwyczajna, o tyle wyborcy partii rządzącej są przekonani, że sytuacja jest zwyczajna.

Ta władza rządzi za przyzwoleniem, a nie dzięki zaangażowaniu.

Nie, bo siły nie są wyrównane. To nie jest tak, że nadciąga jakaś rewolucja. Gdyby były wybory prezydenckie, w których Biedroń i Duda szliby łeb w łeb, sprawa wyglądałaby inaczej.

Kreowanie strachu jest jednak możliwe.

Tak, ale w Polsce nie jest to takie łatwe. Weźmy casus spotów straszących imigracją przed wyborami samorządowymi w ubiegłym roku – nawet w opinii działaczy PiS wzbudził on tylko mobilizację po drugiej stronie. Wyborcy PiS nie uwierzyli, że to realny problem, bo to nie był rok 2015, kiedy milion ludzi szedł ulicami Europy – a uchodźcy są teraz raczej wydalanani, więc wyborca nie ma co sobie zawracać nimi głowy.

To ilustruje tezę, że nie należy samemu pakować się w wojnę. Jeśli Lewica i Schetyna nie idą na czele Marszu Równości, tylko omijają go szerokim łukiem, to PiS też nie powinien stawać na barykadzie. A Europa Zachodnia ma teraz inne problemy – brexit, Trumpa, ekologię – niż niesienie kaganka postępu na Wschód.

Realne emocje zaczynają się pojawiać w sprawach ekologicznych, i to się będzie nasilać. Nawet jeśli nie nastąpił żaden „budzielski” kataklizm, coś w rodzaju ekologicznego Pearl Harbor.

Wydaje się, że obie strony na razie nie wychodzą poza rytualne deklaracje, bo wypada rzucić „coś zielonego”.

Temat jest szalenie delikatny. Łatwo mówić ogólnikami, bo mówienie konkretami szybko by się skończyło genero-

waniem realnych problemów dla bazy wyborczej. Trzeba by udzielić np. odpowiedzi na pytanie: zamykamy kopalnie? Zakazujemy jeżdżenia SUV-ami?

Czy wyraźne poruszenie w środowiskach młodzieżowych wokół inicjatyw w rodzaju strajku klimatycznego zapowiada nowy rodzaj zaangażowania?

Są dwa nowe rodzaje partycypacji społecznej, których wcześniej nie było. Po polsku nazwałbym je „patrycjusz” i „partyzowicz”. Pierwszy to „patrycjusz” partycypujący. Modelowa sytuacja to np. doświadczony konsultant HR angażujący się w radzie szkoły, do której chodzi jego dziecko. Przewyższa kompetencjami menedżerskimi dyrektora szkoły, która nigdy nie mogłaby sobie pozwolić na zatrudnienie takiego konsultanta. Dostarcza intensywnego bodźca z zewnątrz, daje impuls do rozwoju instytucji, ale na pewno nie będzie to trwale zaangażowanie – bo ściśle się ono wiąże z jego interesem. Jestem sobie w stanie wyobrazić, że tysiące ludzi, którzy na co dzień zawodowo obsługują społecznościowe profile firm, nie będzie czekać, aż wreszcie sztaby partyjne wykażą się jakąś inicjatywą, tylko spróbują – każdy na własną rękę – pobudzić drugi rodzaj aktywistów: „partyzowiczów”.

Modelowym „partyzowiczem” jest zaś autor memów – angażuje się, bo to fajna zabawa albo zbiorowe wydarzenie. Ktoś, kto idzie na strajk klimatyczny, bo wszyscy znajomi ze szkoły idą. Jest miło, ma się poczucie działania w słusznej sprawie, a przy okazji dobrą zabawę. Nie twierdzę, że to zgrywa, tylko nowa forma zaangażowania – to nie jest tradycyjne uczestnictwo w debacie publicznej.

Tyle że nie wiadomo, czy na ostatniej prostej tego typu osoby powiedzą sobie, że coś trzeba zrobić, czy tylko pobiadolą ze znajomymi i polajkują coś na Facebooku.

Jakiego typu krótkie zaangażowanie może się pojawić na ostatniej prostej przed wyborami?

Najprostsza sprawa: w Polsce jest 3 mln osób z niepełnosprawnościami. Im wszystkim można by zorganizować głosowanie przez pełnomocnika. Przeprowadzić akcję: masz niepełnosprawne w rodzinie lub po sąsiedzku? Przekonaj go do dania ci pełnomocnictwa. →

→ To potężny zastrzyk głosów. Można pozyskać ich milion... a różnica między PiS a nie-PiS w tegorocznych wyborach europejskich wyniosła 50 tys.

Albo jeszcze prościej – zorganizować podwożenie ludzi do wyborów przez partyjnych wolontariuszy, co jest w wielu krajach standardem. Przy dzisiejszych środkach komunikacji, dzięki którym w parę godzin da się skrzyknąć Arabską Wiosnę, są teoretycznie możliwości, które nie wymagają prezesa ani sensownego kandydata na premiera.

Parlament to tylko maszyna do głosowania – jak pisał na tych łamach w poprzednim numerze Andrzej Stankiewicz. Czy nasz system wyborczy w ogóle w jakiejś części działa?

Widziałem badania dotyczące gmin: są takie, gdzie wszystko wisi na jednym człowieku, i są takie, gdzie władza jest sieciowa. W tych pierwszych występuje większe odchylenie standardowe wyników, to znaczy większa jest rozpiętość między znacznym sukcesem a głębokim upadkiem. Tam gdzie władza jest sieciowa, rzadsze są spektakularne zwroty, ale rzadsze są też upadki.

Ten system oczywiście demoralizuje część ludzi, ale uczy działania w procedurach. I w dniu kiedy prezes już nie będzie prezesem, procedury będą nadal obowiązywać.

Może i Sejm nie działa tak, jak byśmy chcieli, lecz to tam powstawać może organizacyjna i programowa baza opozycji. Wybory ogniskują obywatelskie zaangażowanie i tylko skrzykując drużynę wokół wyborów, da się zmienić rząd. Jeśli nie teraz, to następnym razem. Nic wyborów sejmowych nie zastąpi.

I nie ma żadnych wątpliwości, że przebiegają prawidłowo?

Kiedy spotkałem się z szefem misji OBWE, mogłem mu powiedzieć tyle, że procedura wyborcza jest uczciwa bez cienia wątpliwości, że wszystko zapieczętowane jest na ostatni guzik.

Rok temu obydwie strony szły kowalą armię obserwatorów, bo wyborom jakoby groziło sfalszowanie. Przy wyborach europejskich tego nie było i teraz też nie widzę śladu podobnych działań.

Jedynie zatem, o czym bez wątpienia trzeba mówić, to telewizja publiczna. Jest nie tylko stronnicza, ale i nieznośnie toporna. Chyba jednak bardziej szkodzi PiS-owi, niż pomaga. Bez wątpienia każdy, kto ma wątpliwości, jak głosować, po obejrzeniu „Wiadomości” poczuje się zmobilizowany do głosu przeciw rządzącym.

Ale z kolei druga strona – czyli wielcy obrońcy standardów państwa demokratycznego – wystawia do Sejmu Roberta Kwiatkowskiego, o którym wszelkie źródła twierdzą, że jako szef telewizji publicznej uczestniczył w spotkaniach sztabowych kampanii Kwaśniewskiego.

Czego więc się dowiedzieliśmy o nas samych przez ten trwający rok maraton kampanijny? Czy coś się utrwaliło w zbiorowych emocjach przez cztery lata rządów PiS?

Wszystko się zaczęło od atmosfery wielkiej nadzwyczajności. Trybunał Konstytucyjny, reforma oświaty. Minęły cztery lata... i jest jak z obcierającym butem: na początku to strasznie dokuczliwe, potem zaczyna się trochę kuleć, z czasem noga się przystosowuje. Wiadomo, że nadal jest niewygodnie, ale to już inne uczucie.

Jeszcze za pół roku wybory prezydenckie, a potem wyjątkowo długi okres ciszy. Aż trzy i pół roku...

Nie wiem, jakie będą efekty powyborczego załamania, które dotknie jedną ze stron. Jak to się odbije na wszystkich podmiotach: na władzy lokalnej i takich instytucjach jak uczelnie i sądy. Panuje poczucie, że przez te lata wiele się popsuło. Ale ból od niewygodnych butów nie zagraża życiu.

Z drugiej strony, czy przyjdzie refleksja, że czas się przygotować na poważne wydarzenie? Widać, że idzie recesja, brexit prędzej czy później nastąpi, w USA coś się podzieje, Angela Merkel przestanie być kanclerzem. W tym pierwszym roku po wyborach może zdarzyć się bardzo wiele rzeczy. A o tym na razie nikt nie myśli.

©® Rozmawiał PAWEŁ BRAVO

DR HAB. JAROSŁAW FLIS jest socjologiem i politologiem. Członek rady Centrum Badań Ilościowych nad Polityką Uniwersytetu Jagiellońskiego. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego”.

Niezgoda buduje

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Każdy z nas zna osoby, z którymi wstyd mu się zgadzać. Myślą tak jak my, lecz swoje poglądy wyrażają w sposób dla nas niedopuszczalny. Ale znaleźliby się pewnie i tacy, z którymi aż miło się nie zgadzać.

TO NAJSMUTNIEJSZE BADANIE, JAKIE zrobiliśmy” – takich deklaracji nie czyta się codziennie. Nawet w internecie, gdzie mocne są w cenie. Artykuł opublikowany rankiem 1 października na stronie Wirtualnej Polski od razu wzbudził moje zainteresowanie. Badanie przeprowadzone na zlecenie portalu pokazuje, jak głęboka przepaść dzieje się dziś pomiędzy Polakami. Tylko 2 proc. wyborców KO uważa, że „można się dogadać” z wyborcami PiS. Po drugiej stronie jest niewiele lepiej – 9 proc. zwolenników rządu widzi w ogóle jakąkolwiek szansę porozumienia ze swymi ideowymi przeciwnikami. Respondentów proszono o przyporządkowanie „tym drugim” poszczególnych cech z listy. I tak aż 93 proc. wyborców opozycji uważa zwolenników rządu za konfliktowych, 89 proc. za samolubnych, 74 proc. za złych, a tylko 3 proc. za przyzwoitych. W przeciwną stronę nad przepaścią też wyciągają się raczej włócznie niż mosty. Wyborcy KO są w oczach zwolenników rządu chciwi (75 proc.), konfliktowi (75 proc.), samolubni (74 proc.), ale na pewno nie uczciwi (4 proc.) ani godni zaufania (5 proc.).

„Zgoda, zgoda!” – wciąż słychać nawoływania. W normalnych okolicznościach byłaby to woda na mój młyn i przyczynek do kolejnego już na tych łamach artykułu o tym, jak ważny



ŁUKASZ DEINAROWICZ / FORUM

Małgorzata Kidawa-Błońska (w środku) podczas rejsu po Motławie. Gdańsk, wrzesień 2019 r.

jest dialog i porozumienie, że musimy się opanować, powstrzymać narastającą polaryzację, wznosić mosty zamiast zasieków, budować przestrzeń dla zgody... Tyle że kiedy opublikowano wyniki tego badania, kończyłem właśnie pracę nad tekstem o przeciwnym wydźwięku.

„Tekst o pożytkach z niezgadania się” – zapisałem sobie w kalendarzu zlecenie. Z kilkoma znakami zapytania, bo najpierw sam się z tym pomysłem nie zgodziłem. Jak to? Wobec całej tej polaryzacji zmieniać nagle front i tuż przed wyborami pisać o pożytkach z podziałów?

Fetysz zgody

Cyndi Suarez jest raczej praktyczką niż teoretyczką. Doradza organizacjom pozarządowym, wspierając je w procesach mediacji i facylitacji. Jest też autorką ciekawej książki „The Power Manual”, gdzie opisuje relacje władzy z punktu widzenia działania. Pod jej piórem władza (*power*) zdefiniowana zostaje nie jako dominacja, hierarchia czy zdolność podporządkowania sobie innych, lecz jako możliwość skutecznego działania w świecie. Suarez jest też redaktorką magazynu „Nonprofit Quaterly” (NPQ). I to właśnie na jego łamach opublikowała niedawno artykuł, który porządnie dał mi do myślenia. Była to pochwała niezgody, z którą – po długich wewnętrznych bojach – musiałem się w końcu zgodzić.

„Fetysz zgody – pisze Suarez w tekście pod takim właśnie tytułem – to założenie, że porozumienie jest zawsze stanem preferowanym. Założenie to przyjmowane jest bezrefleksyjnie niemal wszędzie, w szczególności zaś w sektorze non profit”. Lepiej, kiedy ludzie się zgadzają, niż gdy się nie zgadzają? Domyślnym, a przynajmniej pożądanym, stanem rzeczywistości jest porozumienie. Sprzeczek, konflikt czy niezgoda uznawane są za wypaczenie – patologię, którą należy usunąć czy uleczyć. „W gruncie rzeczy – pisze dalej Suarez – po latach pracy z ruchami społecznymi doszłam do silnego przekonania, że musimy się zgadzać w naprawdę niewielu kwestiach. W zasadzie to ten pogląd stał się czymś w rodzaju mojej mantry, w miarę jak obserwowałam miażdżenie różnorodności i potencjału twórczego przez przymus zgody”.

„Fetysz zgody” – to określenie nie dało mi spokoju. Zgoda, porozumienie, przerzucanie mostów ponad podziałami to przecież jedno z niezliczonych haseł, które łączy w Polsce wszystkich. Wyborcy PiS uważają wprawdzie, że podział to kwestia knoń totalnej opozycji, a zwolennicy KO potrafią na zawołanie przywołać tysiąc przykładów skłócających działań rządu. Ale czy to możliwe, że obydwie strony myślą się na najbardziej podstawowym poziomie?

Może to właśnie marzenie o zgodzie jest pułapką, która sprawia, że zamiast po prostu nie zgadzać się z przeciwnikiem, demonizujemy go, obwiniając o wygnanie z wyobrazonego raju powszechnego konsensusu? Oznaczałoby to, że – jak pokazują wspomniane badania – politycznych oponentów uznajemy za złych, podłych i nieuczciwych nie dlatego, że coraz bardziej różnimy się w opiniach, lecz dlatego, że coraz mniej umiemy się różnić. Obsesyjne pragnienie zgody czyni nas nienawistnikami.

Pochwała konfliktu

Jak to możliwe, że idea „fetychu zgody” tak nas zadziwia? Przecież w zasadzie cała nowoczesna socjologia konfliktu oraz związana z nią teoria mediacji opiera się właśnie na tej fundamentalnej idei. Konflikt to naturalny element rzeczywistości. Bez konfliktu nie ma postępu, zmian społecznych, hierarchii ani ich obalania. Teoretycy podkreślają łatwość, z jaką pochwała konsensusu pozwala przemycić do debaty pogardę dla inności i obronę *status quo*, a specjaliści od mediacji mówią dziś znacznie częściej o „zarządzaniu konfliktem” niż o „rozwiązywaniu konfliktów”.

Szczególnego znaczenia pochwała konfliktu nabiera u badaczy zajmujących się przemianami zachodzącymi w kulturze współczesnej. Powszechna zgoda była →

→ całkiem sensowną ideą w społeczeństwie opartym na tym, co socjologzy nazywają „solidarnością mechaniczną”. Wyobraźmy sobie na przykład niewielką wieś, w której wszystkich mieszkańców łączą bardzo podobne doświadczenia, umiejętności, rozkład dnia i wiedza o świecie. W takiej społeczności faktycznie osiągnięcie bez słów porozumienie w niemal każdej kwestii może być gwarancją sukcesu.

Ale we współczesnym „społeczeństwie złożoności” czy „społeczeństwie sieciowym” ta sama zasada wcale nie musi się sprawdzać. Łączy nas bowiem „solidarność organiczna”, w ramach której każdy z nas pełni jak gdyby komplementarną funkcję w wielkim społecznym organizmie. Rozwijając tę starą socjologiczną metaforę, można powiedzieć, że nerki są inne od płuc, a ręka od nogi – i właśnie dzięki temu mogą odgrywać swą rolę. Pacjent, któremu przeszczepionoby zamiast płuca dodatkową nerkę, raczej nie miałby szans na przeżycie. Podobnie jak kurczak, który składałby się z samych nóg, choć ten akurat mógłby się okazać gratką dla producentów fast foodów.

W nowoczesnym społeczeństwie niezbędna staje się sprawna współpraca różnych jednostek oraz instytucji opartych na odmiennych, często niepasujących do siebie systemach wartości i wizjach świata. Wyzwaniem nie jest już homogenizacja, lecz mądre zarządzanie różnorodnością. Zdrowe społeczeństwo, sprawne państwo albo konkurencyjne przedsiębiorstwo to nie takie, które potrafi siłą zaprowadzić jedność, lecz takie, które nie ma problemów z tym, by zarządzać różnicami opinii, minimalizując siły odśrodkowe.

Jak współpracować sprawnie z kimś, kto jest skrajnie różny od nas? Jak żyć obok ludzi, z którymi się nie zgadzamy, bez poczucia przymusu przekonywania ich do swojej racji? Oto prawdziwe wyzwania współczesności. Globalna wioska to jednak nie wieś. Nie zapanuje tu powszechna zgoda.

Trójkąt

Rozważmy prostą sytuację negocjacyjną – sprzedaż mieszkania, samochodu albo targowanie się o tuzin jaj na bazarze. Jedna strona chce tanio kupić, druga – drogo sprzedać. Na pozór nie ma tu miejsca na głębokie rozważania z zakresu socjologii konfliktu. Ale czy nie

Jak współpracować sprawnie z kimś, kto jest różny od nas?

Jak żyć obok ludzi, z którymi się nie zgadzamy, bez poczucia przymusu przekonywania ich do swojej racji?

Oto prawdziwe wyzwania współczesności.

zdarzyło się Państwu nigdy kupić czegoś tanio i odejść z niesmakiem? Pomyślmy o sprzedawcy, który z pełnym pogardy grymasem mówi: „Dobrze, skoro cię nie stać, masz tu taniej”. Albo o sytuacji, kiedy kupiliśmy coś i nie mamy pojęcia, skąd właściwie wzięła się ostateczna cena.

Jeszcze jeden przykład. Pamiętam z czasów studenckich (a także szkolnych), że były piątki, z których się nie cieszyłem, i trójki, które przyniosły mi wiele satysfakcji. Jednym z kluczowych czynników, często równie ważnym jak wpisana do indeksu cyfra, było poczucie, że zasady oceniania są zrozumiałe, obiektywne i uczciwe.

To właśnie o takich przypadkach opowiada trójkąt satysfakcji. To jedno z podstawowych narzędzi zarządzania konfliktem wprowadzone przez Christophera Moore’a, autora książki „Mediacje. Praktyczne strategie rozwiązywania konfliktów” (polski tytuł niestety gubi kluczowy element procesualności zawarty w angielskim „The Mediation Process”). Moore twierdzi, że każde rozstrzygnięcie konfliktu przynosi uczestnikom satysfakcję (lub jej brak) w trzech obszarach. Satysfakcja merytoryczna jest najprostsza do opisanego i zrozumienia. Związana jest z rezultatem konfliktu. Jej miarą są właśnie pieniądze, które zostały w kieszeni, albo ocena wpisana do indeksu. Satysfakcja psychologiczna jest nieco trudniej uchwytna. Związana jest z emocjami: poczuciem zwycięstwa lub przegranej, potrzebą bycia wysłuchanym i docenionym, podtrzymaniem relacji czy możliwością wyjścia z twarzą. Pod uwagę należy brać jeszcze trzeci, najczęściej pomijany wymiar zarządzania konfliktem – satysfakcję proceduralną związaną z samym procesem. Czy zasady były uczciwe, z góry znane i transparentne? W jaki sposób wy-

łonione zostało rozwiązanie? Czy wiemy, co się właściwie stało i dlaczego?

Największą zaletą niezgody może być właśnie przesunięcie naszej uwagi poza wymiar satysfakcji merytorycznej. W życiu bywa tak, że się nie dogadujemy. Zysk jednego okazuje się stratą drugiego, wyznajemy odmienne estetyki czy niekompatybilne systemy wartości... Pytanie, co z tym niedogadaniem robimy dalej? Czy brak porozumienia, niemożność przekonania adwersarza do naszych racji oznacza koniec relacji między nami? A może okazuje się właśnie początkiem nowej relacji, opartej na szacunku i uznaniu autonomii tego drugiego. Tu kluczowe znaczenie miałby nie rezultat sporu, lecz jego forma – także styl, w jakim wygrywamy lub przegrywamy. Chcemy zaorać przeciwnika czy pozwolić mu wyjść ze sporu z twarzą? Czy uważam, że moja racja jest tak ważna, że dla jej promowania warto wspierać upartyjnienie mediów, fabryki fake newsów czy trolli obrażających przeciwników? Wolimy naginać zasady w imię wyższych idei czy przestrzegać ich właśnie po to, by budować świat, w którym idee i fakty mogą się obronić? Chcemy mieć rację czy mieć przyjaciół? Warto zadać sobie te pytania. Nim zaczniemy się spierać, zastanówmy się nad tym, jakie zasady sporu chcielibyśmy przyjąć.

Pewnie każdy z nas ma takie osoby, z którymi wstyd mu się zgadzać. Krewnych, przyjaciół, publicystów czy polityków, którzy myślą tak jak my, lecz swoje poglądy wyrażają w sposób dla nas niedopuszczalny. A znaleźliby się pewnie i tacy, z którymi aż miło się nie zgadzać. Dyskutanci, z którymi przyjemnie się spierać. Po rozmowie z nimi czy lekturze artykułu wcale nie musimy zmieniać zdania. Możemy rozejść się do domu w niezgodzie. Ale ta niezgoda nie zmienia się w nienawiść. A może nawet więcej – oznacza początek pięknej przyjaźni?

Prawdopośrodekizm i pomarańcza

Odrzucenie fetyszu zgody i przeniesienie uwagi z satysfakcji merytorycznej na emocjonalną i proceduralną przynosi jeszcze trzy ważne korzyści.

Po pierwsze, pozwala odrzucić pokusę prawdopośrodekizmu. To niebezpieczna choroba debaty publicznej, która objawia się tym, że wydaje nam się, że jeżeli istnieje konflikt, to każda strona musi mieć trochę racji, a prawda zapewne leży

pośrodku. „Argumenty lekarzy i wakcynologów są oczywiście istotne, ale nie lekceważmy tego, co mówią przedstawiciele ruchu antyszczepionkowego”. „Prezentujemy różne opinie – zaprosimy do studia klimatologa i publicystę, który nie wierzy w globalne ocieplenie”. Bo przecież zgoda jest ważna, a debata potrzebna, więc warto wysłuchać wszystkich stron. Otóż uwzględnienie trójkąta satysfakcji pozwala nam jednocześnie powiedzieć, że jakaś propozycja jest nieoparta na faktach, pozbawiona racji i niewarta poważnego rozważania, a zarazem uznać, że ludzie ją głoszący zasługują na szacunek, że powinniśmy zapewnić im możliwość wyjścia z twarzą, że pogarda nie jest rozwiązaniem. Ale brak pogardy nie oznacza przyznawania racji ani nawet zapraszania do zabierania głosu w mediach. Nie w każdej legendzie tkwi ziarno prawdy. Nie każde zdanie trzeba brać pod uwagę.

Druga korzyść wiąże się z przejściem od myślenia w kategoriach pozycyjnych do myślenia w kategoriach problemowych. Tę zmianę perspektywy doskonale ilustruje przypowieść powtarzana w niezliczonych podręcznikach i na kursach negocjacji. Oto dwie siostry dostały od rodziców pomarańczę i postanowiły się nią podzielić. Ponieważ zależało im na sprawiedliwym podziale, przecięły owoc na pół i obydwie odeszły zadowolone do swych zadań. Ale mechaniczny podział korzyści, do jakiego zachęcają nas negocjacje pozycyjne, nie zawsze jest najlepszy, choć wydaje się intuicyjny – gdy zysk jednego jest stratą drugiego, najlep-

sze, co możemy zrobić, to spotkać się pośrodku. Co by się stało, gdyby siostry poszły do sprawy problemowo i zadały sobie pytanie, do czego im właściwie pomarańcza? Otóż w tej historii było akurat tak, że jedna z sióstr chciała napić się soku, a druga – potrzebowała skórki do pieczenia ciasta. Istniało więc rozwiązanie znacznie lepsze niż sprawiedliwy podział owocu na pół. Jednak żeby je odkryć, trzeba było z walki o swoje przejść do trybu wspólnego rozwiązywania problemu.

Trzecia korzyść ze zmiany perspektywy jest najbardziej interesująca. Otóż badania – zwłaszcza uwzględniające wpływ mediów społecznościowych – sugerują wyraźny związek pomiędzy konformizmem a polaryzacją polityczną, a więc powstawaniem duopoli czy oligopoli, w ramach których scena polityczna zostaje trwale podzielona między dwóch lub kilku wielkich graczy, a wszystkie opinie pośrednie – zmarginalizowane i podporządkowane. Jeżeli konformizm wewnątrzgrupowy jest fundamentem polaryzacji, to promowanie niezgody może – paradoksalnie – sprawić, że rów wykopany dziś między koalicją i opozycją stanie się płytszy, bo wyborcy (i politycy!) PiS staną się grupą mniej jednorodną – będą się rzadziej zgadzać z innymi wyborcami PiS.

Rozstańmy się w niezgodzie

Problem niezgody wydaje mi się szczególnie ważny w kontekście wyborów. Choćby nawet zwycięska partia otrzy-

mała 51 proc. głosów, wciąż 49 proc. głosujących będzie niezadowolonych. Wielu autorów ubolewa nad podziałami. Sam bywam jednym z nich. Ale może warto spojrzeć na ten problem pod innym kątem. Ta niezgoda jest dowodem demokracji. Raczej nie chcielibyśmy żyć w jednym z tych krajów, w których zwycięzca regularnie zgarnia 99 proc. poparcia, prawda? Sekretem nie jest więc przekonanie wszystkich do tego samego wyboru, lecz stworzenie przestrzeni, w której możemy się ze sobą nie zgadzać w sposób cywilizowany.

Rozmawiamy, żeby dojść do porozumienia. Ale co to właściwie znaczy? Czy pragnienie zgody nie okazuje się ostatecznie słabo zakamuflowanym nakazem przekonania przeciwnika? Udana dyskusja to taka, w której na końcu jest zgoda. Ale czym ma być ta zgoda? Może prawdziwą zgodą byłoby właśnie rozstanie się w niezgodzie?

Oczywiście wspomniane na początku tego tekstu badanie wciąż przynosi niepokojące wyniki. Podział przecinający dziś polską sferę publiczną jest niewątpliwie głęboki i nadal uważam, że warto się poważnie zastanawiać nad jego przyczynami i środkami zaradczymi. Ale może wcale nie pod hasłem narodowej zgody? Może powinniśmy głosować na tych polityków, którzy zamiast obietnic narodowej zgody, proponują raczej odpowiedzialne zarządzanie narodową niezgodą?

Tak myślę. Choć oczywiście mają Państwo pełne prawo się ze mną nie zgodzić.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij,
Mariusz Sepiolo, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frotow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik),
Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Monika Ochędowska, Mateusz Gawron,
Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Kłata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus
Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata
Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna
Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław
Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota
Kozłowska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin
Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz,
Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83,
prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: Jom Kipur



SÍÓDMEGO MIESIĄCA ROKU, W MIESIĄCU Tiszri, zaczął się już nowy rok – 5780. Wyślu-
chaliśmy dźwięków szofaru, zjedliśmy
w niedzielę uroczysty seder i przez naj-
bliższe dziesięć strasznych dni wszystkie

istoty na ziemi, nawet ryby i raki, drząc
będą czekać na wyroki najwyższego sądu. Będą czekać wy-
znając swoje grzechy i złe uczynki, by ostatecznie w dzień
Jom Kipur, w dzień pojednania, Księga Życia została opie-
czętowana. Teraz już zapadła decyzja, kto żyć będzie, bo życie
samo jest nagrodą za zdolność pojednania z bliskimi i Bogiem
przez skruchę i to, co w hebrajskim nazywane jest *teszuwa*,
powrót do Boga. To święto uczy, że bez skruchy i wybaczenia
świat istnieć nie może. Nie mogą istnieć rodziny, przyjaźnie,
wspólnoty, narody. Jom Kipur jest dniem oczyszczenia i no-
wego początku. Wymieniane są po kolei wszystkie możliwe
ludzkie grzechy i przewiny. Wierni bijąc się w piersi, proszą
Najwyższego o zmiłowanie, wierząc w szczelinę światła i ła-
ski, przez którą przecisną się do życia i błogosławieństw.

W ten dzień czytamy jako haftarę (rodzaj komentarza do
głównego czytania) Księgę Jonasza. Talmud nakazuje, by po
południu w Jom Kipur wysłuchać z Księgi Kapłańskiej frag-
mentów dotyczących zabronionych stosunków seksualnych
(Kpł 18, 1-30), a także przypomnieć sobie Jonasza. „Gdziekol-
wiek napotkamy (w Tanach) Świętego Jedyne, Błogosła-
wiony On, napotkamy również świadectwa Jego pokory”.
W tym fragmencie nauk talmudycznych znajdziemy wiele
przykładów wziętych z Biblii na temat pokory Boga. Jest to
dzień łaski i litości, w którym wierni mają odczuć, że nic nie
jest w tym świecie trwałe i mocne, poza miłością Boga i Jego
gotowością do udzielenia ludziom przebaczenia. Księga Jo-
nasza ukazuje łaskę Najwyższego, która obejmuje również
pogan i obcych. Takimi byli mieszkańcy Niniwy. Nie jest
ważne, czy ich skrucha była pełna. Ważne, że są ludźmi,
stworzeniami Boga i jako takim należy wybaczać i mieć ich
w swej opiece. Odnajdujemy w ostatnim zdaniu Księgi Jo-
nasza słowa Boga: czyżbym nie miał się troszczyć o Niniwę,
w której mieszka 120 tysięcy dusz, o ludzi, którzy nie odróż-
niają prawicy od lewicy, i o ich stworzenia? Bóg nie twier-
dzi, że dba o nich, bo się oczyścili, nawrócili, że ich skrucha
była pełna. Nie. Bóg dba o nich niezależnie od tego, kim są.
Domaga się od Jonasza, by tak samo dbał o krzak rycynusa
i o Asyryjczyków nie dlatego, że mają czemuś służyć, że są
potrzebni, moralni, ale dlatego, że są. Bóg kwestionuje pogląd
Jonasza, dla którego każdy grzech powinien być policzony
i za każdy należy odpowiedzieć. Uczy nas, że *teszuwa* jest tą
szczególną relacją, w której zło przez nas popełnione nie gi-
nie, ale że dzięki skrusze nie jest już przeszkodą w budowaniu
mocnego związku ludzi z Najwyższym. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Uwięzione słowo



NIEDAWNO DOWIEDZIELIŚMY SIĘ OD WAŻ-
nego polityka, że nikt inny, tylko „Ko-
ściół był i jest głosicielem i dzierżycielem
jedyne go powszechnie znanego w Polsce
systemu wartości”. Co więcej, „każdy do-
bry Polak musi wiedzieć, że poza nim [Ko-
ściołem] jest nihilizm i my ten nihilizm odrzucamy”.

Odrzu-
camy zatem ekumenizm, dialog międzyreligijny, II Sobór
Watykański i posoborowych papieży (w tym tych, których
ogłosiliśmy świętymi), odrzucamy żydów, muzułmanów
z Białostocczyzny i tych nowo przybyłych, protestantów, ate-
istów – właściwie wszystkich, którzy nie podzielają naszych
poglądów. Poglądów nie nowych, ale za to sprawdzonych,
wypróbowanych w ogniu wojen religijnych, stosów, pogro-
mów, gett, burd w parlamencie i na stadionach.

Na szczęście jest jeszcze w narodzie paru proroków. Prymas
Wojciech Polak tak skomentował wypowiedź polityka: „Nie
jest to absolutnie stanowisko Kościoła katolickiego w Polsce
ani w ogóle stanowisko Kościoła katolickiego”. Niech to wy-
starczy, na więcej szkoda słów.

A teraz inny biskup, Heinrich Bedford-Strohm, szef rady
niemieckiego Kościoła ewangelickiego, na inny temat, ale też
„niemiły”: „ratowanie ludzi to część naszej chrześcijańskiej
misji”. W ten sposób biskup uzasadniał zamiar zakupienia
statku i wysłania misji na Morze Śródziemne. Wkrótce po-
tem ktoś przesłał mu w liście biały proszek. Do tej trucizny,
na szczęście nieprawdziwej, my, Polacy-katolicy, domiesza-
libyśmy jeszcze słowa, ale za to naprawdę trujące.

Nie wiadomo, z jakiego katechizmu niektórzy politycy
czerpią wiedzę o Kościele, wiadomo natomiast, czyjego du-
cha są wspomniani biskupi-nihilisci. Paweł Apostoł mówi:
„Pamiętaj o Jezusie Chrystusie z rodu Dawida, który po-
wstał z martwych. To jest moja Ewangelia, dla której znoszę
udręki aż do uwięzienia jak złoczyńca. Lecz słowo Boże nie
zostało uwięzione! Znoszę to wszystko ze względu na wybra-
nych, aby i oni osiągnęli zbawienie w Chrystusie Jezusie oraz
wieczną chwałę”.

Zarzucając innym cokolwiek, warto zapytać, czy przypad-
kiem nas nie trapi podobna przypadłość. Istnieje bowiem coś
takiego jak fundamentalizm biblijno-teologiczny, w myśl
którego tego, czego nie ma w Biblii i nie było w teologii, nie
powinno być w ogóle. A przecież nasza Biblia to nie tylko
książka, słowo Boże to nie tylko kazanie; nasze Prawo to ży-
jący we wszystkim i ponad wszystkim Jezus Chrystus. Jak
Go zobaczyć? Wystarczy np. potraktować wiadomości te-
lewizyjne nie jako horror, ale jako przerażający krzyk Boga
w krzyku lub milczeniu skrzywdzonego człowieka. Wtedy
polityka ma szansę stać się szlachetną sztuką, a słowa polity-
ków dobrą nowiną. ©

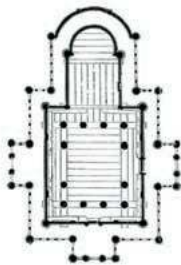
ABP GRZEGORZ

Ryś:

Pustka po ludziach

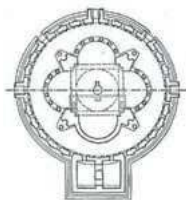
Milczeniem
modliłam się...

FAUSTYNA KOWALSKA



Gdy trwasz w ciszy,
rozumiesz.
Gdy mówisz, mówisz.
Skoro Umysł poczyną
mowę w ciszy,
tylko mowa poczęta
w ciszy i Umyśle
jest zbawieniem.

HERMES TRISMEGISTOS



„JEZUS ZWOŁAŁ DWUNASTU, dał im moc i władzę nad wszystkimi złymi duchami oraz władzę leczenia chorób. I wysłał ich, aby głosili kró-

lestwo Boże i uzdrawiali chorych. Mówił do nich: »Nie bierzcie nic na drogę: ani laski, ani torby podróжной, ani chleba, ani pieniędzy; nie miejcie też po dwie suknie« – tymi słowami św. Łukasz rozpoczyna opis posłania Apostołów na pierwszą misję (zob. Łk 9, 1-6). To ważne słowa! Obowiązują nas wszystkich, skoro tylko cały Kościół – jak wyznajemy – jest apostołski.

Słowa te mówią wyraźnie, co Pan daje, i czego nie daje swoim Apostołom, kiedy ich posyła z misją. Co jej sprzyja, a co raczej przeszkadza. Daje im władzę nad wszystkimi złymi duchami oraz władzę leczenia chorób. Wykonujemy ją na przykład w sakramentach. Jego mocą udzielamy ludziom nowego życia we chrzcie i odpuszczamy im grzechy. Jego mocą pokrzepiamy ich w sakramencie chorych i konsekrujemy chleb i wino na ołtarzu.

Nie daje nam natomiast Pan ani laski, ani torby, do której moglibyśmy włożyć rzeczy niezbędne na podróż. Nie daje ani pieniędzy, ani kanapek na drogę. Niepotrzebne na nic okazuje się też zapasowe ubranie.

Iść bez laski to znaczy iść bez jakiegokolwiek broni – laska w tamtym czasie i miejscu służyła do obrony przed zwierzętami, a jeśli było trzeba, to i przed ludźmi. Jezus mówi do nas: Nie zbrojcie się przed misją. Królestwa Bożego nie ustanowicie prze-

mocą ani gwałtem. Nasza głowa i działanie mają być skupione na kerygmacie, a nie na tym, jak ubezpieczyć samych siebie. Tak, laska/broń, pieniądze, zapasy mogą dawać poczucie bezpieczeństwa, niezależności i pewności siebie. A co, jeśli Jezus chce nas nauczyć raczej zaufania do ludzi niż zabezpieczania się przed nimi?

Co, jeśli woli nas ustawić na początek w pozycji raczej potrzebującego czy słabszego niż dominującego i sytego? Co, jeśli chce w nas zbudować wiarę w środki ubogie (tzn. ewangeliczne), a nie bogate (czytaj: światowe)? Jaki sens jest porzucać w ewangelizacji narzędzia, które nam dał – na rzecz tych, których nam nie dał? Czy te drugie mogą być w ogóle skuteczne? A jeśli wydają się takimi być, to czy jest to skuteczność, o jaką naprawdę nam chodzi? I na jak długo obliczona?

Było mi dane niespełna miesiąc temu rozmawiać dłużej z papieżem Franciszkiem. W pewnej chwili rozmowa zesłała na temat powracającej w dziejach Kościoła z częstotliwością refrenu pokusy wiązania się z władzą doczesną – stworzenia kolejnej wersji sojuszu ołtarza z tronem.

Papież każdy rodzaj takiego sojuszu spointował krótkim włoskim powiedzonkiem: „*Oggi pane – domani fame*” (dosł. „Dzisiaj chleb – jutro głód”).

Ten „jutrzejszy głód” – myślę, że wszyscy to przeżywamy – nie będzie tylko głodem materialnych środków; administracyjnego czy ekonomicznego wsparcia. Może się okazać pustką po odsuniętych na bok wartościach i po... ludziach, dla których były one ważniejsze niż dla nas. ©

CYTANIA LITURGICZNE (13 – 20 X)

Wybrał PIOTR SIKORA

28. niedziela zwykła: 2 Krl 5, 14-17;
Ps 98; 2 Tm 2, 8-13; Łk 17, 11-19;
Poniedziałek: Rz 1, 1-7; Ps 98; Łk 11, 29-32;
Wtorek: Rz 1, 16-25; Ps 19; Łk 11, 37-41;
Środa: Rz 1, 16-25; Ps 19; Łk 11, 37-41;

Czwartek: Rz 3, 21-30a; Ps 130; Łk 11, 47-54;
Piątek: 2 Tm 4, 9-17a; Ps 145; Łk 10, 1-9;
Sobota: Rz 4, 13. 16-18; Ps 105; Łk 12, 8-12;
29. niedziela zwykła: Wj 17, 8-13;
Ps 121; 2 Tm 3, 14 – 4, 2; Łk 18, 1-8.

BANKOWIEC NASZ PAN

Jest coś perwersyjnego w tym, że w kraju,
którego mieszkańcy uwielbiają kupować,
prawo do błędu chętniej przyznaje się sprzedającym.
Widać to jak na dłoni w sprawie kredytów frankowych.

MAREK RABIJ

PRY ODROBINIE POLITYCZNEGO POCZUCIA humoru sędziowie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej mogliby odwlec ogłoszenie sentencji swojej decyzji o kilkanaście dni – czyli na okres po zakończeniu kampanii wyborczej. Orzeczenie zamknęłoby w ten symboliczny sposób pełną kadencję rządów Prawa i Sprawiedliwości, które do poprzednich wyborów wyruszyło uzbrojone w obietnicę rozwiązania tzw. problemu frankowiczów, by zaraz po zwycięstwie wycofać się raczkami z tego przyrzeczenia.

Odwrot partyi rządzącej w sprawie franków zakończył się, jak wiadomo, apelem prezesa Kaczyńskiego, aby poszkodowani wzięli sprawy w swoje ręce i pozywali banki indywidualnie. W ten sposób PiS niechący przyłożyć zatem rękę do scenariusza realizującego jego przedwyborcze obietnice: małżeństwo zdesperowanych frankowiczów z Warszawy złożyło pozew do sądu. Ten zaś odesłał sprawę do zbadania TSUE, a Trybunał w sporze banki-kredytobiorcy opowiedział się po stronie konsumentów, uznając klauzulę indeksacyjną umowy kredytowej za niezgodną z prawem i otwierając klientom drogę do przewalutowania hipotek na złotowe z zachowaniem dotychczasowych stóp procentowych dla franka szwajcarskiego.

Rzeczowa ocena kosztów, jakie poniosą z tego tytułu banki, możliwa będzie za-

pewne dopiero za kilka lat. Jedno nie ulega wątpliwości już dziś: państwo polskie kolejno raz udowodniło obywatelom, że na niewiele się im przydaje.

Teoria w praktyce

– Po kilkunastu latach członkostwa w Unii poziom ochrony, jaką polskie prawo zapewnia rodzimym konsumentom, nie odbiega od tej, którą mają zagwarantowaną konsumenci z innych krajów europejskich – twierdzi dr Aneta Wiewiórowska-Domagańska, prawniczka z European Legal Studies Institute Uniwersytetu Osnabrück, współprzewodnicząca Społecznego Forum Ekspertckiego przy Rzeczniku Praw Obywatelskich. – Problemem nie jest jednak to, co państwo gotowe jest zaoferować obywatelom w teorii, lecz to, jak w praktyce wygląda egzekucja praw.

Głównym narzędziem państwa w walce o prawa konsumenckie i równowagę rynkową jest Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów utworzony pod koniec lat 90. na fundamentach Urzędu Antymonopolowego. W rocznym sprawozdaniu prezes UOKiK podaje, że w 2017 r. (nowszych danych brak) urząd miał do dyspozycji 71 mln zł i zatrudniał 498 osób. Od 2012 r. budżet instytucji wzrósł zatem o 29,2 proc., a liczba jego pracowników – o nieco ponad 7 proc. Nie najgorzej, jeśli zestawić te liczby z danymi o tempie wzrostu wynagrodzeń





JACEK WALSZAK / REPORTER

w gospodarce, które w tym samym czasie zwiększyły się o 21 proc. oraz ze wskaźnikami PKB, który w latach 2012-17 zwiększył się łącznie o około 15 proc.

Prawdziwe rozmiary urzędniczej kołderki UOKiK-u pokazuje jednak dopiero zestawienie danych o budżecie i zatrudnieniu w urzędzie z informacją GUS o wartości polskiego handlu wewnętrznego, która w latach 2012-17 uległa niemal podwojeniu z 676 do 1286,6 mld zł! Do nadzoru nad rynkiem, który rozrósł się niemal dwukrotnie, państwo skierowało więc w tym czasie zaledwie... 33 nowych urzędników.

– Gdybyśmy z personelu UOKiK odliczyli osoby bez wykształcenia prawniczego, zostanie niespełna dwustu pracowników od nadzorowania praktycznie całego polskiego rynku wewnętrznego. W Niemczech w samym Berlinie w Verbraucherzentrale pracuje ponad 200 osób – wylicza dr Wiewiórowska-Domagalska. – Myślę, że to zestawienie mówi najwięcej o miejscu praw konsumenckich w piramidzie celów politycznych obu krajów.

Drugą kluczową instytucją w krajowym systemie ochrony konsumentów jest Komisja Nadzoru Finansowego, odpowiedzialna za polski sektor finansowy – wart obecnie ok. 3 biliony złotych. Problemem KNF nie są braki kadrowe, instytucja zatrudnia bowiem blisko tysiąc osób. Miarą jej faktycznej słabości jest to, że na jej czele nie stanął dotąd polityk z dorobkiem politycznym i zapleczem, które gwarantowałyby mu posłuch w sferach rządowych.

Realnym zagrożeniem dla transparentności jej działań są także obrotowe drzwi łączące Komisję z kontrolowanym przez nią światem instytucji finansowych. Jerzy Pruski, były szef Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, został wiceprezesem Idea Banku. Pracę dla tego banku ma w zawodowym życiorysie również Łukasz Dajnowicz, wieloletni rzecznik prasowy KNF. Jarosław Ostrowski, szef jednego z kluczowych departamentów Komisji, sprawował funkcję wiceprezesa Polskiego Domu Maklerskiego – tego samego, który pojawia się w aferze GetBack w roli jednego z głównych dystrybutorów obligacji windykatorka.

Najbardziej symptomatyczne pod tym względem są zresztą dalsze kariery dwóch szefów KNF, którzy po zakończeniu kadencji szybko trafili do biznesu: Stanisław Kluza – jako prezes Banku Ochrony Środowiska, zaś Andrzej Jakubiak – na stanowisko zastępcy dyrektora działu prawnego mBanku.

Czy w tej sytuacji dziwić może fakt, że od afery Art B sprzed 27 lat, przez sprawy parbanków Finroyal i Amber Gold, niedawną upadłość SK Banku, aż po aferę GetBack – państwo wkraczało do akcji po fakcie, w roli śledczego, ⇨

→ który zabezpiecza materiał dowodowy, a nie jako bufor zdolny uchronić poszkodowanych przed stratami?

KNF broni się przekonując, że nadzór finansowy musi obdarzać uczestników rynku minimum zaufania, jeśli ma być dla nich arbitrem, a nie oparą. Sporo w tym racji. Problem w tym, że KNF w zbyt wielu przypadkach okazywał się sędzią, nie zdążył nawet zauważyć, że mecz dobiegł końca.

W sprawie SK Banku, z którego wyparowało łącznie 2,7 mld zł i depozyty, klientów musiał ratować Bankowy Fundusz Gwarancyjny (czyli rzucili się na nich klienci innych banków). Najwyższa Izba Kontroli zarzuciła Komisji interwencję spóźnioną o „co najmniej trzy kwartały”. Regulator solidnie zaspał także przy sprawie GetBacku, który naraził swoich obligatariuszy na ponad 2,6 mld zł strat. Pod koniec 2017 r., kiedy pierwsze biura maklerskie zaczęły cofać temu windykatorowi pozytywne rekomendacje, KNF dopinał właśnie na ostatni guzik kampanię ostrzegającą Polaków przed ryzykiem inwestycji w bitcoiny. Również po niewczasie, bo kurs większości kryptowalut miał załamać się dosłownie na dniach.

Pytanie o takie zaniechanie wydaje się retoryczne w kontekście listu, który pod koniec 2016 r. przesłał posłom ustępujący wówczas z fotela szefa KNF Andrzej Jakubiak. Pytany wtedy o to, dlaczego Komisja w żaden sposób nie wsparła na czas milionów klientów namówionych do zain-

westowania ok. 50 mld zł w tzw. polisolokaty (lokaty połączone celowo z polisą w taki sposób, że rezygnacja z ubezpieczenia wiązała się z utratą nawet 90 proc. kwoty zdeponowanej na lokacie), przewodniczący odpisał, że Komisja „nie posiada kompetencji do rozpatrywania skarg w znaczeniu polegającym na badaniu zasadności zarzutów dotyczących wadliwego zawarcia czy wykonywania przez zakład ubezpieczeń umowy z klientem i wypowiadaniu się w przedmiocie zasadności roszczeń klientów w indywidualnych przypadkach. (...) Skargi są jednym z istotnych źródeł informacji o sposobie funkcjonowania rynku i problemach tamże występujących”.

Słowem – to nie KNF ma być dla obywateli źródłem informacji o potencjalnych ryzykach czyhających na rynkach finansowych, lecz odwrotnie.

Chronić słabszego

A przecież mowa o obywatelach, którzy wprost kochają wydawać pieniądze i w rolę konsumenta wcielają się o wiele częściej niż w polityczne postaci wyborcy lub podatnika. Na zakupy – jak wynika z danych firmy badawczej Nielsen – chodzimy aż 360 razy w roku, blisko trzy razy częściej od przeciętnego Brytyjczyka (138 wizyt) oraz zauważalnie częściej od znacznie zamożniejszych Niemców (229). Każdego miesiąca bywamy przynajmniej 13 razy w dyskoncie, do tego dochodzi ok. 14 wizyt w piekarni i 12 w tradycyjnym

sklepie spożywczym. Bilans uzupełnia kilkanaście comiesięcznych wypraw do super- i hipermarketu, drogerii, kiosku, warzywniaka lub sklepu specjalistycznego.

Kupujemy również coraz więcej. Eurostat podaje, że wydatki konsumpcyjne Polaków w 2017 r. sięgnęły 76 proc. średniej dla 39 badanych państw Europy, co dało nam 25. miejsce na liście najbardziej rozrzuconych nacji kontynentu (z uwzględnieniem siły nabywczej). Do liderów tego zestawienia, Norwegów, którzy wydają o 74 proc. więcej niż Polacy, wciąż daleko, ale jeszcze w 2007 r. różnica ta wynosiła aż 126 proc. Przepaść w wielkości wydatków konsumpcyjnych w Polsce i w Niemczech w tym samym okresie stopniała z 98 do 61 proc.

W tej sytuacji logiczne wydaje się także oczekiwanie, że przy kasie prawo będzie bardziej chronić klienta, niż stać na straży interesu sprzedającego. Prawo rzymskie stało wprawdzie na stanowisku, że relacje obu stron transakcji najlepiej oprzeć na regule ograniczonego zaufania do sprzedającego, w którego interesie zawsze leży maksymalizacja zysku.

To antyczne *caveat emptor* (łac. niech się strzeże kupujący) do dziś znajduje zastosowanie w niektórych systemach prawnych. Przykładowo, w prawie anglosaskim ukrycie przed nabywcą wad nieruchomości nie jest podstawą do unieważnienia umowy, bo to w jego interesie leży dokładne sprawdzenie stanu technicznego budynku. Prawo europejskie poszło jednak w innym kierunku i mniej więcej od końca epoki rewolucji przemysłowej stara się objąć możliwie najlepszą ochroną kupującego – jako słabszą stronę transakcji.

Rozwój gospodarki pociągnął bowiem za sobą także powstanie rynku masowego, na którym relacje klient–sprzedający wyglądają inaczej niż na rzymskim bazarze. We współczesnym banku nawet najbardziej nieufny klient zderzy się z produktem przygotowanym przez sztab prawników, specjalistów od pozycjonowania marki i fachowców od marketingu. Słowem – z wielowarstwową konstrukcją, której funkcjonalność może prawidłowo ocenić jedynie osoba mająca czas, a nierzadko także przygotowanie merytoryczne i dostęp do informacji poufnych.

Wiele wskazuje na to, że takimi produktami były właśnie kredyty indeksowane lub denominowane kursem obcej

Koszty zastępstwa

Największymi wygranymi orzeczenia TSUE będą prawnicy. Wyrok Trybunału nie ma automatycznego przełożenia na sytuację frankowiczów, którzy muszą poprosić sąd o usunięcie z umów niedozwolonych klauzul (po decyzji TSUE łatwiej będzie o korzystny wyrok). Łączna wartość aktywnych umów kredytowych we franku szwajcarskim sięga 97 mld zł. Zakładając, że taki pozew skieruje do sądu – jak szacuje choćby Stowarzyszenie „Stop Bankowemu Bezprawiu” –

tylko co piąty frankowicz, nominalna wartość umów będących przedmiotem sporów sądowych sięgnie 19,4 mld zł. Większość wygranych spraw przeciw bankom skończyła się redukcją zadłużenia o 30-40 proc., można więc przyjąć, że na wokandę wejdą sprawy frankowe warte łącznie od 5,8 do 7,8 mld zł. Część prawników już zadeklarowała, że poprowadzi sprawy frankowiczów za ok. 15 proc. wygranej – co dałoby od 870 mln do

1,17 mld zł do podziału pomiędzy palestrę. Nic dziwnego, że frankowiczom spieszą „z pomocą” nie tylko kancelarie prawne, ale i rozmaici hochsztaplerzy. W sieci można znaleźć serwisy proponujące „darmową analizę umowy kredytowej”, a są próbą wyłudzenia danych osobowych. Biuro Rzecznika Praw Obywatelskich radzi, by korzystać z porad Rzecznika Finansowego lub pomocy UOKiK.

©© MR

waluty. Klienci, którzy w połowie zeszłej dekady chcieli po prostu kupić sobie mieszkanie, nie musieli wiedzieć tego, z czego z pewnością zdawali sobie sprawę polscy bankowcy – że w Europie Zachodniej kolejne kraje zakazują właśnie pożyczania na mieszkanie w walutach innych niż ta, w której klient dostaje wypłatę, z uwagi na skalę ryzyka związanego z takim zobowiązaniem. Z pewnością zaś nie spodziewali się, że niektóre banki będą majstrować w kalkulatorach zdolności kredytowej w taki sposób, aby potencjalnym klientom zamknąć drogę do kredytu w polskim złotym, ale pozwolić zadłużyć się we franku (najczęściej w obliczaniu wysokości raty i zadłużenia nie uwzględniano po prostu spreadu).

– Konsument nie jest dziś równorzędną stroną umowy. Teoretycznie zawsze może zrezygnować z zakupu produktu lub usług, ale czy naprawdę mamy taką możliwość? Czy można dziś funkcjonować bez konta w banku, bez umowy z operatorem komórkowym tylko dlatego, że warunki świadczenia usług wydały się nam niekorzystne? Czy da się w pojedynkę negocjować z koncernem samochodowym warunki gwarancji? – pyta dr Wiewiórowska-Domagalska. – Właśnie dlatego na pewnym etapie relacji konsument–przedsiębiorca do akcji musi czasem wkroczyć państwo i wziąć stronę słabszych.

Kupił, czyli winien

Sądząc choćby po reakcjach części opinii publicznej na sprawę kredytów frankowych, przekonanie o konieczności

Klienci, którzy w połowie zeszłej dekady chcieli po prostu kupić sobie mieszkanie, **nie musieli wiedzieć tego, z czego zdawali sobie sprawę bankowcy.**

ochrony konsumenta przed machiną współczesnego biznesu nie jest jednak w Polsce powszechne. Niechętnie frankowiczom komentarze, nawet ze strony osób niezaangażowanych w spór o franki, świadczyć mogą wręcz o tym, że w realiach polskiego wolnego rynku rzymskie *caveat emptor* trzyma się mocno: jeśli kupujący dał się nabić w butelkę, jest sobie winien.

Aneta Wiewiórowska-Domagalska: – Nawet kampanie społeczne prowadzone w Polsce przez organizacje pozarządowe koncentrują się na odpowiedzialności konsumentów za ewentualne straty. Ich przekaz brzmi zwykle: „przeczytaj starannie umowę, zwróć uwagę na to, co podpisujesz”. Jakoś nie przypominam sobie za to kampanii, której organizatorzy próbowaliby przebić się z komunikatem: „przedsiębiorco, nie oszukuj klientów”.

Być może nadal przebija przez to wspomnienie rynkowego niedoboru, a wyrozumiałość, jaką obdarzamy nieuczciwych przedsiębiorców przy jednoczesnym potępieniu ich ofiar, jest swoistym wolnorynkowym gambitem. W gruncie rzeczy,

odpowiedź na pytanie o źródła takiej postawy można jednak odłożyć na plan dalszy, koncentrując się na ich konsekwencjach.

Z danych Rzecznika Finansowego wynika, że w latach 2002–16 liczba skarg na krajowe instytucje finansowe wzrosła z 764 do 1353 rocznie. W badaniu przeprowadzonym przez Małgorzatę Solarz z Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu aż 46 proc. ankietowanych twierdziło z kolei, że oferta instytucji finansowych służy wyłącznie realizacji ich wewnętrznych celów i nie bierze pod uwagę preferencji klienta. Co trzeci badany uważał, że przy zawieraniu umowy pracownik nie przekazał mu wszystkich informacji potrzebnych do właściwej oceny opłacalności zakupu, a 19 proc. wprost oskarżało bankowców i innych speców od finansów o wciśnięcie im niekorzystnego produktu i wykorzystanie niewiedzy klienta.

Misselling, czyli sprzedaż bazująca na wprowadzaniu klientów w błąd, może kojarzyć się z wyrafinowanymi usługami finansowymi dla garstki rentierów, ale badania dowodzą, że i tu w ostatnich latach nastąpiła daleko posunięta demokratyzacja. Ankieta SW Research i Agencji Badań Rynku i Opinii z 2017 r. pokazała, że typową ofiarą bankowego *missellingu* jest dziś mężczyzna w wieku od 25 do 34 lat, z wykształceniem podstawowym lub gimnazjalnym, z małego miasteczka, zarabiający miesięcznie od 2 do 3 tys. zł. W tym sensie starorzyskie *caveat emptor* rzeczywiście nie traci na aktualności. Ofiarą może być każdy. © MAREK RABIJ

REKLAMA



**Chcę dla niej
lepszego świata.
Ty też?**

Wspieraj lepszy świat dla
każdej dziewczynki i kobiety

Wejdź na **femfund.pl**

**FEM
FUND**
fundusz
feministyczny

Cztery lekcje z czterech lat

RAFAŁ WOŚ

Czego dowiedzieliśmy się o sobie i polityce od czasu poprzednich wyborów parlamentarnych? Dobrze było czy źle – możemy się kłócić. Na pewno jednak było ciekawie.

DOBRYM POMYSŁEM DLA WSZYSTKICH komentatorów życia publicznego w Polsce jest przyjęcie „strategii GPS”. Dobra nawigacja nie krzyczy przecież na użytkownika-obywatela: „Idioto! Żle skręciłeś!”, tylko analizuje stale zmieniającą się trasę i stara się proponować nowe sposoby dotarcia do celu. Bo życie zawsze toczy się dalej. Co mówi GPS po czterech latach rządów Prawa i Sprawiedliwości?

Lekcja pierwsza: ekonomia to też polityka

Był luty 2016 r., a w Sejmie trwała debata na temat 500 plus. „Nie uda wam się! – rzucił Ryszard Petru, ówczesny lider Nowoczesnej w kierunku ław rządowych. – Mówię wam to jako ekonomista. Nie uda wam się!”.

Scenariusz rysowany przez krytyków rządowych pomysłów na gospodarkę zakładał, że w tzw. „nadbudowie” władza sobie jako poradzi, bo to łatwe. Ale gospodarcza „baza” nie znieśie posunięć w stylu 500 plus, obniżki wieku emerytalnego, wolnych od handlu niedziel czy podwyżki płacy minimalnej. Będzie więc tak, że budżet się nie domknie, kapitał ucieknie z Polski, siądzie koniunktura, wróci bezrobocie, a rozwścieczeni obywatele sami pogonią PiS. Najpóźniej na koniec kadencji, a może i wcześniej.

Budżet się nie rozleciał. Dług publiczny i deficyt uległy zmniejszeniu. Spadło też (do poziomu notowanego ostatnio w 2009 r.) zadłużenie zagraniczne. Bezrobocie jest na tyle niskie, że w zasadzie można mówić o pełnym zatrudnieniu, a tempo wzrostu gospodarczego sprawia, że gospodarce grozi nie tyle spowolnienie,

nie, co... przegrzanie. W efekcie w 2019 r. martwimy się np. potencjalnym wzrostem inflacji, który zazwyczaj jest konsekwencją szybkiego wzrostu.

Nieźle wyglądają również wskaźniki społeczne, np. mierzona przez GUS co roku relacja dochodów gospodarstw domowych do ponoszonych przez nich sztywnych wydatków. Gdy PiS przejął władzę, na wydatki szło ok. 79 proc. dochodu rozporządzalnego przeciętnego gospodarstwa domowego. W 2018 r. dochodziło się średnio ok. 70 proc.

Najciekawsze w całej układance jest coś innego. Idąc po władzę PiS zaproponował odmienne od poprzedników podejście do polityki gospodarczej. Rząd nie był w tym kursie oczywiście konsekwentny, ale trend widać wyraźnie. 500 plus, wolne niedziele czy wyższa płaca minimalna zostały przeformowane wbrew większości środowiska ekspercko-ekonomicznego. Tym samym PiS (zwłaszcza za czasów premier Beaty Szydło) odesłał do lamusa dogmat odziedziczony po czasach transformacji. Polegał on na przekonaniu, że dobry rząd to taki, który nie miesza się do gospodarki i zostawia jej bieg fachowcom. Zazwyczaj

o mocno wolnorynkowym światopoglądzie.

W tym sensie Polska w latach 2015-19 – dość późno, niestety – odkryła, że ekonomia nie ma prymatu nad polityką, że nie ma wyboru pomiędzy rozwiązaniami obiektywnie dobrymi i złymi. Bezwarunkowe świadczenie 500 plus czy wolne niedziele to były przecież decyzje polityczne. Polepszają położenie jednych uczestników społecznej gry (słabiej sytuowani pracownicy), innym przynoszą relatywne pogorszenie (pracodawcy). Rolą władzy politycznej jest zaś nawigowanie w gąszczu sprzecznych klasowych interesów. To przekonanie pozostanie z nami nawet, gdy nie będzie PiS-u. I bardzo dobrze.

Lekcja druga: władza nie musi się podobać elitom

W Polsce często mówi się o zmierzchu elit. Socjolog Tomasz Zarycki napisał na ten temat książkę „Totem inteligencji. Arystokracja, szlachta i ziemiaństwo w polskiej przestrzeni publicznej” (2017). Przekonuje tam, że motyw „zmierzchu inteligencji” jest obecny od samego początku jej istnienia. Nawet żegnanie w ne-



Protest pod Senatem przeciwko zmianom w Krajowej Radzie Sądownictwa, lipiec 2017 r.



MACIEJ ŁUCZNIŃSKI / REPORTER

krologach „ostatnich prawdziwych inteligentów” to nic innego, jak forma reprodukcji teże inteligencji.

Zdaniem Zaryckiego w III RP symboliczna pozycja inteligencji była szczególnie mocna. Ona sama nie sprawowała może władzy w sensie dosłownym, lecz to właśnie z jej szeregów wyłaniała się opiniotwórcza elita. Bez błogosławieństwa tej ostatniej żadna władza polityczna nie mogła się obyć. Nie zawsze było to z korzyścią dla całego społeczeństwa. Polska inteligencja w latach 90. słabo zdała egzamin z empatii wobec innych grup społecznych. Skutkowało to rodzajem systemowej pogardy dla tych współobywateli, którzy nie mogli się wylegitymować ani starym dobrym kapitałem kulturowym (czyli przynależnością do inteligencji), ani nowym (zdobytym w ogniu transformacji) kapitałem finansowym.

Nawet te siły polityczne, które swój polityczny przekaz chciały kierować wprost do ludu, zaczynały o względy inteligencji intensywnie zabiegać. Dobrym przykładem jest lewica. Gdy Aleksander Kwaśniewski walczył o pierwszą prezydencką kadencję, w 1995 r., ośmielał się jeszcze

na pływy w rytmie disco polo. Pięć lat później był już „szacownym mężem stanu”, przyjacielem ludzi kultury i medialnych potentatów. Podobną drogę przeszła cała jego formacja. Gdy w połowie ubiegłej dekady dryfując od afery do afery SLD szukał pomysłu na polityczne odrodzenie, nadzieje składał w profesorach: Jerzym Hausnerze czy Marku Belce. Nieprzypadkowo. Jak trwoga, to do inteligentów.

Dopiero PiS podszedł do sprawy inaczej. Partia Kaczyńskiego istnieje w polityce zbyt długo, by mieć złudzenia, że przy pomocy jakiejś PR-owskiej ofensywy uśmiechów zdoła przekonać do siebie liberalną inteligencję. Zbyt wiele było tu wzajemnych urazów: od lustracji po oskarżenia o faszyzm. Z drugiej strony Kaczyński to nie jest Lepper czy nawet Kukiz. Jawny antyintelektualizm nie byłby w jego wykonaniu szczególnie wiarygodny. Prezes PiS postanowił więc wydać niechętnie sobie opcji inteligenckiej zimną wojnę. I zobaczyć, kto kogo przeczeka.

PiS był konsekwentny. Prowokował inteligenta i patrzył, co się wydarzy. W konsekwencji mainstream szybko znalazł się na wojnie z władzą. Były tam fronty duże (np. o praworządność) i mniejsze (o media publiczne, o wpływ na obsadę instytucji kultury). Inteligencja powróciła do znanej z historii roli „cierpiących za sprawę” i świetnie się w niej odnalazła.

Po czterech latach zimnej wojny wydaje się jednak, że więcej osiągnął Kaczyński. Udowodnił, że bycie na wojnie z opiniotwórczym środowiskiem nie musi się kończyć dla polityka wizerunkową porażką. Jednocześnie PiS zaczął rysować wizję „otwarcia i poszerzenia elit”, co pozwala mu rozegrać na swoją korzyść tłący się w każdych czasach i w każdej branży pokoleniowy konflikt o dystrybucję władzy i zasobów. W ten sposób przyciągnął do siebie wielu inteligentów zbuntowanych wobec mainstreamu.

Lekcja trzecia: jesteśmy stabilną demokracją

Jaki był obiekt marzeń polskiej publicystyki przez pierwszą dekadę transformacji? Oczywiście „stabilna demokracja”. W czasach, gdy nie było wiadomo, czy rząd przetrwa do następnego wtorku, zerkaliśmy tęsknie w kierunku Zachodu. Bo tam większość parlamentarna była stabilna, a jedna pełna kadencja oznaczała absolutne minimum potrzebne do sensownego rządzenia. Fakt, że w pierwszych

latach III RP rządy zmieniały się szybko i często, bardziej przypominał dwudziestolecie międzywojenne niż „zachodnią normalność”, do której deklaratywnie aspirowaliśmy. Konstytucja z 1997 r. oraz kolejne zmiany ordynacji wyborczej trochę stabilność rządu wzmacniały, wprowadzając premie dla zwycięzcy przy podziale sejmowych mandatów oraz mechanizm konstruktywnego wotum zaufania.

Ale przełom przyniosła dopiero ostatnia dekada. Najpierw Platforma, a potem PiS stworzyły nowoczesne organizmy polityczne. Bardziej przypominające karne oddziały zawodowego wojska niż rozdyktowane partie z pospolitego ruszenia pierwszej fazy transformacji. Tusk i Kaczyński stanęli na czele politycznego duopolu. Podzielili między siebie rynek idei i publiczne środki przewidziane na finansowanie partii. Zaoferowali wyborcom tak wyteśnioną stabilność.

Cena była jednak wysoka. Parlament z serca demokracji stał się maszynką do głosowania. Opozycja służy w zasadzie tylko dostarczaniu gadających głów do telewizji informacyjnych. Ten proces zaczął się już za rządów PO i PSL, ale PiS po swoim zwiększył intensywność zjawiska.

Końca tego modelu raczej nie widać. Z każdymi kolejnymi wyborami, które odbyły się w ciągu ostatniej dekady (wygrywała je albo Platforma, albo PiS), duopol rozbudowywał swoją przewagę finansową, medialną i instytucjonalną nad konkurentami. To nie jest więc przypadek, że każda następna „trzecia siła” była coraz słabsza. Od 14 proc. lewicy w 2007 r. po 8,8 proc. Kukiza w 2015 r. To trochę jak z piłkarską Ligą Mistrzów: w zasadzie nie ma formalnych przeszkód, by wygrał ją mistrz Słowacji albo Rumunii. W praktyce jakoś tak się jednak dzieje, że wygrywają kluby z Anglii albo Hiszpanii.

Lekcja czwarta: życie toczy się dalej

W ciągu ostatnich lat pełno było w Polsce zapowiedzi końca świata i zmięczenia demokracji. Z biegiem czasu alarmiści stanęli jednak wobec poważnego problemu. Jak opisywać rzeczywistość polityczną, skoro wypalono już ze wszystkich największych dział? Gdy opadł kurz, okazało się, że życie toczy się dalej. Prawie połowa Polaków (47 proc.) badanych przez CBOS jest zadowolona ze stanu demokracji w naszym kraju.

Co na to nasz GPS?

© ©



MARIA REIMANN jest antropolożką kultury i tłumaczką. Pracuje w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW. Współzałożycielka Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem UW. Autorka książki „Nie przywitam się z państwem na ulicy”.

Tak, wrodzony zanik nerwu wzrokowego. Kiedy miałam sześć lat, poszłam z mamą na test gotowości szkolnej. Lekarka pokazała mi tablicę z literami i okazało się, że nie widzę nawet samej tablicy. Lekarka uznała, że po prostu nie znam liter, ale ja już wtedy umiałam czytać. Upięrała się, że ją oszukuję. To też pokazuje, że jako dziecko nie sprawiałam wrażenia osoby, która źle widzi. Rodzice nie zauważyli wcześniej problemu – czasem nazywali mnie gapcią, bo nie widziałam na niebie samolotu, albo śmiali się, że najbardziej lubię czytać książki z naprawdę dużymi literami.

W książce pt. „Nie przywitam się z państwem na ulicy. Szkic o doświadczeniu niepełnosprawności” przygląda się Pani własnemu doświadczeniu oraz doświadczeniu dziewczyn i kobiet z zespołem Turnera. To wrodzona kondycja genetyczna występująca tylko u kobiet. Może mieć wiele objawów, między innymi niski wzrost, wady w budowie ciała czy narządów wewnętrznych. Nie jest uznawany za niepełnosprawność, ale są kobiety, które mają takie orzeczenie ze względu na wynikające z ZT choroby. W jaki sposób trafiała Pani do swoich rozmówczyń?

W 2013 r. w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej na Uniwersytecie Warszawskim wspólnie z koleżankami założyłyśmy Interdyscyplinarny Zespół Badań nad Dzieciństwem. Naszym pierwszym projektem było badanie doświadczenia dzieci, które urodziły się dzięki *in vitro*. Od tego tematu przeszłyśmy do doświadczenia kobiet z zespołem Turnera – właśnie dlatego, że jednym z jego objawów jest bezpłodność albo niepłodność. Byłyśmy ciekawe, czy dziewczynki z ZT są przez swoich rodziców socjalizowane do innych ról niż rola matki.

I co Wam wyszło?

Poznałyśmy dziewczynę, która miała 17 lat, знаła już pięć języków i była wy-

Ciasna miłość

MARIA REIMANN, ANTROPOLOŻKA KULTURY:

Wiele trudności osób niepełnosprawnych wynika nie z tego, co „nie działa” na poziomie ciała, tylko z tego, jak społeczeństwo reaguje na tę odmienność.

BERENIKA STEINBERG: Jak nie urazić pytając o niepełnosprawność?

MARIA REIMANN: Myślę, że szczere zainteresowanie – ale nie wścibskość – płynące ze współodczuwania, chęci zrozumienia cudzego świata, wystarczy. Na przykład teraz – widzę, że jest pani ciekawa i próbuje zrozumieć, jak to jest być mną. To dla mnie bardzo miłe. To się tak naprawdę wcale nie różni od rozmów

z każdą inną osobą, której się współczuje – kiedy na przykład rozmawia się z kimś o chorobie albo o śmierci rodzica czy partnera. Przez takie doświadczenia ludzie mogą być jeszcze bardziej samotni. Bo nagle nikt nie jest w stanie z nimi o tym rozmawiać – wszyscy się boją.

A zatem, jest Pani niedowidząca od urodzenia?

rażnie przez rodziców nakierowywana na karierę naukową. Ale to był wyjątek. Bo problem bezpłodności okazał się trochę mniej istotny, niż początkowo podejrzewałyśmy. Dla starszych kobiet nieleczonych hormonem wzrostu głównym problemem okazał się właśnie wzrost. To przez niego zmagają się z dyskryminacją – najpierw w szkole, potem na rynku pracy. Bepłodność nie jest też pierwszą rzeczą, o której myślą rodzice dziewcząt z ZT. Martwią się raczej o to, jak ich córkom będzie w szkole, czy inny wygląd nie będzie dla nich źródłem cierpienia.

Czy w rozmowach z badanymi mówiła Pani, że jest niepełnosprawną? Przepraszam, chyba użyłam złego sformułowania?

Mówi się: osoby żyjące z niepełnosprawnością albo mające niepełnosprawność. Bo niepełnosprawność nie jest tożsamością.

Ale jednak w książce mówi Pani o sobie, że „bywa niepełnosprawną”.

Jest mnóstwo obszarów życia, w których moja niepełnosprawność nie przeszkadza. Nie przeszkadza słuchać koncertu, rozmawiać z przyjaciółką, w tyśiącu innych rzeczy. Ale są momenty, kiedy przeszkadza i kiedy to czuję. Więc można tak na to spojrzeć – że od czasu do czasu staje się moją tożsamością.

Od początku czułam, że to może być dla mnie narzędziem w tych rozmowach. Że może nas do siebie zbliżyć. Często moje rozmówczynie robiły duży wysiłek, żeby mi w czymś pomóc, na przykład wychodziły po mnie na stację, żebym się nie zgubiła – jak pani Joanna, która ma trudności z chodzeniem, bo często przy ZT chorują stawy. To było wzruszające, że mimo własnych kłopotów uznała, iż potrzebuję pomocy. Albo kiedy pani Iza opowiadała, jak jechała pociągiem i, wiadomo, nie widzę, co to za stacja; jestem trochę bezradna w takiej podróży. I pani Iza powiedziała: „No tak, ma pani ciężko”. Poczułam wtedy, że ona mi szczerze współczuje. Dzięki temu nasza relacja była bardziej wzajemna.

Co spowodowało, że zaczęła Pani badać własne doświadczenie?

W ciągu trzech lat naszych badań etnograficznych co roku jeździłam na kolonie organizowane dla dziewczyn z ZT. Za pierwszym razem miałam poczucie,

że rodzice i wychowawcy kolonijni robią złą robotę – że uczestniczki są tam infantylizowane, a przez to jeszcze bardziej spychane w rolę osób z niepełnosprawnością. Miałam w sobie dużo złości i w pewnym momencie zorientowałam się, że to w ogóle nie jest o nich, tylko o mnie. Że te uczucia dotyczą też mojego życia. I uznałam, że warto się temu przyjrzeć. Im więcej rozmawiałam z kobietami z ZT, tym więcej rozmyślałam o moim niedowiedzeniu. Samo pisanie książki było dla mnie ciekawym procesem. Na początku skupiałam się tylko na miłych rzeczach, na tym, że ktoś mi pomógł, albo że mój synek jest taki kochany. A przecież to, że niedowidzę, nie jest najmiłą rzeczą, jaka mi się w życiu przytrafiła. Zdałam sobie sprawę, że mam trudność z opowiedzeniem tego, co bolesne. I to jest też częściowo moja strategia radzenia sobie z niepełnosprawnością – trochę udawać, że jej nie ma, a jak przychodzi problem, wtedy zażartować.

A więc po raz pierwszy spróbowała się Pani przyjrzeć swojemu doświadczeniu po prostu szczerze?

I bez uzalania się nad sobą. Do dzisiaj mi się zdarza usiąść i zacząć rozmyślać o tym, że jak będę stara, to zacznę źle słyszeć – i będę wtedy taka biedna. Przyjrzałam się temu po prostu z ciekawością. Ale to było trudne. Niepełnosprawność nie jest atrakcyjna. Przed wydaniem książki rozmawiałam z dwójką przyjaciół o tytule. „Tylko nie dawaj w tytule słowa »niepełnosprawność«, to odstręczające, ludzie nie będą chcieli takiej książki czytać”, radzili. Gorzej – ja też tak czułam. A potem pomyślałam – zaraz, zaraz, ja chcę to słowo powiedzieć głośno. Właśnie po to, by przestało stygmatyzować.

W książce pada pytanie: „Dlaczego ludzie z niepełnosprawnościami nie są traktowani jak zwyczajni ludzie zmagający się, jak każdy, z jakimiś trudnościami”.

Wydaje mi się, że trzeba zacząć myśleć i mówić o niepełnosprawności jak o elemencie ludzkiego doświadczenia. Uznać, że to jest po prostu jedna z wielu cech, które ludzie mają. W badaniach odróżnia się „niesprawność” – czyli to, co „nie działa” na poziomie ciała, i „niepełnosprawność”, która jest wynikiem tego, jak społeczeństwo reaguje na tę odmienność. Wiele trudności, z którymi mierzą się moje rozmówczynie, nie wynika z ze-

społu Turnera, ale wyłącznie z tego, że z powodu na przykład niskiego wzrostu ludzie odnoszą się do nich inaczej. Czasem traktują niepoważnie, czasem z wrogością.

W książce przytaczam opowieść pani Barbary. Jako dziewczynka nie musiała zmywać naczyń, bo była za niska i nie dosięgała do zlewu. „Za niska? – powiedziała jej siostra – to niech sobie stołek postawi!”. Na jakimś poziomie to musiało jej szalenie dodać mocy. Bo pani Barbara była dla siostry zupełnie normalną osobą – tylko że niską.

W taki razie niepełnosprawność ma nie być czymś, co wyróżnia. Ale w książce jest historii o wyjeździe na obóz capoeiry. Na miejscu okazało się, że jeden z uczestników obozu jest niewidomy: „Czuję jednocześnie ciekawość – niewidomy trenuje capoeirę! – i żal za swoją własnie utraconą wyjątkowością”.

W tej historii przebywam sama długą podróż, najpierw samolotem, potem dwoma pociągami, żeby ćwiczyć sztukę walki – mam więc poczucie, że przekraczam swoje kolejne granice. I to, że ten facet tam był – ośmieszyło moją dumę z siebie. Po prostu poczułam, że ma mocniejsze karty, wygrał! Rzeczywiście niepełnosprawność daje czasem poczucie wyjątkowości. Bywa, że ludzie są mnie ciekawi albo okazują mi więcej troski niewątpliwie dlatego, że źle widzę. Oczywiście ja to strasznie lubię i jestem za to wdzięczna. I to jest chyba w porządku: dobrze, żebyśmy się o siebie nawzajem troszczyli. Ale za przesadne przekonanie o wyjątkowości płaci się zbyt wysoką cenę, ona w jakiś sposób odcina od innych ludzi.

Czy jest coś, co łączy Pani doświadczenie z doświadczeniem kobiet z zespołem Turnera?

Myślę, że przede wszystkim konieczność balansowania między różnymi skrajnościami – a więc między poczuciem zwyczajności a właśnie poczuciem wyjątkowości. Potrzebą pomocy a chęcią samodzielności. Natomiast do tego dochodzą inne rzeczy związane z klasą, wykształceniem rodziców, miejscem zamieszkania. A więc moje doświadczenie będzie prawdopodobnie bardziej podobne do doświadczenia osoby pochodzącej z podobnego domu. Z drugiej strony opisuję historię pani Wandy pochodzącej z ubogiej →

→ rodziny, której rodzice kompletnie zlekceważyli fakt, że ma ZT. A z powodu braku ich świadomości, że należałoby jakoś o nią szczególnie zadbać – zrobiła lepszą karierę niż większość jej rodzeństwa. Wyjechała za granicę do pracy, zarobiła na mieszkanie, zaczęła wspierać resztę rodziny. To też pokazuje, jak różne czynniki mogą zadziałać w konkretnym życiu.

Przeciwieństwem postawy rodziców tej kobiety wydaje się być „ciasna miłość”, jak ją nazwała jedna z rozmówczyń.

Powiedziała: „Tata tak bardziej chuchał, dmuchał, a mama traktowała bardziej normalnie – to znaczy była ta miłość, ale nie taka ciasna”. W książce przytaczam opowieść neurologa Olivera Sacksa. Na jego oddział trafia sześćdziesięcioletnia kobieta z porażeniem mózgowym. Niewidoma, od zawsze na wózku. Ma też bezwładne ręce i Sacks, frustrując jej potrzeby, zmusza ją do tego, żeby zaczęła nimi ruszać. Okazuje się, że w dzieciństwie rodzice we wszystkim ją wyręczali, więc po prostu nie nauczyła się tych rąk używać. Po terapii Sacksa zaczyna rzeźbić i spełnia się artystycznie. Podaje też przykład pani Krystyny. Rodzice tak bardzo nie mogli znieść, że jest jej ciężko w szkole, bo dokuczają dzieci, że ją z tej szkoły zabrali. W związku z czym nie zdobyła żadnego wykształcenia i ostatecznie jest zupełnie uwiązana z tymi rodzicami – nie może się wyprowadzić ani znaleźć pracy.

A więc ciasna miłość to niemożność dania przestrzeni drugiej osobie, by ta osoba się z czymś zmierzyła. Doświadczyła przy tym jakiejś frustracji, ale dzięki temu zbudowała swoją niezależność. I nie wątpię, że to też jest miłość! Szczerze współczuję rodzicom, którzy szukają równowagi pomiędzy chęcią opieki i wsparcia, które są niezbędne, a tym, żeby udzieleniem tej

pomocy nie pogłębić niepełnosprawności dziecka. To strasznie trudne zadanie. Zresztą te właśnie zachowania tak mnie rozjuszyły na pierwszych koloniach – miałam wrażenie, że rodzice dziewczynek z ZT jeszcze bardziej wzmacniają ich niepełnosprawność. Już tak nie myślę, dzięki badaniom nabrałam pokory w ocenie. Teraz mam poczucie, że ci rodzice robią, co mogą, w bardzo trudnej sytuacji. Próbuja uchronić swoje dzieci przed cierpieniem.

Jak Pani wujek, który podczas śniadania wielkanocnego powiedział, że powinna Pani chodzić do szkoły specjalnej, dla dzieci niedowidzących i niewidomych.

I ja wtedy poczułam, że u niego to płynie z czegoś dobrego, że on chce mi ułatwić życie. Czasami byłam już strasznie zmęczona pokonywaniem różnych trudności, udowadnianiem, że jestem taka sama jak inne dzieci. W takich momentach bardzo chciałam, żeby rodzice mnie do tej specjalnej szkoły przenieśli. Bo tam byłoby mi łatwiej. A nawet – najłatwiej. To było moje marzenie: pójść tam i będę największym bonzo!

Dla mnie Pani książka jest między innymi o tym, w jaki sposób rozmawiać o niepełnosprawności. Bałam się, czy Pani nie urażę, nie przekroczę jakiejś granicy.

Ale to nie jest tak, że ja mam inaczej – za każdym razem przed spotkaniami z moimi rozmówczyniami potwornie się spinałam.

Książkę otwiera opowieść o poczuć porażki po pierwszym spotkaniu. Co się wydarzyło?

Pani Agata była w trudnej sytuacji, nie mogła znaleźć pracy, która by odpo-

wiała jej wykształceniu, cierpiała na różne choroby wynikające z ZT. Podczas rozmowy uległam przekonaniu, że jest biedna i w związku z tym nie powinnam jej zadawać pewnych pytań. Dopiero potem zrozumiałam, że w zły sposób zadziałało u mnie współczucie – zaczęłam ją traktować inaczej tylko dlatego, że jest jej ciężko. A więc zrobiłam coś, czego nie znoszę, kiedy inni ludzie robią wobec mnie. Kiedy uważają, że jestem biedna i niesamowicie dzielna. Sama się w tę pułapkę wpędziłam!

Jak sobie z tym poradzić?

Po spotkaniu z panią Agatą przyjął strategię, że na wstępie mówiłam dokładnie to samo, co pani przed chwilą: jest mi trudno o tym rozmawiać, proszę mi powiedzieć, jeśli niechcący zrobię coś niedelikatnego. Dzięki temu nawiązuje się prawdziwy kontakt, wchodzi w jakąś relację.

Ale jak rozmawiać o czymś, czego nie jesteśmy w stanie poczuć?

Oczywiście, jest taki poziom osamotnienia, w którym każdy jest ze swoim doświadczeniem po prostu sam i nikt tego do końca nie zrozumie. Ale wierzę, że trud włożony w to, by zrozumieć drugiego człowieka, wiąże się z tym, że się częściowo uda.

W takim razie zapytam: w jaki sposób Pani widzi?

To nie jest łatwo wytłumaczyć, ponieważ nie mam żadnego punktu odniesienia. W książce piszę o mamie niedowidzącego chłopca. Lekarz wytłumaczył jej, że to jest tak, jakby siedziała podczas ulewy w samochodzie, w którym zepsuły się wycieraczki. Mój były mąż poświęcił bardzo dużo uwagi, próbując zrozumieć, jak widzę. Wspólnie udało nam się dojść do wniosku, że to trochę jest tak, jakby człowiek, który dobrze widzi, przysłonił sobie oczy szkłem powiększającym. Wtedy wszystko się rozmazuje. To, jak widzę, musi na jakimś głębokim poziomie zmieniać świadomość, bo jestem jednak w zupełnie innej przestrzeni – dużo bardziej miękkiej, rozmażanej, niepewnej. To tak, jakby świat innych ludzi był wyczyszczony, narysowany dokładnie piórkiem, a mój świat to obraz impresjonistów.

W bolesną drugą rocznicę śmierci

Anny Szałapak

14 października o godzinie 13.00 w Uniwersyteckiej Kolegiacie św. Anny
zostanie odprawiona msza święta

Zawiadamiają

MATKA, RODZENSTWO I RODZINA

POŻEGNANIE

ANNA

Dziewit-Meller:

Głosy



CO JA WŁAŚCIWIE O NICH WIEM? – POMYŚLAŁAM niedawno, patrząc na wiszące na płotach plakaty szczerzących się w serdecznych uśmiechach kandydatów i kandydatek na posłów i senatorów.

Co mi o nich w sumie wiadomo, prócz tego, co sami chcą mi koniecznie i natychmiast zakomunikować, w sposób maksymalnie uproszczony, a przy tym oczywiście emocjonalny? Jedna kandydatka na przykład na tych plakatach wciąż kogoś do siebie przytula, zgoda buduje, kobieca wrażliwość kontra niechęć i wieczna wojna. No ale cóż więcej ja wiem, co właściwie wygląda zza tych czułych ramion, tulących innych? A zza tych profesjonalnych wybielonych uśmiechów? A zza marsowych wąsatych oblicz? A czy brak billboardów też coś oznacza? Bo choć wyteżam wzrok, nigdzie w Warszawie nie widzę reklam prezesa Kaczyńskiego. Może za słabo szukałam, może się nie wysiliłam odpowiednio. Bo nietaktem byłby wówczas zarzut o delikatną arogancję ze strony tych, co to pewni są już zwycięstwa.

Cóż ja zatem wiem o nich wszystkich, którym przecież potencjalnie oddaję los w ręce? I choć mogę im potem ewentualnie na te ręce patrzeć, jako – he, he – suweren, to czy rozsądnym jest z mojej strony taka niefrasobliwa niewiedza na temat prawdziwych przekonań i poglądów ludzi idących do parlamentu?

Zwłaszcza że oni chyba na to właśnie liczą – by nie usłyszeć od nas zbyt wielu konkretnych pytań. *Tisze jediesz, dalsze budiesz*, nie ma co za dużo się pucować z konkretów, siedź w kącie, nie znajdą cię. Tak właśnie pomyślałam, gdy weszłam na stronę mamprawowiedziec.pl, na której teoretycznie powinienam znaleźć odpowiedzi na wiele nurtujących mnie pytań dotyczących wszystkich kandydatów na posłów i senatorów, jakich umieszczono na listach wyborczych. Wyszło mi na to bowiem, że dla większości z nich powinność wypowiadania się wyborcom z poglądów i przekonań w sposób obiektywny i szczerzy nie jest wcale atrakcyjna.

Jak bowiem inaczej mogę sobie tłumaczyć fakt, że do dnia 4 października, kiedy piszę ten tekst, na 5114 kandydatów do Sejmu i 278 do Senatu na ankietę dotyczącą sedna ich obecności w życiu politycznym kraju odpowiedziało ledwie 639 osób? W dodatku niektórzy z nich (jak na przykład Borys Budka) udzielili ledwie kilku zdawkowych odpowiedzi, nie pochyłając się nad całością i nie dając nam tym samym wglądu w to, co naprawdę myślą o wielu kluczowych dla państwa i dla społeczeństwa kwestiach. Wielka szkoda. Bo gdyby wszyscy zechcieli odpowiedzieć na ankietę, mogłoby się okazać, że mamy naprawdę sporo zaskoczeń.

Na przykład na zadane w ankiecie pytanie o to, czy należy oddzielić funkcję Ministra Sprawiedliwości od funkcji Prokuratora Generalnego, Klaudiusz Balcerzak z PiS powiedział „tak”, natomiast Paweł Poncyłjusz z PO – „nie”. Co za niespodzianka, prawda? Pomylili się, klikając? E, chyba nie... A niespodzianek jest przecież więcej.

Na całkiem istotne pytanie o to, czy należy znieść obowiązek szczepień, „tak” odrzekło 16 kandydatów Konfederacji, co może niespecjalnie dziwić, ale – uwaga – także liczni kandydaci lewicy: bezpartyjni Waldemar Włodek i Radosław Krukar, SLD-owiec Ryszard Śmiałek, Paweł Wekwert reprezentujący Wiosnę Biedronia oraz również z tej listy startująca bezpartyjna Sława Tarasiewicz. Marek Rutka z Wiosny oraz Marcin Staniewski z SLD nie mają zaś „zdecydowanego zdania w tej sprawie”. No to trochę przykro, że nie mają, zdaje się, że to jest kwestia, w której zdanie warto mieć. A gdybym państwu powiedziała, że szczepić dzieci nie chciałby również ktoś z Koalicji Obywatelskiej, to byście mi uwierzyli? Bo ja wam właśnie powiem, że takiej oto odpowiedzi udzieliła w ankiecie należąca do PO pani Teresa Kubas-Hul, a także pan Robert Jarkiewicz z Zielonych, obecny na liście KO. Na pytanie o to, czy w ostatnich latach dochodziło do łamania Konstytucji, „nie” odpowiedziało pięciu polityków z Konfederacji, trzech z PiS-u i jeden z SLD. Odrębna kwestia to odpowiedź „nie mam zdania” – okazuje się, że politycy zaznaczają czasem tę odpowiedź przy kluczowych kwestiach, np. czy należy podnieść podatki. To nie żart. Nie mają zdania na ten temat.

Danych w bazie mamprawowiedziec.pl są całe tony, wystarczy zasiąść z ciepłą herbatką i pledem na kolanach. Interesujące jest wszystko, nawet to, czego tam nie ma: na przykład kandydatów partii rządzącej. Na 919 kandydatów startujących z ich list wyczerpujących odpowiedzi udzieliło ledwie siedmiu. Nie wiem, jak powinien się po tym poczuć suweren. Może deczko zlekceważony?

Na kilka dni przed wyborami – zachęcam Państwa – nie dajmy się zwieść, niech wybór, którego dokonamy, będzie przemyślany. Mamy prawo wiedzieć. No i sami sobie nie odbierzmy prawa głosu, tak by potem nam go już ktoś inny na dobre nie odebrał. ©

POŻEGNANIE

Głęboko zasmuceni żegnamy

ś.†p.

Tamarę Kołakowską
z domu Dynenson

lekarkę, tłumaczkę, wykładowczynię akademicką,
wdowę po śp. Leszku Kołakowskim.
Córce Agnieszce i wszystkim bliskim składamy
wyrazy najgłębszego współczucia.

PRZYJACIELE Z WYDAWNICTWA ZNAK

WIARA



Z TEJ ZIEMI

Na terenie olbrzymiego dorzecza Amazonki Kościół katolicki jest wypierany przez wspólnoty protestanckie. Kryzysowi ma zaradzić Synod.

MIROSŁAW WLEKŁY

Pielgrzymka rzeką Caraparu w dżungli amazońskiej, Santa Izabel do Para, Brazylia, 8 grudnia 2012 r.



PAULO SANTOS / REUTERS / FORUM

KSIĄDZ BYŁ TU OSTATNIO PÓŁTORA roku temu. Siostry Wilmy nie było od dawna, ale gdy w końcu przypłynęła, i tak nikt nie przyszedł na nabożeństwo. A gdy je odprowadzają Daniela (lat 18) lub Igor (lat 25), miejscowi świeccy przewodniczący liturgii, w kaplicy pojawia się najwyżej kilka osób. Większość z 200 mieszkańców wsi jest już protestantami.

– Mszę mamy najwyżej raz w roku, a ludzie czują się przez Kościół zaniedbani, tracą zainteresowanie, zapominają o jego istnieniu i większość przeszła już do kościołów protestanckich – Armando siedzi przed domem w bujanym fotelu, na wprost rozległej rzeki Madeira. Od lat opiekuje się miejscową kaplicą.

Do wioski Caiçara od katedry w Borbie płynie się trzy godziny Madeirą. Z ko-

lei do Borby z Manaus, stolicy brazylijskiej Amazonii, podróżowałem dwiema taksówkami, bussem, barką i dwiema łodziami motorowymi. Cały dzień w drodze, choć na mapie oba miasta dzieli centymetr. Znalazłem się w samym sercu amazońskich lasów deszczowych, które zajmują około 5,3 mln km², co stanowi 40 proc. powierzchni lasów tropikalnych na świecie.

Największy supermarket świata

Trafiłem tu rok przed Synodem dla Amazonii. Jej terytorium – 7,8 mln km² – obejmuje dziewięć krajów: Boliwię, Peru, Ekwador, Kolumbię, Wenezuelę, Gujanę, Gujanę Francuską, Surinam i największy z nich – Brazylię.

Brazylia ma też najwięcej na świecie katolików (ponad 130 milionów; na drugim miejscu jest Meksyk z 96 milionami). Najbardziej katolicki kraj świata cierpi jednak na masowy odpływ wiernych do Kościołów protestanckich, a z drugiej strony na dramatyczny brak księży. Są wioski, do których duchowni docierają raz na pięć lat.

Tutejsza prałatura w Borbie to 100 tys. km² i 150 tys. ludzi. Obejmuje dziesięć wielkich parafii obsługiwanych przez zaledwie dwunastu księży. A każda parafia to 40 do 60 rozrzuconych na olbrzymiej przestrzeni wiosek. W najbardziej oddalonych, dwanaście godzin barką od Borby, proboszczami są Indianie.

Miejscowy biskup Zenildo Luiz Pereira da Silva użycza łodzi motorowej, towarzyszy mi dwóch misjonarzy. Przez kilka dni podróżujemy po parafii św. Antoniego: z katedrą jako kościołem parafialnym obejmuje pół miasta Borba i 62 wioski. Niektóre z nich są już całkowicie protestanckie, ale w większości na razie przeważają katolicy.

O wizycie księdza w Caiçarze półtora roku temu wszyscy już zapomnieli. Armando patrzy na szarą w porze deszczowej rzekę i przekonuje mnie, że wie, dlaczego ludzie odchodzą do protestantów. Wspomina, że w dawnych dobrych czasach nie było w wiosce kaplicy, ale ksiądz co miesiąc odprowadzał mszę w jego domu. A kiedy wybudowano kaplicę, zabrakło z kolei księdza. Pojawia się najwyżej raz →



→ w roku. Ludzie nie mają dostępu do mszy, nie przyjmują komunii, czują, że Kościół o nich zapomnieli. Więc kiedy w latach 70. pojawił się protestancki Zbór Boży, szybko zaczął zagarniać katolików.

Liczne Kościoły protestanckie przybywają ze Stanów Zjednoczonych i coraz śmielej przyciągają do siebie chrześcijan, którymi Kościół katolicki nie jest w stanie się zaopiekować. Przez dziesięciolecia Watykan nie rozumiał odległych problemów Amazonii, a dawni księża skupiali się na sakramentach w miejskich kościołach, zaniedbując ewangelizację i duszpasterstwo.

Jak twierdzi Cláudio, świecki misjonarz, który towarzyszy mi podczas podróży po amazońskich wioskach, brazylijskie seminaria przez lata były ośrodkami kształtującymi elity, nie misjonarzy. Dom, jedzenie, sprzątanie – wszystko tam mają zapewnione. Kiedy te fajne niegdyś chłopaki wychodzą z seminarium jako duchowni, jest już za późno.

– Młodzi księża – opowiada mi Cláudio – nie są zainteresowani ubłoceniem sobie butów. Po seminarium najbardziej interesuje ich trafienie na parafię w mieście, wygodny dom i samochód.

Jeszcze w 1960 r. protestanci stanowili zaledwie 4 proc. społeczeństwa Brazylii. Kraj ten stał się jednak największym supermarketem religijnym świata. A chrześcijanie klientami, o których trzeba zabiegać. Zwycięzcami tej rywalizacji od niemal 20 lat są Kościoły zielonoświątkowe i charyzmatyczne związki wyznaniowe, jak wspomniany Assembléia de Deus, który ma już w całej Brazylii ponad 12 mln wiernych. Inne starają się z nim

rywalizować: Congregação Cristã no Brasil (2,3 mln), Igreja Universal do Reino de Deus (1,8 mln), Igreja do Evangelho Quadrangular (1,8 mln). Dziś protestanci w Brazylii stanowią już prawie 30 proc.

Od lat katolickie środowiska Ameryki Łacińskiej alarmowały w tej sprawie Watykan i podsuwały rozwiązania. Watykan milczał. Do czasu, gdy Franciszek w 2014 r. odpowiedział brazylijskiemu biskupowi Erwinowi Kräutlerowi, że czeka na propozycje odważne i konkretne.

Znaki czasu

O problemie tym rozmawiam na drugim krańcu Brazylii, w stanie Parana, z ks. Antonio José de Almeida. Potomek Włochów, Portugalczyków i Indian, urodzony w 1949 r. Doktorat z teologii dogmatycznej obronił na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie (praca na temat nowych zadań świeckich w Kościele). Jest znawcą roli świeckich i orędownikiem poszerzania ich kompetencji. Kiedy szukam w Brazylii eksperta, który porozmawiałby ze mną o *virī probatī* – żonatych mężczyznach, którzy mieliby stać się kapłanami, kilku biskupów i księży poleca mi właśnie jego.

„Wygląd nieba umiecie rozpoznać, a znaków czasu nie możecie?” – Almeida cytuje fragment ewangelii św. Marka, gdy siadamy w jego domu przy kawie: – A czasy się zmieniają. O czym nie pozwolono dyskutować podczas spotkania episkopatów Ameryki Łacińskiej w Aparecidzie ani w Rzymie, o tym teraz już się mówi: brak księży ma dla wiernych katastrofalne

skutki, a Franciszek wyraźnie poprosił o propozycje odważne i konkretne, by ten problem rozwiązać.

Almeida wręcza mi kilka swoich książek. Na okładce jednej z nich („Leigos em Quê?”) czytam, że według słowników laik (świecki) to analfabeta, ktoś, kto nie wie i nie potrafi. Tymczasem ks. Almeida udowadnia, że w rzeczywistości jest odwrotnie.

Teolog podaje mi dane: choć w ciągu pół wieku liczba księży w Brazylii niemal się podwoiła, to w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców jest ich coraz mniej. W 2010 r. jeden ksiądz przypadał już na ponad 8,5 tys. Brazylijczyków. Aż 70 tys. brazylijskich wspólnot z powodu braku księży nie ma stałego dostępu do mszy. W początkach Kościoła, twierdzi Almeida, do takiej sytuacji nigdy nie dochodziło: Kościół bez Eucharystii nie istniał, a chrześcijanie, za wskazaniem św. Pawła, w każdy pierwszy dzień tygodnia zbierali się na łamaniu chleba.

Kiedy w 2007 r. na Konferencji Episkopatów Ameryki Łacińskiej i Karaibów biskupi znów chcieli o tym problemie rozmawiać, reprezentant Watykanu oznajmił, że nie jest to odpowiednie miejsce ani czas.

– Dla tych, którzy nie rozpoznają znaków czasu – uważa ks. Almeida – nigdy nie będzie odpowiedniego momentu. Na szczęście papież ma całkowitą autonomię, by zezwolić na wyświęcenie żonatych mężczyzn. Bo co jest ważniejsze w życiu i misji Kościoła: kapłaństwo czy celibat? Czy zwykły przepis kościelny powinien ważyć więcej niż boskie prawo do Eucharystii?



Świeccy
przewodniczący
liturgii w Mucaja
– potencjalni
kandydaci
na prezbiterów.
Od lewej:
Levi Paz, Daniel
i Adoniz z rodzinami

Jak u św. Pawła

Ten przepis, zdaniem Almeidy, poważnie ogranicza liczbę księży na świecie i utrudnia ludziom dostęp do komunii. Pytam go, jak ten problem rozwiązać. Opowiada o Fritzu Lobingerze, emerytowanym biskupie Aliwal w Republice Południowej Afryki. Jego propozycja (*communitates probatae*) odnosi się do podstawowych wspólnot w pierwszych latach chrześcijaństwa i adaptuje je do współczesnych realiów.

Nowo wyświęceni księża mogliby być żonaci lub żyć w celibacie. Wybierano by ich spośród sprawdzonych w pracy dla Kościoła mężczyzn, na przykład diakonów, szafarzy czy świeckich przewodniczących liturgii. Najlepiej po dwóch lub trzech w każdej wspólnotce. Służyliby tylko swoim wspólnotom, poza tym by prowadzili normalne życie: rodzinne i zawodowe.

Bydło ważniejsze od ludzi

Pół dnia drogi od Caiçary, meandrami amazońskiej rzeki Paranà do Urarià i jej dopływami, leży wioska Mucaja. Mieszkają tam Indianie Mundurucu. Turyści wstęp wzbroniony. Spotykam się z liderami okolicznych wspólnot katolickich. Daniel, lat 35, na co dzień zajmuje się dystrybucją wody. Levi Paz, lat 45, jest pomocnikiem pielęgniarskiego i kacykiem wsi, a Adoniz, lat 21 – rolnikiem. Mają po kilkoro dzieci, a po godzinach są liderami swoich wspólnot katolickich i świeckimi przewodniczącymi liturgii. „Miniksiężmi”, jak nazywa ich ks. Almeida, i potencjalnymi kandydatami na prezbiterów wg koncepcji bp. Lobingera.

– Jesteśmy już prawie księżmi – deklarują zupełnie poważnie. A ich żony, które także poznaję, zapewniają mnie, że nie miałyby nic przeciwko wyświęceniu mężów.

Ale brak księży to nie jedyne ich zmartwienie. Na co dzień borykają się z równie wielkimi problemami dotyczącymi całej amazońskiej społeczności.

– Nowe projekty rządowe mogą znów zburzyć nasze życie – narzeka indiański kacyk Levi Paz de Oliveira. Na myśli ma wydobywanie minerałów i zamienianie lasów amazońskich w pastwiska dla bydła. I prawie mnie błaga, by przy okazji pisanie o Kościele wspomnieć światu o dewastacji Amazonii.

Z kolei Eurico de Freitas Reis, lider katolickiej wspólnoty w pobliskiej wiosce Laranjal, wspomina, jak w dawnych czasach przodkowie Mundurucu cierpieli z powodu myśliwych, posiadaczy ziemskich, handlarzy drewnem: wszyscy chcieli ich stąd wykurzyć.

– Więc przez dziesiątki lat walczyliśmy o ochronę ziemi. I kiedy wreszcie się udało, za prezydentury Luli, a Niemcy sfinansowali wyznaczenie granic chronionej strefy, teraz nowa wspierana przez bogaczy władza Lulę wsadza do więzienia, a nam chce znowu odebrać ziemię.

Nie przesadza. W dokumencie „Instrumentum laboris” sporządzonym na Synod dla Amazonii czytamy, że Amazonia po Arktyce jest najbardziej narażonym regionem świata na konsekwencje zmiany klimatu.

Do tego dochodzi szybki proces urbanizacji, rozwój przemysłu wydobywczego oraz ekspansja gospodarstw rolnych

i wielkiego agrobiznesu. Opowiadali mi brazylijscy księża i misjonarze, że podróżując przez położone na południe od Amazonii Mato Grosso ogląda się gigantyczną dewastację przyrody. Potwierdzał to mój włoski przyjaciel Stefano Liberti, który zbierał tam materiały do książki „Władcy jedzenia”.

– Przez tysiąc kilometrów przemierzałem samochodem Mato Grosso i nie widziałem prawie nic innego poza plantacjami soi uprawianymi na potrzeby przemysłu mięsnego – powiedział mi niedawno.

Pogarda dla biedy

„Amazonii zagrażają wielkie interesy ekonomiczne, żadne ropy naftowej, gazu, drewna, złota i monokultur rolno-przemysłowych” – stwierdzono w „Instrumentum laboris”, konkludując, że to region skradzionych ziem.

Z kolei niszczenie i eksploatacja środowiska – czytam dalej – pociąga za sobą systematyczne łamanie praw ludności Amazonii do terytorium czy samostanowienia. Firmy wydobywcze i duże przedsiębiorstwa rolne wydzierają ludziom ziemię, na której żyli od wieków, i często robią to w porozumieniu z władzami lokalnymi czy krajowymi.

Dlatego przedsynodalny dokument odwołuje się do papieskiej encykliki „Laudato si”: „Jednakże nie możemy dziś nie uznać, że prawdziwe podejście ekologiczne zawsze staje się podejściem społecznym, które musi włączyć sprawiedliwość w dyskusję o środowisku, aby usłyszeć zarówno wołanie ziemi, jak i krzyk biednych”.

Wśród największych zagrożeń dla społeczeństw Amazonii „Instrumentum laboris” wymienia między innymi: przesładowania i mordowanie obrońców ziemi, przywłaszczanie i prywatyzację jej zasobów, w tym wody, masową wycinanie drzew, zanieczyszczenia powodowane przemysłem wydobywczym, handel narkotykami, przemoc wobec kobiet, handel



MIROSŁAW WLEKŁY będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie Radia Tok FM”, w czwartek 10 października, o godz. 15.00.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

⇒ ludźmi, a także zanikanie miejscowych kultur i tożsamości.

O wyzysku tutejszej ludności opowiada mi podczas podróży po amazońskich wioskach misjonarz Cláudio, dawny działacz organizacji Movimento Sem Terra (Ruchu Rolników bez Ziemi) i Moradores da Rua (Mieszkańców Ulicy). W samej Brazylii w latach 2003-17 zamordowano 1119 rdzennych mieszkańców za obronę ich terytoriów. Także związanych z Kościołem. Jedną z takich osób była zabita w 2005 r. amerykańska siostra Dorothy Stang. Cláudio też narażał się bandytom, wysłannikom bogatych przedsiębiorców. O mało go nie zamordowali. Jest wdzięczny niektórym księżom, szczególnie tym z prowincji, bo bardzo takich działaczy wspierali: dawali pieniądze, przygarniali na noc.

– Ale wielu brazylijskich księży – twierdzi Cláudio – gardzi prowincją, biedą. W dodatku wciąż uważają, że miejsce świeckiego jest w kościelnej ławce. Bardzo ich boli, gdy Franciszek daje stanowiska kobietom, czarnym, młodym. Wyraz „świecki” dla kościelnej konserwy nie brzmi dobrze, zraża, nie budzi zaufania.

Tymczasem ten Synod, jak może żaden inny, przygotowywały właśnie osoby świeckie. Ton nadał papież Franciszek: podczas wielomiesięcznych przygotowań słuchano nie tylko duchownych, szczególnie do głosu dopuszczono kobiety. To one w Brazylii są liderkami parafii, udzielają komunii, a nawet pod nieobecność księży odprawiają nabożeństwa.

Kto jest dzieckiem Boga

Armando w wiosce Caiçara wciąż kołysze się w swoim bujanym fotelu, patrzy na szybko płynącą Madeirę, z której właśnie wyskakuje delfin.

– Ludzie nadal czekają na księdza, który nigdy tu na stałe nie przyjedzie – zasepia się Armando. – Od dawna nie przyjmowali komunii. Nasi młodzi przewodniczący liturgii nie są jeszcze przygotowani, by jej udzielać. A ostatnio leciwy ksiądz z Aparecidy wypalił, że tylko ochrzczeni są dziećmi Boga. Myślałem, że szlag mnie trafi. To niech tu wreszcie przypłyynie i ochrzci nasze dzieci.

© MIROSŁAW WLEKŁY

Autor jest reportażystą, autorem m.in. książki „Raban! O Kościele nie z tej ziemi”.

Nowa droga zacznie się w Amazonii

O. KASPER MARIUSZ KAPROŃ, MISJONARZ I TEOLOG:

Trzeba zerwać z klerykalizacją. Postawić na wspólnotowość. Otworzyć się na rdzenne tradycje. I myśleć ekologicznie.

PIOTR SIKORA: Po kilku latach na misjach w boliwijskiej Amazonii mówi Ojciec: Europa nie rozumie tamtego Kościoła i nie zrozumie najbliższego Synodu.

O. KASPER MARIUSZ KAPROŃ OFM: Kościół do Ameryki przyszedł z bagażem 1500 lat rozwijania doktryny w kategoriach europejskiej, greckiej i rzymskiej kultury. *Vaticanum II* wzywało do powrotu do źródeł. I właśnie teraz, w Ameryce Łacińskiej podejmujemy to wezwanie – chcemy odejść od patyny, która narosła na Kościele, stworzyć coś, co będzie nasze, bez nadmiernego odwoływania się do greckiego zaplecza europejskiej teologii. Ale nie chodzi tylko o teologię. Europa próbowała narzucić konserwatywną albo liberalną wizję społeczeństwa – a żadna z nich tu się nie sprawdziła.

Co konkretnie się nie sprawdza?

Ani kapitalizm, ani socjalizm. Pierwszy okazał się gospodarką rabunkową, drugi – w wersji np. Che Guevary – też przyniósł tragiczne skutki. Europejskie modele funkcjonowania Kościoła i europejskie modele polityczno-społeczne tu się nie sprawdzają, trzeba je odrzucić.

Z drugiej strony pojawiają się głosy, że ten Synod będzie laboratorium dla całego Kościoła (a więc także europejskiego).

Sam dokument roboczy Synodu, „Instrumentum laboris”, wzywa, by cały Kościół się „amazonizował”. Papież Franciszek widzi z perspektywy Rzymu, że systemy, które panują w Europie, tam się załamują. W „Veritatis gaudium”, dokumencie o uniwersytetach katolickich, pisze, że nasz czas nie tylko jest epoką zmian, lecz raczej zmianą epoki. Dlatego

to, co w Amazonii powstaje, może okazać się nową drogą dla całego Kościoła. Stąd podtytuł Synodu: nowe drogi dla Kościoła i dla ekologii integralnej. Chodzi o szukanie całkowicie nowych kierunków.

Krytycy „Instrumentum laboris” mówią jednak, że jest to projekt narzucony Synodowi przez europejskich biskupów, zwłaszcza niemieckich. Ojciec uczestniczył w przygotowaniach do Synodu. Jak one wyglądały?

Papież zapowiedział Synod dwa lata temu – 15 października 2017 r. W styczniu 2018 miało miejsce spotkanie z rdzenną ludnością Amazonii w peruwiańskim Puerto Maldonado. Zaraz potem wydano dokument przygotowany, który został rozesłany do wszystkich Kościołów Amazonii. W oparciu oń zostało opublikowane opracowanie w prostszym języku, które stało się podstawą spotkań i rozmów we wspólnotach podstawowych. W wioskach katechiści dyskutowali z ludźmi, potem przekazywali wnioski na poziom parafii – które tu mają rozmiar polskich diecezji – a potem do diecezji, wreszcie na poziom Konferencji Episkopatów. Na każdym poziomie odbyło się wiele rozmów z udziałem przedstawicieli zaangażowanych wspólnot. Wnioski z poziomu Konferencji Episkopatów zostały przekazane do Rzymu, do komisji synodalnej. Ona, w oparciu o tę całą oddolną refleksję, stworzyła dokument roboczy Synodu. Ten dokument nie jest więc czymś narzuconym.

I co się z nim dzieło dalej?

Dokument roboczy znowu wrócił do wspólnot podstawowych. To w oparciu



STAFF / REUTERS / FORUM

Diakon Shainkiam Yampik Wananch rozdaje komunię św. podczas liturgii odprawianej dla ludu Achuar w Wijint, Peru, sierpień 2019 r.

o niego pracowały wspólnoty, ale już na spotkaniu plenarnym z udziałem biskupów, teologów, przedstawicieli Rzymu. Spotkania w grupach roboczych wskazywały na punkty dokumentu roboczego, które są tymi najistotniejszymi dla danego Kościoła lokalnego. Przedstawiciele Kościoła lokalnego zatem wskazywali biskupom, na czym powinni się skoncentrować w swoich wystąpieniach podczas Synodu. Głos biskupów, jaki zabrzmiał w czasie Synodu, jest zatem głosem rodzącym się ze słuchania wspólnot podstawowych.

W Boliwii ludzie ze wszystkich diecezji na spotkaniach roboczych przedstawili dwadzieścia najważniejszych dla nich punktów. Biskupów jadących na Synod jest czternastu, każdy wziął jeden z punktów, sześć pozostałych ma być dołączonych do tych czternastu wedle podobieństwa treści.

Wątek Kościoła nieklerykalnego, w którym wszyscy są włączeni do odpowiedzialności, wydaje mi się

z polskiej perspektywy jedną z najważniejszych kwestii „Instrumentum laboris”. Z tego, co Ojciec mówi, wynika, że w Amazonii praktyka już wyprzedza refleksję.

To jest od dawna zasada Kościoła łacynoamerykańskiego: widzieć – osądzać – działać. Najpierw musisz słuchać, by rozpoznać, jak wygląda rzeczywistość. Dopiero wtedy możesz ocenić tę rzeczywistość w świetle Pisma, Objawienia, i w końcu – coś możesz zrobić. Synod jest czasem słuchania.

Które z wielu tematów „Instrumentum laboris” będą na Synodzie najważniejsze?

Mogę odpowiedzieć tylko z perspektywy Boliwii. Na pewno jednym z ważniejszych jest problem gwałtownej migracji z wiosek do miast. Ale boliwijskich biskupów będzie czternastu na ponad stu. Nie wiem, co jest najważniejsze dla brazylijskich, których jest najwięcej.

Ale Synod – jak mówił jego sekretarz, kard. Czerny – to nie parlament. Nie cho-

dzi o stworzenie koalicji i przegłosowanie swoich pomysłów, lecz o wzajemne słuchanie i uczenie się od siebie. Synod wtedy będzie owocny, jeśli ty, pod wpływem tego, co usłyszysz, zmienisz swoją opinię, z którą przyjechałeś.

Owoce synodów są decyzje, dokumenty.

Będzie dokument finalny i adhortacja papieska. To jest normalna droga. Będzie głosowany, ale nie na drodze przymierzy i negocjacji. Każdy wedle swego sumienia. Zobaczmy na przykład, co będzie z projektem święcenia osób mających rodziny, tzw. *viri probati*...

W Europie to chyba najbardziej gorący temat.

A w Boliwii projekt święcenia *viri probati* nie spotyka się z dużym entuzjazmem. Bo to byłaby dalsza klerykalizacja Kościoła. Liderów wioskowych zamieniliby w księży i proces klerykalizacji by postępował. Ale z tym postulatem ktoś może przyjechać.



⇒ **Ale przecież motyw tego pomysłu nie jest klerykalny, lecz eucharystyczny.**

Tak, kwestia dostępu do Eucharystii jest też jednym z naszych głównych problemów. W naszym rejonie powstaje wiele protestanckich wspólnot pentekostalnych...

...dokument roboczy odnosi się do nich bardzo pozytywnie, namawia do kontaktów i stwierdza nawet, że te wspólnoty „pokazują nam inny/nowy sposób bycia Kościołem, w którym ludzie czują, że odgrywają główną rolę, i gdzie wierni wyrażają się w wolny sposób bez cenzury, dogmatyzmu i rytualnej dyscypliny”.

Z drugiej strony wiele wspólnot pentekostalnych to praktycznie zamknięte sekty. Tworzą się w każdej miejscowości, ale nie mają żadnej ogólnej struktury. Powstają zaś, ponieważ Kościół katolicki ochrzcił ludzi i zostawił.

Od tych wspólnot bez wątpienia musimy się uczyć. Przede wszystkim tego, że pastory są obecni na miejscu. Musimy się uczyć bliskości. Także nowych form przekazu, liturgii bardziej żywej, angażującej. W dokumencie roboczym mówi się, by duszpasterstwo wizyt zastąpić duszpasterstwem obecności.

Dotąd było tak – sam to robiłem – że księża przyjeżdżali raz na rok, chrzcili wszystkich, bierzmowali i wyjeżdżali. Bo co ma zrobić ktoś, kto ma parafię o wielkości jednej czwartej Polski, 300 wiosek? Z powodu systemu eklezjalnego, który jest, wchodzi tu sekty protestanckie, bo ludzie nie widzą różnicy – podobne osoby mówią o tym samym Panu Jezusie. I obiektywnie tak jest: w sytuacji obecnej – gdy wspólnoty katolickie przez większość czasu pozbawione są sakramentów – *de facto* nie ma różnicy pomiędzy nimi a wspólnotami protestanckimi. Dajemy ludziom najwyżej, jak i tamci, Pismo Święte. A to Eucharystia czyni Kościół. To jest podstawowe zadanie – celebrować Eucharystię.

Skoro jednak obecny model Kościoła jest niewydolny, a odrzucacie też pomysł święcenia *viri probati*, to co w zamian? Czy przejmujecie pomysł, który kiedyś wysunęli holenderscy dominikanie – by uznać, że to cała wspólnota celebrowa Eucharystię, nawet jeśli nie ma księdza?

Człowiek uczy się chodzić, idąc i często się potykając.

Myślę, że taki właśnie będzie ten Synod.

Nie. Raczej podejmujemy pomysł niemieckiego biskupa i teologa, pracującego w Południowej Afryce – Fritza Lobingera – tzw. wspólnot ministerialnych.

Co to?

Lobinger wychodzi od Dziejów Apostolskich, w których opisane jest, jak św. Paweł ustanawiał we wspólnotach „starszych”. Trzeba we wspólnocie ustanowić starszych, odpowiedzialnych za posługę, w tym posługę uświęcenia. Zachować jednocześnie model księży celibatariuszy, którzy są spoza społeczności, którym służą, ale całkowicie się poświęcają swej misji. Oni, trochę jak św. Paweł, odwiedzają wspólnoty, piszą listy, czuwają nad ortodoksją.

A co z Eucharystią w lokalnych wspólnotach?

Proponujemy, by wewnątrz wspólnoty tworzyć tzw. grupy ministerialne, posługujące danej wspólnocie lokalnej. Nie będą to księża, ponieważ prowadziłoby to do klerykalizacji i wyodrębnienia ich z danej społeczności. Nie będą na utrzymaniu Kościoła, nie będą mogli pobierać żadnych opłat za swą posługę. Będą to osoby, które mogą swoim życiem świadczyć o Ewangelii. Oni będą przewodniczyć czynnościom liturgicznym.

Ale z punktu widzenia klasycznej teologii – czy będą mieli sakrament święceń?

Eucharystię będą sprawować jako wspólnota, a nie poszczególna osoba. Nakaz Chrystusowy: „to czyńcie na moją pamiątkę”, jest skierowany do wspólnoty. Słowa Chrystusa wskazują na dar Eucharystii, a nie dar ustanowienia sakramentu kapłaństwa. Osoby te, wybrane przez społeczność do posługi ministerialnej, mają mieć świadomość misyjną, a nie kultową. Muszą posiadać zawód gwarantujący przeżycie. Ale też przejść odpowiednią formację. I one zapewnią wspólnocie życie sakramentalne – przede wszystkim

Eucharystię i spowiedź. W każdej społeczności muszą to być przynajmniej trzy takie osoby, nie jedna.

Brzmi bardzo ciekawie i rzeczywiście trudne jest do uchwycenia w teologicznych kategoriach, do których jesteśmy przyzwyczajeni. Choć trochę przypomina rozwiązanie, o którym możemy przeczytać w Didache – jednym z najstarszych tekstów chrześcijańskich. Opisani są tam wędrowni prorocy: celibatariusze, i wybrani przez wspólnotę spośród siebie: episkopoi.

Tak, chodzi bowiem o powrót do źródeł. By iść w tę stronę, zasugerował papież w drodze powrotnej z Panamy.

Rysuje Ojciec śmiałą, wspólnotową wizję Kościoła, który otwiera możliwość działania i brania odpowiedzialności szerokim kręgom ludzi. Czy dotyczy to także kobiet? „Instrumentum laboris” kładzie duży nacisk na dowartościowanie ich roli w Kościele. Czy jednak tradycyjne wspólnoty nie są patriarchalne?

Nie wiem, skąd ten stereotyp patriarchalnej kultury rdzennych ludów Amazonii. Moim zdaniem panuje u nich raczej matriarchat. Często kobiety są liderami wiosek. Wódz plemienny pełni najczęściej rolę reprezentacyjną. Kobiety dominują też w podstawowych wspólnotach kościelnych. One w większości były reprezentantami tych wspólnot na przygotowaniach do Synodu. Gdy biskupi podczas spotkań słuchali świeckich – słuchali głównie kobiet. Być może kobiety będą także uczestniczyć w tej projektowanej posłudze ministerialnej, również w posłudze uświęcenia.

Ten pomysł wzbudzi zapewne gorącą dyskusję.

Nie wiadomo oczywiście, jaką ostatecznie postać przyjmie ta propozycja. Droga jest otwarta.

To nie jedyny „otwarty” wątek obecny w „Instrumentum laboris”, który jedni przyjmują z radością, drugich on niepokoi. Kolejny to otwarcie się na rdzenne kultury – i w konsekwencji na przedchrześcijańską duchowość.

Na jednym z tych spotkań pewna Indianka w bardzo emocjonalny sposób

powiedziała: „Mamy dość tego, co przynosi nam kultura zachodnia. Waszych systemów politycznych, ale także waszych modeli kulturowych. Przez was nie mogę wlać dziecku, gdy na to zasłuży, wymierzyć mu kary, by wzrastało w dobro. Chcemy wzrastać w systemach wartości, które przez wieki były wśród nas przekazywane”.

Ten przykład nie wydaje mi się adekwatny. Rozumiem bunt Indianki wobec europejskiej dominacji, ale nie zgadzam się z jej wizją wychowawczą nie dlatego, że jestem Europejczykiem. Ja się z tym nie zgadzam zarówno z racji humanistycznych, jak i z względu na dane empiryczne, które pokazują, że nie jest to dobry model wychowawczy. Wydaje mi się, że to przykład na to, iż dobrze jest, jeśli słuchamy się nawzajem; także Amazonia może nauczyć się czegoś od Europy.

Jeśli chodzi o dane empiryczne, trzeba uważać, bo różne ideologie podpierają się danymi empirycznymi. Po drugie, Europa zbyt długo mówiła, a nie słuchała. Teraz trzeba zacząć od słuchania Amazonii. Pozwolić im świadomie wrócić do tradycji ich starszych pokoleń, modeli wychowawczych, sposobów świętowania. Dopiero potem można ją oceniać.

Sposoby świętowania mają w Amazonii zawsze aspekt religijny. Dokument roboczy docenia miejscowe tradycje duchowe. Dlatego słysząc głosy lamentu, że Synod chce dopuścić synkretyzm chrześcijaństwa z religiami pogańskimi...

A czymże jest nasza religijność ludowa, jeśli nie włączeniem w chrześcijaństwo tradycji pogańskich? Choćby gromnice... To zwyczaje, które wyrosły w kulturze żyjącej w bliskiej relacji z naturą. Tak samo ludy Amazonii – to społeczności żyjące w bliskiej relacji z naturą. Oni to potrafią. Przed wycięciem drzewa prosi się Matkę Ziemi i samo drzewo o możliwość jego ścięcia – bo jest potrzeba drewna. Przed zabiciem zwierzęcia prosi się je i duchy ziemi o przebaczenie. Nie morduje się dla zysku – jedynie na własne utrzymanie. Ciągłe odniesienie do przyrody, ale i do jej Stwórcy, do Boga. Świadomość współuczestnictwa, bycia częścią stworzonego świata. To jest właśnie ekologia integralna, o której mówi papież. Przyroda



GRAZYNA MAKARA

O. KASPER MARIUSZ KAPROŃ jest franciszkaninem, w latach 2012-15 misjonarz w boliwijskiej Amazonii. Obecnie wykłada na Katolickim Uniwersytecie w Cochabamba w Boliwii.

nie jest traktowana czysto biologicznie, jak na Zachodzie, lecz w perspektywie tutejszej kosmologii. Nasz wspólny dom, o który się troszczysz, w którym jesteś gospodarzem.

Czy tą tradycyjną kosmologią może się zainspirować cywilizacja, która rozwinęła nauki empiryczne?

Ale czy ta kosmologia jest sprzeczna z naukami empirycznymi? Czy one nie mówią, że jesteśmy częścią świata przyrody? O współzależności wszystkiego? Efekt motyla: w Amazonii zatrzepoce motyl, masz tajfun w Kolorado. To nauki mówią, że jeśli zniszczymy Amazonię, zniszczymy Europę. Mówiąc o ekologii warto jednak pamiętać, co powiedział Franciszek podczas pielgrzymki do Peru, gdy ogłaszał zwołanie Synodu. Stwierdził tam, że ludy Amazonii są uciskane z dwóch stron, poprzez wielki przemysł, który rujnuje tę przyrodę, i przez grupy zielonych, które też próbują zawłaszczyc Amazonię.

W jaki sposób ekolodzy mogą zawłaszczyc Amazonię?

Dla niektórych zielonych człowiek to największy szkodnik. Najlepiej byłoby, gdyby wyeliminowano człowieka. Ekologia integralna wskazuje na przyrodę jako na naturalny nasz dom. Papież mówi o ekologii integralnej, która stawia człowieka w centrum – jako gospodarza

domu, świata stworzenia, który jest w ścisłej zależności od świata przyrody. Przyroda się nie niszczy, bo domu się nie niszczy; dom nie jest ważniejszy od tego, kto w nim mieszka. Jest to nasz wspólny dom.

Wracając do tradycyjnej mądrości – dokument roboczy mówi, że miejscowe rytuały, które wyrażają tę mądrość, należy uwzględnić w liturgii. Czy są tendencje do tworzenia liturgicznych rytów amazońskich?

Ja nie znam, ale być może są. Forma liturgii – europejska – została Indianom narzucona. Niektóre formy pobożności okresu baroku tutaj się świetnie przyjęły, ale jest to jednak religijność narzucona z zewnątrz. Ostatecznie jednak nie chodzi o synkretyzm, lecz o ewangelizację. Chodzi o to, by ukazać prawdę o Chrystusie jako zbawcy człowieka, lecz bez odrzucania całego bogactwa kulturowego. Europa przeszła ten proces – choćby przejmując filozofię grecką czy kulturę łacińską. Ale z tego powodu w trakcie misji doszło do europeizacji narodów, których kultura nie jest zbudowana na kategoriach filozofii greckiej czy rzymskiej. Trzeba zanieść Chrystusa do ludów kultury amazońskiej.

Na ile te rdzenne niechrześcijańskie tradycje duchowe są jeszcze żywe?

Z perspektywy Boliwii nie jest tego dużo. Pozostało mocne poczucie bycia integralną częścią świata przyrody. W Boliwii chrześcijaństwo amazońskie jest mniej naznaczone synkretyzmem niż w rejonach andyjskich. Ale nie znam rejonów Brazylii, gdzie żyją plemiona, które mają znikomy kontakt z zewnętrznym światem.

Co Kościół w Amazonii ma do zaofiarowania Kościołowi w Polsce?

Odwagę nietrzymania się gotowych rozwiązań, a nawet nieszukania takich. Tego się tu nauczyłem. Nie masz gotowej idei, którą chcesz zrealizować wszelkimi środkami, tylko idziesz szukając. Jak mawia papież: człowiek uczy się chodząc, idąc i często się potykając. I myślę, że taki właśnie będzie ten Synod. Po tych wszystkich przygotowaniach nikt nie ma sprecyzowanych idei, które muszą – wedle niego – znaleźć się w dokumencie końcowym. Ponieważ nie ma gotowych rozwiązań. Jest otwarta droga.

© Rozmawiał PIOTR SIKORA

Afera w Watykanie

BARTOSZ HLEBOWICZ Z FLORENCJI

Dlaczego Stolica Apostolska utrzymuje luksusowy gmach w jednej z najdroższych dzielnic w Londynie?

MIGOTANIE PRZEDSIONKÓW”, „TRZĘsienie ziemi”, „starcie potęg”, „lek groźniejszy od choroby” – tak włoskie gazety opisują aferę, która wybuchła na początku października. No bo jak wyjaśnić wiernym, że Watykan utrzymuje luksusowy gmach w jednej z najdroższych dzielnic w Londynie? I że zainwestował weń miliony euro, które mogły np. pójść na biednych? Albo że 400 mln euro datków dla potrzebujących nigdy do nich nie dotarło?

2 października mury watykańskie obwieszono ogłoszeniami Żandarmerii Watykańskiej: pięciu ważnych urzędników „może wejść na teren państwa Watykan tylko w celu skorzystania z przysługujących im usług medycznych albo po uzyskaniu pozwolenia od watykańskiego sądu”. Innymi słowy: zostali wypędzeni. Komentatorzy przewidują, że to dopiero początek i że kadrowe spustoszenie sięgnie najwyższych kręgów hierarchii.

Ryzykowny luksus

W 2011 r. przedstawiciele Sekretariatu Stanu przeznaczają 200 mln euro na fundusz, którym zarządza biznesmen Raffaele Mincione, prowadzący interesy na Karaibach, Malcie, w Rosji, Londynie i Luksemburgu. Fundusz i siedziba holdingu Mincione (WRM) znajdują się w Luksemburgu. Mincione staje się kimś w rodzaju doradcy biznesowego Watykanu. Z funduszu pieniądze idą na różne inwestycje, m.in. na zakup luksusowej rezydencji w londyńskiej dzielnicy Chelsea. WRM kupuje 55 proc. budynku, Watykan 45 proc. Wykłada na to 160 mln dolarów.

Współpraca Watykanu z Mincionem trwa do końca 2018 r. Wtedy to pa-

pież decyduje o zmianach kadrowych w Pierwszym Oddziale Sekretariatu Stanu, który jest watykańskim odpowiednikiem MSW i który odpowiada m.in. za fundusz luksemburski. W okresie, którym zajmują się watykańscy śledczy (lata 2011-18), kierował nim kard. Angelo Becciu. Papież przesuwając go do watykańskiej drugiej ligi: odtąd Becciu stoi na czele Kongregacji Spraw Kanonicznych, gdzie prowadzi m.in. proces beatyfikacji kard. Wyszyńskiego. Na czele Pierwszego Oddziału papież stawia abp. Edgara Peñę Parre, Wenezuelczyka.

Wszyscy przeciwko wszystkim

Parra zaczyna czytać księgi rachunkowe Sekretariatu Stanu. To, co w nich widzi, mu się nie podoba: luksusowy budynek w Londynie, zamiast spodziewanych zysków z wynajmu, przynosi straty. Doradztwo biznesowe Mincione okazuje się bardzo kosztowne. Parra postanawia wyprowadzić Watykan z zarządzanego przez niego funduszu i wykupić cały budynek w Londynie. Na te operacje potrzeba nowych kwot: Parra zwraca się do Instytutu Dziej Religijnych (IOR), zwanego „bankiem watykańskim”, o... 150 mln euro.

Podczas gdy Parra podejrzewa pracowników Pierwszego Oddziału o nieprawidłowości w londyńskiej transakcji, a być może i o wzbogacenie się na boku, IOR (w przeszłości sam uwikłany w wiele skandali finansowych) boi się, że utopione zostaną kolejne zawrotne sumy, i latem tego roku informuje papieża o możliwych przekrętach. Za zgodą Franciszka Żandarmeria Watykańska rozpoczyna śledztwo. Na początku paździer-

nika jej funkcjonariusze wkraczają do biur Pierwszego Oddziału oraz Urzędu Informacji Finansowej (ustanowionego przez Benedykta XVI, jego zadaniem jest m.in... walka z korupcją). Konfiskują poufne dokumenty i komputery, a następnego dnia zawieszają urzędników.

Wśród nich jest Tommaso di Ruzza, dyrektor Urzędu Informacji Finansowej, a także ks. Mauro Carlino, szef Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej, mianowany przez Franciszka zaledwie dwa miesiące temu. Carlino przez wiele lat był osobistym sekretarzem kard. Angela Becciu. Trzej inni zawieszeni urzędnicy także pracują w Sekretariacie Stanu Stolicy Apostolskiej. Jeden z nich, Fabrizio Tirabassi, zajmował się m.in. rachunkami Obolo di San Pietro, czyli „świętopietrza”, dziś będącego ofiarą na rzecz biednych dobrowolnie przekazywaną Watykanowi przez wiernych. To kolejna sprawa, którą badają watykańscy śledczy. Podejrzewają, że 400 mln euro, które w 2015 r. zebrano w ramach Obolo di San Pietro, nigdy nie trafiło do potrzebujących.

Nowy sędzia wkracza do akcji

3 października, dzień po zawieszeniu pięciu urzędników, papież mianował nowego przewodniczącego Trybunału Watykańskiego. Najważniejszym sędzią w Watykanie został Giuseppe Pignatone, były szef prokuratury włoskiej (w maju przeszedł na emeryturę), który całą karierę poświęcił walce z mafią.

Wyśniony przez Franciszka Kościół pokorny i bliski najbardziej potrzebującym wciąż jest daleki od samego Watykanu.

©



TONY GENTILE / REUTERS / FORUM

SZYMON

Hołownia: Dołączyć do dobrej wycieczki



KIEDY TYLKO POMYŚLĘ O TYM, ŻE ZNOWU przypaść mi może w udziale piętnowanie narastających w naszym instytucjonalnym Kościele absurdów, czuję paraliż. No ale jak nie odnotować sprawy tego kalibru, co pismo, które biskupom diecezjalnym i przełożonym zakonnym rozesłał w lipcu sekretarz generalny Episkopatu? Wskazał im, żeby informacje o zgłoszonych przypadkach nadużyć seksualnych przekazywali nie miejscowej prokuraturze, lecz bezpośrednio prokuratorowi krajowemu, zastępcy Zbigniewa Ziobry, Bogdanowi Święckowskiemu.

Normalna, opisana w kodeksie ścieżka prawna jest prosta: przestępstwo zgłasza się prokuraturze, na której „obszarze właściwości” popełniono przestępstwo. Minister sprawiedliwości może w drodze rozporządzenia postanowić, że jakąś kategorią przestępstw, ze względu np. na wysoki odsetek specjalistów w tej akurat dziedzinie, zajmie się jakaś wyznaczona prokuratura (np. Prokuratura Okręgowa w Warszawie prowadzi sprawy z dziedziny rynku kapitałowego). Może też, ze względu na dobro postępowania, przenieść konkretną sprawę o piętro czy dwa piętra wyżej w prokuratorskiej strukturze. Nie ma jednak rozporządzenia (albo nie jest ono znane prawnikom, z którymi o tym rozmawiałem) ustanawiającego Prokuraturę Krajową organem pierwszego kontaktu dla kategorii spraw „przestępstwa seksualne popełnione przez funkcjonariuszy Kościoła”.

Oczywiście, można twierdzić, że to dla dobra tych spraw, bo na szczeblu krajowym zostaną rozpatrzone wnikliwiej niż w rejonie. Rzecz jednak nie w intencjach, lecz w tym, jak to wygląda. A wygląda to tak, że połączeni z obecną władzą w konglomerat biskupi dogadali się z prokuratorską wierzchością z politycznego nadania w ministerstwie, że wszystko, co kłopotliwe, trafiać będzie nie do liniowych prokuratorów, którzy mogliby sprawiać problemy któremuś z biskupów, ale do szefów. Z którymi – w imię trwającego sojuszu tronu i ołtarza – dogada się, co będzie trzeba.

Bo zastanówmy się, tak na chłopski rozum: jak zachowuje się człowiek, który nie ma nic do ukrycia? Szuka, domaga się specjalnych ścieżek do szefów, załatwiania w warszawskich gabinetach? Czy raczej mówi: proszę bardzo, przejdę drogę tę samą, co każdy inny śmiertelnik: badajcie, sprawdzajcie, ostatnią rzeczą, jaką chciałbym robić, jest próba naginania pod siebie procedury. Całe szczęście, że biskupi diecezjalni na niesławnym posiedzeniu 27 sierpnia (po którym wydali komunikat z prośbą do władz, by te były uprzejme zakończyć prześladowanie katolików w Polsce, oraz modlili się za

„pierwsze ofiary ideologii LGBT”) odrzucili sugestię biskupa Mizińskiego. Ale rzecznik Episkopatu do dziś twierdzi, że zdaniem polskich biskupów te sprawy można zgłaszać zarówno panu Święckowskiemu, jak i prokuratorowi lokalnemu, bo to prawnie bez różnicy.

Aż nudno po raz tysięczny o tym pisać: polski Episkopat z podziwu godną determinacją szuka od miesięcy coraz to nowych sposobów na utratę resztek wiarygodności i wizy autodestrukcję. Ma w tej dziedzinie znaczące sukcesy, a one z całą pewnością przyspiesza sukcesy tych partii i środowisk, które coraz dobitniej wnoszą antykościelne hasła i znaczącą część swojego kapitału wykuwają ze słusznego gniewu tych, którzy nie mogą już patrzeć na te lawirowania, wahania, rozmydlania i niuansowania, tudzież na przykrywanie bzdurną wojną z wyimaginowaną „ideologią LGBT” realnego problemu, jakim jest brak rozliczenia się – w popiele i na kolanach – z przestępstw seksualnych.

Ja zaś na każdym spotkaniu, słysząc pytanie, co jeszcze mnie w Kościele trzyma, odpowiadam, że owszem, przede wszystkim sakramenty, żywy Bóg, ale też wspólnota. Dostatecznie dobrze znam historię Kościoła, by wiedzieć, że od praktycznie dwóch tysięcy lat stoi on na krawędzi rozpadu, jest w kryzysie, ktoś co chwila się od niego odłącza, ktoś przyłącza, jakieś jego połacie (czasem wielkości państw) obumierają, inne w tym czasie budzą się do życia. W dostatecznie wielu zakątkach polskiego Kościoła przyłożyłem ucho, by wiedzieć, że mimo iż w pasterskiej centrali nie dzieje się dobrze (to eufemizm), a z wielu parafii dochodzą nie za wesołe wieści, to jednak wciąż wiele jest takich miejsc, w których Boży Duch okazuje się silniejszy od ludzkiej słabości, czyni się tam dobro.

Po każdej kolejnej porcji newsów z okolic Episkopatu (co-raz bardziej sugerujących, że żyjemy w innych galaktykach), miód na moje serce leją małe, dobre krociki robione codziennie na dole. A to „Przewodnik Katolicki” robi numer o ekologii integralnej i pochwali się, że drukuje się na papierze z certyfikatem FSC (drewno z odpowiedzialnie traktowanych źródeł; ten certyfikat to nie jest jeszcze szczyt ekologii, ale krok w dobrym kierunku). A to proboszcz warszawskiej parafii franciszkanów (przy Senatorskiej) wrzucił do sieci plakat, który umieścił na drzwiach kościoła, wzywający wszystkich do udziału w wyborach i uprzedzający, że wszelkie ślady agencji będzie z terenu świątyni usuwał. Itd.

To jest właśnie fenomen tego naszego organizmu, którego emanacją jest organizacja. Że gdy jego część idzie w złym kierunku, a druga część w dobrym, to się wszystko jakimś cudem jeszcze nie rozpada. Moje zadanie jest zaś w tym wszystkim jasne: dołączyć do dobrej wycieczki. Iść z tymi, dla których Mesjasz wciąż jest Jezusem, a nie Jarosławem. I być spokojnym o to, że Bóg z pewnością nie pomyli się na sądzie, oddzielając ideologiczne chwasty od tego, co było w nas tej ponadczasowej jakości. To w końcu Jego Kościół. A nie prywatny mój, pana Jarka, arcybiskupów od „ideologii LGBT” czy wręcz całego Episkopatu Polski. Niech więc tą drogą (jeśli w niebie prenumeruje się i czyta „Tygodnik”) zechce przyjąć za to wielkie dzięki. ©

ŚWIAT NIE ZOSTAŁ ODCZAROWANY

KS. PROF. MICHAŁ HELLER, KOSMOLOG:

Stworzenie Wszechświata jest realizowaniem niezmiernie racjonalnego programu. To powinno być interesujące dla teologa. Być może także dla mistyka.

ARTUR SPORNIAK: „Nie ma miejsca na rajski ogród i cudownie niewinną parę” – pisze Ksiądz Profesor w swojej najnowszej książce „Nauka i teologia – niekoniecznie tylko na jednej planecie”. Czy powinniśmy pożegnać Adama i Ewę?

KS. PROF. MICHAŁ HELLER: Myślę, że to się już dość dawno stało, i to w dwóch niezależnych krokach. Pierwszy krok wykonali bibliści. Kwestia egzegezy biblijnej i interpretacji Pisma Świętego jest skomplikowana, ale ciekawa. Warto sięgnąć do dawnej historii. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa dominowała interpretacja alegoryczna Biblii. Zwłaszcza tych fragmentów, które dotyczyły szeroko rozumianej kosmologii, czyli miejsca człowieka we Wszechświecie. W książce wspominam o zależności teologii od obrazu świata. Obraz świata, zakładany w opisie stworzenia, pochodzi z tamtego czasu i tamtej kultury. W pierwszych rozdziałach Księgi Rodzaju możemy odnaleźć bardzo wyraźne ślady mitów babilońskich. Na początku chrześcijaństwa obraz świata już nie był biblijny i babiloński, tylko grecki. Stąd naturalna wydawała się ich interpretacja alegoryczna, bo te dwa obrazy już nie pasowały do ówczesnej kosmologii.

Ten proces następował dalej. W czasie wędrówek ludów, gdy ginął świat starożytny i jego kultura, wiele się zatraciło. Pozostały szczątki i literatury, i filozofii,

i nauki greckiej. Proces odzyskiwania tego dziedzictwa trwał długo, bo aż do XIII wieku. Z wielkim mozołem Europa odzyskiwała grecką kulturę i naukę, ale robiła to już po swojemu – historia nigdy dokładnie nie wraca. Obraz świata był inny niż w starożytności – był zbudowany z resztek kultury i nauki greckiej.

Ludzie tamtych czasów zdawali sobie dobrze sprawę, że zagubili bardzo dużo rzeczy. I dlatego otaczali wielką pieczołowitością każdy skrawek, który się zachował. Te skrawki były z różnych szuflad – jedne były z literatury, inne z egzegezy biblijnej, jeszcze inne z dzieł filozoficznych czy naukowych. Trzeba było to wszystko posklejać – wytworzyli zatem cały system klasyfikacji. W ten sposób powstawała scholastyka. Stąd też narodziła się tendencja dosłowności w interpretacji. Uznawano, że u starożytnych jest wiedza pewna i trzeba ją zachować. W jeszcze większym stopniu dotyczyło to Biblii – Pismo Święte często było jedynym źródłem wiedzy o świecie.

Potem nastąpiła kolejna zmiana obrazu świata. Powstała nowożytna nauka. Wydawało się, że ten gmach teologii zaczyna się rozpadać.

Trudniejsza sytuacja niż asymilacja filozofii greckiej...

O tyle trudniejsza, że tamta dokonywała się przez kilka wieków. Natomiast pojawienie się nowożytnej nauki do-

konało się w kilka pokoleń. W każdym razie, z czasem pojawiła się nowoczesna egzegeza biblijna. Miało to miejsce w XVII wieku w protestanckich Niemczech. Protestanci byli odważniejsi, tym bardziej że pozbyli się jednego ze źródeł objawienia – odrzucili Tradycję Kościoła, pozostała im *sola scriptura*. Katolicy uczyli się od nich – trwało to dość długo i postępowało z oporami. Ale już dziś nie ma z tym problemu. Nauczylimy się czytać Biblię w ten sposób, żeby wyławiać treść teologiczną, a szczegóły, które należą do formy literackiej i do biblijnego obrazu świata, traktować odpowiednio.

Zresztą zawsze mnie to uderzało: jak się czyta opowiadanie o Adamie i Ewie z Księgi Rodzaju, trzeba być ślepym, żeby nie zauważyć, że to metafora. Mamy rozmowę z wężem, który je ziemię, oraz piękny symbol drzewa poznania dobrego i złego – upadek moralny wiąże się z jakimś pomyleniem dobra i zła. Gdy uczyłem się w seminarium – jeszcze w czasach przedsoborowych – w interpretacji Biblii odwoływano się do orzeczenia Papieskiej Komisji Biblijnej, która powiadała, że opowiadania biblijne należy tłumaczyć dosłownie tak długo, jak to jest możliwe wobec dokonań nauki. Myślę, że dzisiaj już nie jest to możliwe.

To byłby wspomniany przez Księdza pierwszy krok. A drugi?



Drugim krokiem była właśnie nauka, która pokazała, że w historii naturalnej Ziemi nie ma miejsca na ogród Eden – to jedynie piękna i mądra metafora.

Historia upadku Adama i Ewy tłumaczy istnienie w nas tendencji do zła, którą teologia nazywa grzechem pierworodnym. Jak bez tej historii uzasadnić ów grzech?

Mnie odpowiada taka interpretacja, że jest to grzech każdego z nas – wada natury ludzkiej, która została skażona być może rzeczywiście jakimś wyborem na początku naszej historii. Pierwsze rozdziały Biblii mówią o dramacie zła. Grzech pierworodny to jedyny dogmat w Kościele katolickim, który empirycznie można potwierdzić. Wojny, morderstwa, również głupota człowieka – domagają się jakiegoś wyjaśnienia.

Teologiczny problem grzechu pierworodnego dzięki nauce nabiera nowych aspektów. Ksiądz Profesor w książce pisze, że dotychczas teologia była chrysto-geocentryczna. Nauka poszerza ten horyzont, bo być może we Wszechświecie są istoty rozumne, zatem teologia powinna być kosmicznie uniwersalistyczna. Ale to rodzi pytania: czy grzech pierworodny jest wpisany w ewolucję biologiczną i charakteryzuje także inne istoty? Czy one także potrzebują odkupienia?

Pierwsze pytanie jest inne: czy w ogóle są jacyś Inni? Niedawno w Krakowie był zjazd fizyków i w kuluarach mimochodem padło stwierdzenie o olbrzymim skomplikowaniu informacji genetycznej, która tworzy człowieka. Nie chodzi tylko o informację zawartą w genach, ale

też o te fizyczne informacje, które krążą w człowieku. Powoli zaczynamy łamać ten kod. Wszystko wskazuje, że w grę wchodzi bardzo zaawansowane efekty kwantowe.

W naszym mózgu?

Nie tylko, także w innych komórkach. To bardzo ciekawa sprawa. Przybliżyć to można, odwołując się do „demonu Maxwella”. Maxwell wymyślił taką metaforę: wyobraźmy sobie demona, który mógłby działać wbrew zasadzie wzrostu entropii, czyli degradowania się świata. Załóżmy, że zbiornik jest podzielony na dwie części: w jednej jest gaz, w drugiej go nie ma. Otwórzmy małą szczelinę – po pewnym czasie ciśnienia się wyrównają – entropia osiągnie maksymalną wartość. Ale gdyby koło tej szczeliny siedział demon i wypuszczał tylko cząstki poruszające się →

⇒ z dużą prędkością, spowodowałyby to różnicę ciśnień i w konsekwencji zmniejszenie entropii. Sam Maxwell uważał, że coś takiego nie jest możliwe. Dzisiaj okazuje się, że na poziomie biologicznym takie „demonki” działają. Mają one charakter kwantowy i dlatego funkcjonują bardzo małym kosztem energetycznym. One odpowiadają np. za to, że między dwiema komórkami jedne sygnały, które mają odpowiednią charakterystykę, są przepuszczane, inne natomiast są blokowane. Te zjawiska dopiero poznajemy.

Wracając do zjazdu, w kuluarach jeden ze znanych fizyków stwierdził, że przy takiej ilości planet we Wszechświecie na pewno są gdzieś istoty rozumne. Inni przytaknęli, ale są naukowcy, którzy temu równie kategorycznie zaprzeczają – życie, a zwłaszcza życie rozumne, jest tak skomplikowane, że prawdopodobnie się nie mogło we Wszechświecie powtórzyć.

Zatem tego nie wiemy. Ale nawet jeśli istnienie istot rozumnych jest hipotezą, warto żeby teolog wziął ją pod uwagę. Dlatego że można to traktować jako eksperyment myślowy, który pomoże nam zrozumieć pewne zagadnienia teologiczne.

W książce pojawia się hipoteza „wielowcielenia” – Bóg wcielił się w wielu miejscach we Wszechświecie. Czy nie jest ona ryzykowna?

Nie traktuję jej jako hipotezy, tylko jako właśnie eksperyment myślowy. Po pierwsze, nie powinniśmy stawiać ograniczeń Bożej wszechmocy. Po drugie, nie mamy problemu z uznaniem realnej obecności Chrystusa w wielu miejscach naraz pod postacią konsekrowanej hostii, dlaczego mielibyśmy więc mieć problem z „wielowcieleniem”? Po trzecie, dziwię się, że teologowie się tym nie zajmują, skoro to pasjonuje ludzi – wystarczy wygłosić jakikolwiek wykład o Wszechświecie, a jest prawie pewne, że padną z widowni pytania o istoty rozumne.

Myślę, że teologowie kierują się z dawnionym przekonaniem o unikalności Ziemi. Z tym łączy się rozumienie wyjątkowej unikalnej relacji Boga z człowiekiem.

Bóg lubi peryferie – Judea za czasów Jezusa była głęboką prowincją.

Można też argumentować, że jako Nie skończony nie robi niczego, co nie byłoby nieskończone – również jeśli chodzi o liczbę wcieleń. Tym bardziej że te wcie-

Powinna istnieć kościelna akademicka,
która zajmowałaby się
teologicznymi
badaniami zagadnień
z samego frontu nauki.

lenia mogą wyglądać inaczej niż na Ziemi – nie muszą kończyć się krzyżem. To nam potoczyły się tak osobliwie dzieje spotkania z Bogiem.

Chodziłoby zatem o nieograniczoną liczbę bliskich spotkań z Bogiem?

Lepiej rzeczywiście mówić o bliskich spotkaniach niż o wcieleniu. We wcieleniu ciało jest ziemskie. Na innych planetach mogłoby wyewoluować inaczej. W książce piszę i uważam to za ważne, że jeżeli gdzieś we Wszechświecie są istoty rozumne, to na pewno Pan Bóg nie pozostawia ich własnemu losowi.

Jeżeli obraz świata wynikający z nauki tak ciekawie poszerza horyzonty teologii, skąd lęk teologów przed współczesną nauką? Książd Profesor pisze: „Wydaje się, że cień konfliktu zawsze będzie towarzyszył relacji między teologią a nauką”.

Jest wiele tego przyczyn. Mamy w sobie naturalną skłonność do konserwatyzmu i może ona łatwo zacząć dominować. W fizyce, która jest nauką *par excellence* progresywną, któryś z wielkich fizyków powiedział, że nowe teorie nie przyjmują się dlatego, iż fizycy się przekonują, że są słuszne, tylko dlatego, iż stare pokolenie fizyków wymiera. To można odnieść także do teologów. (Powiedziałbym nawet złośliwie: teologowie wymierają wolniej). Inna przyczyna ma naturę społeczną – teologowie rzadko mają wykształcenie przyrodnicze. Wśród teologów bardzo nieliczni czytają książki popularnonaukowe. W tym kontekście jeszcze smutniej rysuje się przyszłość, gdyż w szkołach pozostały tylko jakieś resztki nauczania przyrodniczego.

Książd przestrzega w książce, że teolog, który nie aktualizuje swojego obrazu świata, nieświadomie postępuje jak przestarzały.

Chcąc nie chcąc nasze głowy „przesiąknięte” są tym, co się naokoło dzieje, a więc naukowy obraz świata jakoś do nas dociera. Jednak w popularnym czy „folklorystycznym” nauczaniu Kościoła starożytny obraz świata pomieszany z elementami współczesnymi trwa do dzisiaj. W związku z tym Kościół ma problem duszpasterski – w Polsce to widać bardzo wyraźnie. Z jednej strony mamy tradycyjne nauczanie w oparciu o stary obraz świata, z drugiej istnieją elity, które żyją innym obrazem świata i ogromną trudność im sprawia akceptowanie tradycyjnego nauczania. Kościół musi zadbać i o jednych, i o drugich.

Czyli mamy powtórkę z pierwszych wieków chrześcijaństwa, w których elitom udało się zasymilować grecko-rzymski obraz świata.

Jest jednak różnica. Jeszcze w XIX wieku warto było inwestować w elity, bo funkcjonowała zasada: jaka jest elita dziś, taka będzie jutro większość społeczeństwa. Innymi słowy wpływ elit był duży. Dziś już tak nie jest – dominuje przeciętność. Spowodowane to jest demokratyzacją i masowością dostępu do informacji. Rządzi statystyka – a więc uśrednienie.

Inwestycja w dobrą teologię jest opłacalna, bo dobra teologia zawsze będzie atrakcyjniejsza od złej. Współcześni naukowcy nauczyli się wpytywać także na masy, pisząc popularne książki. Książd jest przykładem. Czas na innych teologów.

Podzielałam zdanie pana redaktora, że jest to droga, której nie można nie obrać. Abstrahując od wszelkich problemów ze skutecznością nauczania, chodzi o prawdę. Naukowy obraz świata wraz z rozwojem wiedzy staje się coraz bardziej prawdziwy. Teologia zatem musi podążać za ścieżką prawdy. Z wieloznacznej folklorystycznej religijności jest tylko jedno wyjście: mozolna edukacja na wszystkich poziomach – i świecka, i religijna. A z tym jest nie najlepiej. Na przykład w katechezie szkolnej nie ma współczesnego obrazu świata. Między innymi dlatego młodzież rezygnuje z lekcji religii.

Katecheza jest z innej bajki niż pozostałe przedmioty.

Właśnie: z bajki! Młodzież katechezę traktuje jak fantazję.

Moim zdaniem nie tyle chodzi o „bajkowość”, co o przestarzałość obrazu świata. Kościół wciąż posługuje się średniowieczną antropologią, której fundament stworzył Arystoteles dwa i pół tysiąca lat temu. Tymczasem nauki o człowieku niesłuchanie poszły naprzód. Czy Ksiądz Profesor rozumie np. termin „dusza”?

Niekiedy można usłyszeć, że problem „nauka a religia” przestał istnieć, gdyż wszystkie spory zostały rozwiązane – obie dziedziny i metodologie bezpiecznie porozdzielano. Tymczasem nauka wciąż się rozwija i powstają nowe problemy. Problem duszy czy psychizmu człowieka jest tym, z którym się musimy dopiero zmierzyć. Na razie leży on odłogiem. Trochę jest to zrozumiałe. Postęp w zajmujących się człowiekiem naukach neurokognitywnych i biologiczno-psychologicznych jest ogromny i bardzo świeży. Co więcej, jesteśmy dość daleko od jakiegokolwiek syntezy. Teolog natomiast z natury rzeczy szuka syntezy, na której mógłby budować swoje dociekania.

Ale to nie jest usprawiedliwienie dla teologów. Uważam, że powinien istnieć jakiś zorganizowany wysiłek Kościoła, jakiś instytut czy akademia, która zajmowałaby się teologicznymi badaniami zagadnień z samego frontu nauki. To wielki problem.

Na razie Kościół jakby nie zauważył, że nauka wkroczyła na teren do niedawna zastrzeżony dla filozofii i teologii. Czy stąd pomysł Księdza Profesora, by stworzyć nową teologiczną dziedzinę: teologię nauki? Pomysł sprytny, bo teologowie mają zajmować się nauką na bezpiecznym dla siebie teologicznym terenie.

Trochę tak właśnie było. Ten pomysł rzuciłem dawno. W latach 80. napisałem krótki artykuł o teologii nauki, który został potem przetłumaczony na angielski. Ku mojemu zaskoczeniu hasło „teologia nauki” dość się przyjęło. Ludzie zaczęli mnie dopytywać, co to takiego, i w ten sposób zmuszać do refleksji. Początkowo zrobiłem to na własny użytek – zajmując się nauką i jednocześnie tkwiąc w teologii, która zawsze mnie bardzo interesowała, wydawało mi się naturalne pytanie, co teolog ma do powiedzenia o nauce.

Pierwsza idea książki brzmi: „Im lepiej poznajemy świat, tym więcej wiemy o Bogu”. Co nauka mówi o Bogu?

Nauka wprost o Panu Bogu nie może powiedzieć niczego – zabrania jej tego jej własna metodologia. Ale właśnie teolog, który zna naukę, może z danych naukowych wyczytać coś dla siebie. Podam jeden zasadniczy przykład. Nauka przedstawia świat jako niezmiernie skomplikowany i niezmiernie tajemniczy. Tajemnica kojarzy się z czymś niezrozumiałym, tymczasem nauka pokazuje właśnie tajemniczość racjonalności: świat jest zaskakująco zrozumiały, choć przy tym skomplikowany. Mówiliśmy już o informacji, która krąży w tkankach człowieka. Weźmy świat cząstek elementarnych – nie są one żadnymi grudkami materii, lecz raczej jakimiś falami prawdopodobieństwa. Mamy zakrzywienie czasoprzestrzeni czy czarne dziury. Wszystkie te „rzeczy” da się matematycznie dokładnie opisać, a z tych opisów wynikają przewidywania, które dokładnie zgadzają się z wynikami pomiarów. Świat jest zadziwiający! Humanisci zarzucają nauce, że ona odczarowała świat. Jest wprost przeciwnie!

Teolog mówi o stworzeniu świata: jedynym aktem woli powołał Pan Bóg świat do istnienia. O samym akcie stworzenia teolog niewiele ma do powiedzenia. Nauka tu pomaga teologii – pokazuje, jak ten akt stworzenia musiał być niezmiernie racjonalny i intelektualnie wyrafinowany. Stworzenie to realizowanie nieskończenie precyzyjnego programu. To powinno być niezwykle interesujące dla teologa. Być może także dla mistyka.

Jednym z problemów na styku „wiara i nauka” jest sposób działania Boga w świecie. Nauka wyklucza Jego nadzwyczajne interwencje. Jeśli jednak założymy, że Bóg realizuje swój zamiar całkowicie w ramach praw przyrody, gdzie zostaje miejsce na świat „rzeczy niewidzialnych”, o których wspomina Credo?

Studiując teologię, miałem już takie podejrzenie, że podział na naturalne i nadnaturalne jest rozmyty i nie do końca teologicznie poprawny. Wszystko jest nadnaturalne, albo – jak ktoś woli – wszystko jest naturalne. Bóg, z powodu swej immanencji, jest w każdym drgnięciu atomu, w każdym przejawie działa-

ności świata. A równocześnie jest transcendentny – wykracza swoją Boskością poza świat. Za pomocą niedoskonałych rozróżnień, jak naturalne–nadnaturalne czy widzialne–niewidzialne (atomy też są przecież niewidzialne!), próbujemy coś nieudolnie wyrazić.

To gdzie we współczesnym obrazie świata jest miejsce dla aniołów i szatana?

Nie wiemy, czym albo kim są aniołowie. Obraz anioła został wkomponowany w średniowieczny obraz świata – tam był zrozumiały. U greckich Ojców Kościoła, którzy musieli pogodzić grecki obraz świata z teologią, pojawiła się koncepcja, że Bóg nie może objawić się bezpośrednio człowiekowi. Biblijne teofanie były – według nich – reprezentacjami Boga, a nie samym Bogiem. Mówili, że Bóg łączy się ze światem przez swoje moce, które wysyła. I tak niektórzy Ojcowie Kościoła wyjaśniali naturę aniołów. Ciekawe, że w Biblii aniołowie pojawiają się głównie w księgach, które powstawały podczas niewoli babilońskiej.

A diabeł?

Z diabłem związane jest najtrudniejsze zagadnienie w teologii: problem zła. Teologicznie problem zła łączy się z problemem odkupienia i śmierci Jezusa na krzyżu. Widać więc, że w tym dramacie Pan Bóg bierze jakiś bardzo osobisty udział. Ale to już wykracza poza zakres teologii nauki.

Aczkolwiek uprawianie nauki wytwarza pewien typ umysłowości – w naszym umyśle kodują się pewne wzorce myślenia, które są inne niż wzorce używane przez osoby nieparające się nauką.

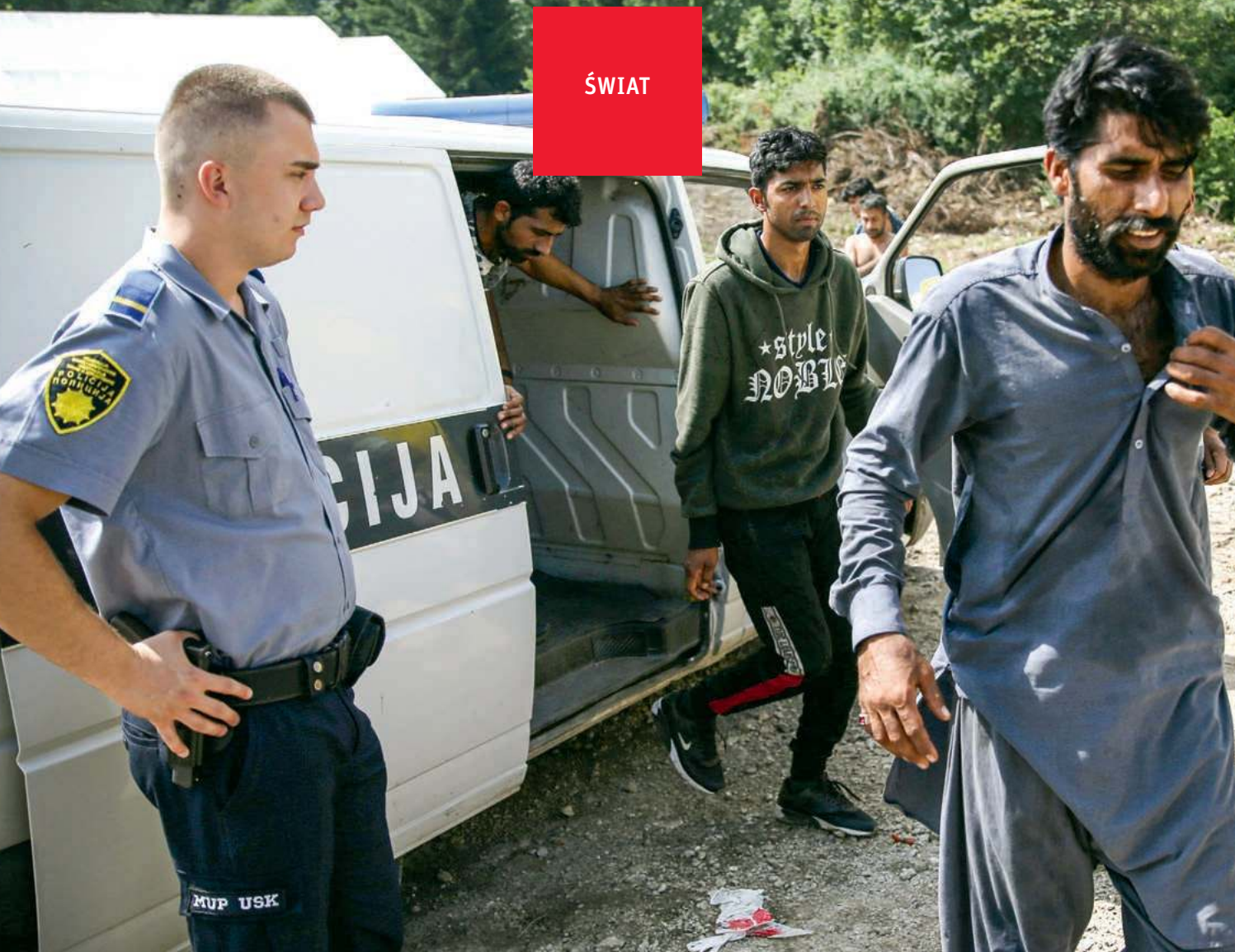
Ale też inne niż używane w teologicznej tradycji Kościoła.

Dlatego też teologowie muszą wykonać ogromną robotę, żeby „odbajkować” religijną wizję świata.

© P Rozmawiał ARTUR SPORNIAK



Michał Heller
NAUKA I TEOLOGIA
– NIEKONIECZNIE
TYLKO NA JEDNEJ
PLANECIE
Copernicus
Center Press,
Kraków 2019



MAŁE MIASTO U GRANIC UNII

Pole po wysypisku śmieci, wkoło góry, podobno z minami z wojny. Tu, do obozu Vučijak, bośniacka policja zwozi ujętych imigrantów. Aby nie psuli turystycznego klimatu.

KAROLINA ANNA KUTA Z BIHACIA (BOŚNIA I HERCEGOWINA)

DECYZJA LOKALNYCH WŁADZ ZAPADŁA na długo przed wakacjami, policyjne akcje rozpoczęto w połowie czerwca. U szczytu sezonu turystycznego imigranci byli zatrzymywani na ulicach, głównie

na podstawie koloru skóry – i wywożeni do prowizorycznego obozu Vučijak, 8 km od Bihacia – miasta położonego blisko granicy z Chorwacją, należącą już do Unii Europejskiej.

Bośnia, a szczególnie kanton Una-Sana, stała się centrum kryzysu kilkanaście miesięcy temu. Wcześniej szlaki migracyjne ją omijały. Okazało się to dużym wyzwaniem, bo polityczno-społeczny

Bośniacka policja przywozi ujętych imigrantów do obozu Vučijak koło Bihacia, Bośnia i Hercegowina, lato 2019 r.



FORUM / REUTERS

paraliż trwa tu od zakończenia wojny w 1995 r.

Vučijak, o którym migranci mówią „obóz-dżungla”, postawiono pośrodku niczego. Przy wjeździe wisi pordzewiała już tabliczka. Niemiecka organizacja pozarządowa chwali się ukończonym projektem: zamknięciem nielegalnego wysypiska śmieci. Jeszcze jakiś czas temu ładowały na nim stare pralki. Dziś to tymczasowy dom dla ok. 700 imigrantów, jedynie mężczyzn. Kobiety i dzieci udało się umieścić w innych ośrodkach. Co nie znaczy, że nigdy tu nie trafiają.

Zanim powstał obóz, było puste pole, naokoło tylko góry. Gleba dawnego wysypiska jest podobno zatruta; nikt nie chciał stawiać domów. Podczas pierwszych tygodni funkcjonowania problemem były węże. Później imigranci nauczyli się je zabijać.

Czerwone na mapie

Mijam kontener, w którym wartę trzyma trzech młodych policjantów. Znużeni, palą papierosy. Są na tyle daleko od obozu, że mają spokój. Poza tym – brak zasięgu sieci telefonicznych. Kiwają tylko głowami, wpuszczając kolejne radiowozy przywożące ludzi z miasta.

Uchodźcy i imigranci w samochodach mają szczęście, bo nie musieli iść. Zostali złapani w centrum Bihacia, a upał jest taki, że nie ma czym oddychać. Niektórzy, wychodząc z auta, rzucają policjantom: „Dziękuję”.

Jest niedziela, w obozie spokój. Udało się jakoś zorganizować przestrzeń: Ahmed otworzył sklep, handluje towarami przywożonymi z miasta, Lemon piecze i sprzedaje tradycyjne placki, Jim został fryzjerem (za równowartość 10 zł przycina włosy i brody).

W centrum obozu wisi mapa: po angielsku i arabsku ostrzega przed minami w Bośni i Hercegowinie. Spore obszary mapy zaznaczono na czerwono. Wolontariusze i mieszkańcy twierdzą jednak, że tak naprawdę nikt nie wie, gdzie dokładnie są miny – pozostałość po wojnie między Serbami, Bośniakami i Chorwatami, która toczyła się w latach 1992-95.

Obóz to ok. 80 namiotów, postawionych przez bośniacki Czerwony Krzyż i turecki Czerwony Półksiężyc. Na ziemi, kocach i prowizorycznych materacach ludzie próbują usnąć, szukają cienia, odganiają od siebie muchy. Większość namiotów ma po sześć metrów kwadratowych, w każdym tłoczy się po kilkanaście osób.

Lepiej chodzić do lasu

– Dostaliśmy polecenie: rozłożyć namioty za miastem. Nic więcej. Nie znaleźmy dokładnej lokalizacji. Przyjechaliśmy i zobaczyliśmy las, puste pole – mówi Suada (imię zmienione), wolontariuszka Czerwonego Krzyża.

Brakuje bieżącej wody i kanalizacji. Wszędzie wałają się śmieci. W gorącym i suchym powietrzu wisi duszący zapach. Kilka razy w ciągu dnia migranci organizują pospolite ruszenie i zbierają śmieci do czarnych worków. Niestety, przy obozie stoi tylko jeden kontener. W przyczepie funkcjonuje toaleta (cztery kabiny),

ale trudno do niej wejść, nie mdlejąc. Czerwony Krzyż radzi chodzić do lasu.

Suada wspomina powstanie obozu: – Zaczęliśmy pracować. Było nas kilkoro, a namiotów kilkadziesiąt. Po chwili zwieźli autobusami setki ludzi, zdenerwowanych. Nie wiedzieli, co się dzieje, gdzie ich wywożą. My też nie mieliśmy pojęcia, jak się zachować. Na chwilę zrobiło się nieprzyjemnie. Ale później usiedli na ziemi i w kompletnej ciszy patrzyli, jak pracujemy. Potem niektórzy się podnieśli, zaczęli nam pomagać.

Policja zabierała wtedy ludzi z ulic Bihacia, z parkingów i ruin budynków, gdzie szukali schronienia. Przeszukiwała też, bywało, prywatne domy i mieszkania, które wynajmowali.

– W Bihaciu wszyscy wiedzieli, że niektórzy mieszkańcy zarabiali na uchodźcach. Były dwa takie budynki, gdzie łącznie mieszkało 283 ludzi. Jeden dla kobiet, drugi dla mężczyzn. Spali na schodach. Byłam obok, gdy ich wywożono. Z ulicy słyszałam krzyki, policjanci bili pałkami – opowiada Margot, Francuzka, która pracuje w Bośni dla organizacji Border Violence Monitoring.

Tyłu nam przyjechało

W niedzielne popołudnie po obozie kręci się Salem Midžić, szef bihackiego Czerwonego Krzyża. Przypomina bohatera westernów: zjawia się kilka razy w ciągu dnia, nadzoruje wydawanie posiłków. Od roku widzę go z tym samym wyrazem twarzy. Zeszłej jesieni powiedział mi: „No cóż, tyłu ludzi nam przyjechało”.

Czerwony Krzyż z Bihacia to jedyna organizacja na co dzień pracująca w Vučijaku: kilkoro studentów, grupa kobiet i Midžić. Dwa razy dziennie przywożą mięsno-warzywną papkę i chleb w grubych pajdach. Kolejka formuje się na godzinę przed rozpoczęciem wydawania obiadu.

Jest też czworo lekarzy, ci pracują na własną rękę. Międzynarodowa Organizacja ds. Migracji (IOM) i inne organizacje zbrojkotowały Vučijak. Delegacja Unii w Bośni i ONZ stwierdziły, że lokalizacja nie nadaje się dla ludzi – w związku z tym, że nie spełnia podstawowych norm, oraz ze względu na zagrożenie chorobami i minami.

Według statystyk IOM, w 2018 r. przez Bośnię przeszło ponad 22 tys. migrantów. Tymczasem rok wcześniej urząd Wysokiego Komisarza Narodów →

→ Zjednoczonych ds. Uchodźców (UNHCR) zarejestrował tylko 755 osób. Pod koniec czerwca władze centralne w Sarajewie podały nowe liczby: od początku roku 10,5 tys. zarejestrowanych. Większość w kantonie Una-Sana.

Stolica kantonu, Bihać, to 50-tysięczne miasto. Leży kilkanaście kilometrów od granicy z Chorwacją. Jeszcze parę lat temu było to miejsce senne i nieco turystyczne, ale bez tłumów. Główne atrakcje to krystalicznie czysta rzeka Una, zabytkowy meczet i kilka kawiarni. Mieszkańcy nadal nie zdążyli odremontować niektórych budynków, zniszczonych podczas wojny.

Okolice Bihacia od kilku lat są celem turystów z Arabii Saudyjskiej i Dubaju, szukających w Europie bliskości natury w przystępnej cenie i przyjaznym otoczeniu. Wielu z nich kupuje tanio ziemię w okolicy Parku Narodowego Una, stawia przy rzece domki letniskowe, inwestuje też w restauracje.

– To małe miasto, które nagle musiało zająć się tysiącami ludzi. Mieszkańcy się boją. Ludzi ciągle przybywa, wielu potrzebuje pomocy – mówi Midžić.

Schematy

Najpopularniejszy jest schemat pierwszy. Policja krąży po ulicach i łapie pojedynczych migrantów. Wywozi ich autami do obozu. Są oceniani po wyglądzie. Kilka razy przypadkiem ujęto turystów. – Jakbyś była bardziej opalona, musiałabyś uważać. Dla mnie to największa dyskryminacja – ostrzega Margot.

Liczy się też ubranie. Migrantów można podzielić na tych, którzy mają tylko klapki, koszulkę i spodnie (to weterani; przy próbach przekroczenia granicy chorwacka policja zwykła palić ich ubrania, plecaki, telefony) – i resztę. „Reszta” to nowicjusze, którzy dopiero wejdą do „gry”. Tak nazywają próbę dostania się do Unii. Nowicjusze noszą ze sobą cały dobytek, nawet w upale mają kilka warstw ubrań. Oraz plecak lub reklamówkę. Łatwo ich rozpoznać. Łatwo też pomylić z przybyszami z półwyspu Arabskiego. To znaczy – łatwo pomylić mężczyzn. Bo Arabki... kobiety turystki wyglądają inaczej niż kobiety migrantki: te w obozach zwykle nie noszą hidżabów ani burek.

Schemat drugi działa, gdy brakuje radiowozów, a w mieście jest akurat wielu migrantów. Policjanci eskortują ich wtedy do obozu zwartą kolumną. Lu-



Mapa ostrzegająca przed polami minowymi w obozie Vucijak koło Bihacia, lato 2019 r.

dzie maszerują górską drogą przez ponad dwie godziny. W lipcu organizacja Are You Syrious? opublikowała na Twitterze video: kolumna ludzi idzie ulicami miasta. Trzymają się za ramiona, jak więźniowie. Takie przemarsze zdarzają się co kilka dni.

Schemat trzeci: gdy policjanci dostają donos od mieszkańców. Podjeżdżają pod wskazany adres i zabierają migrantów. – Rozmawiałem z takimi, którzy weszli do supermarketu kupić wodę. Gdy wychodzili, przed drzwiami czekała policja. Jestem tym zdumiony. Pochodzę stąd. Ludzie donoszą, a to nie była część naszej mentalności – mówi Aleksandar, Serb, który pracuje w Bihaciu jako wolontariusz.

Policjanci podkreślają, że wykonują polecenia. Przeniesienie migrantów z miasta do leśnego obozu to zarządzenie lokalnych władz. Wiosną Czerwony Krzyż i Czerwony Półksiężyc podniosły alarm: migrantów w mieście było już tylu, że spali na parkingach i ulicach albo w ruinach. Bywało, że umierali: ktoś spadł z wysokości, wybuchały pożary. Ośrodki dla migrantów w kraju od początku kryzysu pękały w szwach.

W Bihaciu zaczęło się też robić niebezpiecznie: zdarzyły się kradzieże i bójki. Lokalne władze załamywały ręce nad wpływem kryzysu na turystykę i bezpieczeństwo. Burmistrz Šuhret Fazlić od

miesiący powtarza, że Bihać pilnie potrzebuje wsparcia.

Przed wakacjami nie udało się wygospodarować nowej przestrzeni dla migrantów. Dyskusje na jej temat między ONZ, władzami lokalnymi i Sarajewem ciągnęły się. Rzecz w Bośni poniekąd zwyczajna – władze są słabe, kraj pogrążony w etnicznych i formalnych podziałach, które narzuciło porozumienie pokojowe z Dayton. Lokalni politycy podjęli w końcu decyzję o założeniu obozu. Na własną rękę, przy zielonym świetle od władz centralnych – być może zadowolonych z rozwiązania „na miejscu”, 300 km od stolicy.

Wracając do schematów: jest jeszcze czwarty – gdy migranci mogą wrócić do obozu sami, ale muszą iść naokoło. – To był najwyżej 17-latek, malutki Pakistańczyk. Kupował szampon. Przy wyjściu ze sklepu policja go zatrzymała. Powiedzieli: „Dobrze, wróć do obozu, ale naokoło. Nie główną ulicą, bo mamy tu dużo turystów” – wspomina Margot.

Dziewczyna patrzy w przestrzeń i robi palcem kółka na krawędzi filiżanki z kawą.

Część turystów omija Bihać

Centrum miasta, niedzielny wieczór. Jest gwarno, z restauracji słychać muzykę. Na kramach sprzedają gotowaną kukurydzę i owoce. Ludzie spacerują tam i z powro-



KAROLINA ANNA KUTA x2

W obozie imigrantów Vučijak koło Bihacja, lato 2019 r.

tem przez króciutki deptak, słońce pozwoli opadać na rzekę. Kilko turystów z Chorwacji, Arabii i Turcji prosi mnie o zrobienie zdjęcia na jej tle. Migrantów w centrum nie ma.

W 2018 r., już po otwarciu nowego bałkańskiego szlaku migracyjnego, kanton odwiedziła rekordowa liczba ponad 55 tys. osób. Rok wcześniej było ich nieco mniej (50 tys.), a w 2016 r. znacząco mniej (42 tys.). Więcej turystów to dla mieszkańców więcej pracy i zarobek.

– W Parku Narodowym Una przez pierwszych osiem miesięcy tego roku liczba odwiedzających wzrosła o 20 proc. w porównaniu do roku 2018 – informuje Nirvana Abdić z biura Parku w Bihacju. Ale zaraz stwierdza, że wzrost powinien być jeszcze wyższy, biorąc pod uwagę światowe trendy i rozwój bośniackiego sektora usług. Teraz niektórzy turyści przyjeżdżają tylko do Parku, nie odwiedzając już Bihacja. Choć w poprzednich latach zwykli zatrzymywać się w miasteczku.

Kobieta, u której wynajmuję pokój, to Chorwatka. Wylewna i serdeczna blondynka przy kości, pod sześćdziesiątkę. Tłumaczy, że dopiero zaczyna „żyć” po wojnie. Tamta zabrała jej te ładniejsze lata. Jej mąż jest małomówny. Kiedyś był żołnierzem, dziś ma problemy ze zdrowiem. Przeszedł kilka zawałów.

Podsuwają mi rady dotyczące okolicy i sytuacji migrantów – jakby chcieli,

abym zdążyła zobaczyć wszystkie nieszczęścia. Kiedy opowiadam o Vučijaku, mąż dopytuje.

– Mają jedzenie? – patrzy na mnie.

Opowiadam. Patrzy już tylko na swój talerz i kiwa głową.

„Back to Bosnia!”

Jest ich w namiocie kilkunastu. Najmłodszy ma na imię Baca i 17 lat. To muzułmanie Rohinga. Przebyli długą drogę: najpierw z Birmy do Bangladeszu, a potem aż do Bihacja.

Baca twierdzi, że został pobity przez chorwackich policjantów. Reszta mówi, że Chorwaci tylko spalili ich rzeczy. Czasem zabierają buty: kuzyn Bacy, ujęty, wracał z granicy boso.

W innych namiotach są ludzie z Syrii, Afganistanu, Pakistanu, Iranu, Bangladeszu, Indii. Niektórzy twierdzą, że na granicy unijnej ich okradziono, poniżano, bito. Że gdy powtarzali „azyl”, dostawali w twarz. Że słyszeli: „No asylum, go back to Bosnia!”.

Z prawnego punktu widzenia takie postępowanie jest nielegalne: gdy człowiek zwróci się z prośbą o udzielenie ochrony międzynarodowej i jest ona ignorowana.

Rohinga o postępowaniu chorwackich policjantów opowiadają niechętnie, jakby z niedowierzaniem.

„Nie możemy pozwolić, żeby chorwacka policja przeprowadzała do Bośni

migrantów, wskazując im Bihać jako kierunek” – mówił burmistrz Fazlić telewizji N1.

– Każdy wie, że taka jest strategia Unii Europejskiej na ochronę jej granic. Brukseła na wszystko przymyka oko, a my jesteśmy przyzwyczajeni: na Bałkanach zawsze wykonujemy brudną robotę. Tylko okoliczności się zmieniają – komentuje Aleksandar.

Chorwacja długo zaprzeczała doniesieniom medialnym i raportom dokumentującym postępowanie swoich strażników granicznych i policjantów. W lipcu prezydent Kolinda Grabar-Kitarović przyznała w wywiadzie dla szwajcarskiej telewizji SFR, że wydalenia mają miejsce. Ale zaprzeczyła, aby były nielegalne czy z użyciem przemocy. „Oczywiście potrzebna jest odrobina siły podczas wydażeń” – stwierdziła.

Chorwaci powtarzają, że ich granica jest „bardzo bezpieczna”. Państwo, które jest członkiem Unii od 2013 r., stara się o dołączenie do strefy Schengen. Na początku września prezydent Grabar-Kitarović zapewniła, że po osiągnięciu tego celu granica będzie „jeszcze lepiej chroniona”.

Czekając na zimę

– Dlaczego wcześniej nie przeczytaliście nic o Europie? – pytam grupę Rohinga.

– Wyobrażałem sobie, że Europa to jeden wielki kraj. Myślałem, że macie tutaj prawa człowieka – odpowiada powoli jeden z mężczyzn, oddzielając sylaby.

Jeszcze nie wiadomo, co stanie się z obozem Vučijak wraz z nadejściem zimowych mrozów. Władze podkreślają ciągle, że to rozwiązanie tymczasowe.

– Nikt nie ma planu: ani Bośnia, ani żadna międzynarodowa organizacja, ani Unia. Przygotowujemy się więc na wszystko – mówi Dirk Planert, fotograf i aktywista pracujący w obozie.

© KAROLINA ANNA KUTA

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek

o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM

| Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój

| 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane

– 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

| Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl

Transylwański miks emocji

JAKUB MEJER Z RUMUNII

Eksploatujący postać księcia Drakuli przemysł turystyczny i gorzkie rozczarowanie politykami to jedno z niewielu rzeczy, które łączą tu dziś mieszkańców.

SZALOM SIGHIȘOARA – KRZYCZY ZE SCENY Maia Morgenstern, znana rumuńska aktorka. Wraz z zespołem klezmerskim Maia – znana z roli Maryi w „Pasji” Gibsona – jest głównym wykonawcą na festiwalu etnicznym, odbywającym się w tym 25-tysięcznym miasteczku, siedzibie gminy na Wyżynie Transylwańskiej.

Na pierwszy rzut oka to typowy prowincjonalny festyn, z całym charakterystycznym dla takich wydarzeń folklorem: lokalnym politykiem, który narzeka na władze centralne w Bukareszcie, a za którym dzielnie biega asystent z aparatem. A także ze skłóconym z organizatorami restauratorem, który ostentacyjnie zamyka swoją knajpę na rynku na czas imprezy. Dla większości widzów – a przybyło ich немало: jakieś 9 tys. z Rumunii i 3 tys. z zagranicy – koncerty i występy grup tanecznych mogą być dodatkowym urozmaicheniem wizyty w jednej z głównych atrakcji regionu, czymś między gryzem langosza, łykiem piwa, kupnem miejscowego rękodzieła lub koszulką z Drakulą (wyprodukowanej w Azji).

Ale nie dla wszystkich. W kraju takim jak Rumunia, gdzie swoich przedstawicieli w parlamencie ma aż 18 mniejszości narodowych, a w niektórych miastach z trudem przychodzi porozumieć się po rumuńsku, to nie tylko kolorowe stroje i występy na scenie. Szczególnie tu w Transylwanii (dla Węgrów: Siedmiogrodzie), która stała się częścią państwa rumuńskiego sto lat temu. I w której, dzięki historii osadników przybywających tu kiedyś z całej Europy, w wielu miejscach wciąż widać wielokulturowe dziedzictwo.

– Musimy pokazywać światu nie tylko nasze dziedzictwo, ale też nasze problemy – mówi Loránt Vincze, europoseł

reprezentujący w Brukseli Demokratyczny Związek Węgrów w Rumunii (UDMR) i zarazem przewodniczący Federalnej Unii Europejskich Grup Narodowościowych. – Przed wyborami znowu na stole pojawiła się nacjonalistyczna karta. Prawo dotyczące węgierskiego języka nie jest przestrzegane tak, jak być powinno. Węgrzy nie czują się szczęśliwi – dodaje polityk.

Aby odczuć takie napięcia w codzienności, wystarczy przejechać się 40 km na północ. Przewodnik oprowadzający po zamku w Sângeorgiu de Pădure (lub, jak to miasto zna większość mieszkańców: Erdőszentgyörgy) równie wiele czasu poświęca opowieści o najsłynniejszej bywalczyńi komnat (Klaudii Rhédey, praprababci brytyjskiej królowej), co historii zaniedbań rządu Rumunii i walce o przejęcie budynku przez lokalny samorząd. Jedyna w pełni wyposażona sala (ekspozycja dopiero powstaje) jest poświęcona temu, jak komunistyczny przywódca Nicolae Ceaușescu niszczył wielonarodową historię tego miejsca. W pobliskim sklepie wszyscy mówią po węgiersku.

Węgierska zdawalność

Główną osią konfliktu między mniejszością węgierską a rumuńską większością jest edukacja. Węgrzy stanowią dziś ok. 6 proc. społeczeństwa Rumunii, ale na Seklerszczyźnie (południowo-wschodnia część Transylwanii) w wielu miejscowościach są większością.

Po upadku Ceaușescu w 1989 r. kraj wprowadził szereg praw dla mniejszości prawodawstwo. Reprezentantów w parlamencie mają nawet tak niewielkie grupy jak Polacy (ponad 2 tys. osób, skupionych w kilku wsiach). Mogą mieć szkoły uczące w ich językach, a tam, gdzie stanowią



ponad 20 proc. społeczności, także napisy na znakach drogowych. Tyle w teorii.

– Legislacja jest dobra, gorzej z jej realizacją. Ostatnio mieliśmy kryzys za sprawą projektu rządowego, który uznawał, że nauczyciele w szkołach dla mniejszości nie są wystarczająco wyszkoleni, aby uczyć rumuńskiego. To była bezużyteczna dyskusja, prawo zostało wycofane – mówi Enikő Laczikó, sekretarz stanu w departamencie relacji międzyetnicznych rumuńskiego rządu (UDMR jest obecnie w opozycji, ale w kluczowych dla nich resortach pozostało kilku reprezentantów, takich jak właśnie Laczikó).

– W dwujęzycznych szkołach dyrektorem jest zawsze Rumun, a węgierskie dzieci są szykanowane. To nie działa. Wiem, bo to przeżyłam – mówi Iulia, pracownica organizacji pozarządowej. Dla Węgrów kluczowe są placówki, w których edukacja prowadzona jest w ich języku, a rumuńskiego dzieci uczą się tam jak języka obcego. W miastach, które często jeszcze kilkadziesiąt lat temu były prawie całkowicie węgierskie, ale teraz dominują w nich Rumuni, z reguły nie można ich znaleźć (tkanka transylwańskich miast mocno się zmieniła po tym,



Tradycyjna procesja rumuńskich Węgrów do popularnego sanktuarium maryjnego w Șumuleu Ciuc. Transylwania, 8 czerwca 2019 r.

SZILARD KOSZTICSÁK / PAP / EPA

jak Ceaușescu w latach 70. zaczął osiedlać tu Rumunów).

Problemem jest też wyższa edukacja. Na maturze dzieci węgierskie muszą zdać rumuński na takim samym poziomie co pozostałe, choć uczą się go jak języka obcego. Wskaźniki zdawalności w regionach zdominowanych przez Węgrów należą do najniższych w kraju. Dalej nie jest lepiej: jeśli nie chcą emigrować, zostaje im wybór między zaledwie dwoma większymi uniwersytetami – prywatnym (finansowanym przez rząd Węgier) lub publicznym, gdzie stanowią mniej niż 13 proc. studentów.

Niewidzialni Niemcy

Inaczej wygląda edukacja w klasach niemieckich. Szkoła na Wzgórzu w Sighișoarze z dumą prezentuje germański rodowód, chwając się najsłynniejszym wychowankiem: współtwórcą rakiet V2 Hermannem Oberthem. Większość uczniów, choć nauka jest oparta na prawie dotyczącym mniejszości, nie przyszła tu z tego powodu. Uczą się tutaj osoby, których niemieckie korzenie są mocno rozmyte, albo Rumuni, bo szkoła daje dobre perspektywy. Szczególnie, gdy ktoś planuje emigrację.

– Ukończyłem tę szkołę 25 lat temu. Do dziś zostało nas tu siedmioro z klasy, a 28 wyjechało. Nie tylko do Niemiec, też np. do Stanów. I tak jest w każdym roczniku, to są stracone pokolenia – mówi Peter, który pracuje jako przewodnik, głównie dla niemieckich turystów. Inny absolwent, który niedawno skończył szkołę, szacuje, że z jego rocznika wyjechała mniej więcej połowa. Według jednego z nauczycieli wyjeżdża 10-20 proc.

– Mamy projekty, które wymagają, aby 90 proc. uczestników było z mniejszości. Jeśli projekt przeznaczony jest dla młodzieży, jest to pułap nie do osiągnięcia, w efekcie biorą w nich udział Rumuni. Dyskutujemy na ten temat, czy to zasadne, nie mamy dobrej odpowiedzi – mówi Cornelia Hemmann, koordynatorka projektów z Instytutu Spraw Międzynarodowych w Stuttgarcie.

Mniejszość niemiecka w Rumunii liczy dziś zaledwie 36 tys. osób (0,17 proc. społeczeństwa). Z reguły to seniorzy, którym nie chciało się już emigrować do Niemiec po upadku komunizmu. I tak, historyczny warowny kościół w Biertan, jedna z atrakcji turystycznych Transylwanii, szczyt się społecznością liczącą raptem 20-25 Niemców, którzy uczestniczą

w niedzielnej mszy. W całej 2,5-tysięcznej miejscowości ma ich być osiemdziesięcioro osób.

Wiele miast ma dwujęzyczne znaki – bardziej dla turystów, bo nie spełniają warunku „20 procent”. Tu najwyraźniej nikomu to nie przeszkadza. Choć gdy w mieście, które nie ma odpowiedniego odsetka Węgrów, stawiane są tablice w ich języku, zwykle znajdzie się jakiś „życzliwy” rumuński nacjonalista, który zgłosi sprawę do sądu.

Zdarzają się też zaskakujące wyjątki. Takie jak położone na końcu lokalnej drogi Mălâncrav, które wygląda jak środkowoeuropejska wersja zapomnianej przez świat francuskiej plantacji z filmu „Czas apokalipsy”. Niemiecka społeczność, skupiona wokół jednego z tu-tejszych warownych kościołów, szczyt się tym, że jest największą wśród transylwańskich wsi (130 Niemców na 1100 mieszkańców) i ma znaczną liczbę dzieci. Dzięki brytyjskiej fundacji wyremontowali pałac, który wynajmują turystom, na pensjonaty zaadaptowali kilka chat. Fundusze unijne pomogły w odtworzeniu sadu, ruszyła produkcja ekologicznych soków jabłkowych. Społeczność ma własnego księdza przybyłego z Republiki Federalnej (połowa kosztów jego utrzymania pokrywana jest z Niemiec).

Niemcom w Rumunii pomagają też słynne nazwiska. Laureatka Nobla, pisarka Herta Müller pochodzi z innego regionu, ale jej książki opowiadają także o problemach Niemców w Transylwanii. Obecny prezydent kraju Klaus Iohannis pozostał w Rumunii jako jedyny ze swej rodziny (uczynił tak z miłości). Zasłynął tym, że jako burmistrz Sibiu przekształcił to miasto w jedną z większych atrakcji Transylwanii. Jego rządy jako prezydenta są dla mniejszości jednak raczej rozczarowujące – uważają, że nie robi nic dla poprawienia ich sytuacji, aby nie narażać się na ataki.

Ignorowani Romowie

Są tu też Romowie, chociaż mniej widoczni.

Ich środowisko jest podzielone – niektórzy uważają się za mniejszość narodową, inni to odrzucają, twierdząc, że są Rumunami. Elity skupiają się na promowaniu własnej martyrologii – Holokaustu, →

→ deportacji, niewolnictwa – czym w ogóle nie trafiają do rodaków ubogich, często niepiśmiennych i bezrobotnych.

Oficjalnie Romowie stanowią ponad 3 proc. społeczeństwa Rumunii (najwięcej, bo 12 proc., w transylwańskim okręgu Mureș). Jednak organizacje pomagające Romom szacują, że takie pochodzenie może mieć nawet co piąty mieszkaniec kraju.

– Romowie nie są akceptowani społecznie. W wielu regionach brakuje romskich nauczycieli, a rumuńscy nauczyciele nie traktują nas dobrze. Nawet w dobrej szkole w Bukareszcie moje dziecko było pytane przez koleżanki z klasy: „Czy jesteś brudnym Cyganem?” – mówi Mihai Neascu, kierownik Narodowego Centrum Kultury Romskiej.

– Badania pokazują, że Rumuni nie chcą mieć za sąsiada Żyda, Węgra ani Roma – mówi Enikő Laczikó. – Ostatnio zaczęli też wymieniać Niemców, bo media zaczęły krytykować jednego z działaczy tej mniejszości. Przy wprowadzaniu prawa o rodzinie był ostry atak na Romów, głównie medialny.

– Przez 30 lat mniejszość szwabska [tak nazywani są Niemcy, którzy zamieszkiwali inne regiony obecnej Rumunii – red.] zniknęła, saksońska wyjechała. Zaczynają wyjeżdżać Węgrzy, Słowacy. Uczą się w swoim języku, dostają stypendium, wyjeżdżają. Inną sprawą jest to, że większość też chce uciec, 4-5 mln Rumunów jest już poza granicami kraju – mówi prof. Radu Carp, politolog z Uniwersytetu Bukareszteńskiego.

Drakula, IT...

Tych, którzy zostali, niektóre rzeczy łączą. Pierwszą z nich można zobaczyć w tzw. zamku Drakuli w Bran, największej i najdroższej atrakcji turystycznej Transylwanii i całej Rumunii. W miejscu przypominającym Gubałówkę (tyle że z zamkiem) pełno jest turystów, głównie zagranicznych. Stoi się godzinami w kolejce, żeby usłyszeć (mocno naciaganą) historię rzekomej inspiracji dla Brama Stokera (w rzeczywistości wytypowanej na zamek wampirów z powodu złowieszczego wyglądu z czasów komunizmu, w okresie trwającej akurat „odwilży”). W Transylwanii przewodnicy mają inną historię dla turystów z Węgier, inną dla tych z Niemiec. Każdy z nich ma jednak, wypraną z trudnych wątków, historię z Drakulą.

Jak wynika z danych instytutu Erdélystat, od listopada 2018 r. do kwietnia 2019 r. Transylwanię odwiedziło 2,5 mln turystów – to prawie połowa wszystkich zwiedzających Rumunię. Przez osiem lat ich liczba wzrosła o ponad 140 proc.

Natomiast młodzież łączy pragnienie kariery w sektorze IT. Kluż-Napoka, największe miasto Transylwanii, wyrosło na jedno z europejskich centrów outsourcingu, podobno często wygrywając wyścig o inwestycje z Warszawą lub Krakowem. W grudniu 2018 r. tygodnik „The Economist” nazwał je „miastem, którym Rumunia może się szcycić”. Działa tam prawie 1400 firm informatycznych, które zatrudniają 20 tys. osób. Dla młodych jest to praca marzeń, podobno można zarobić tysiąc euro, a najlepší nawet trzy tysiące.

...i złość na rząd

Zarówno młodszych, jak i starszych łączy rozczarowanie rządzącymi – przejawiające się w mieszance emocji: złości, rezygnacji i chęci ucieczki.

Ostatnie miesiące – to w Rumunii czas ogromnych protestów, chociaż głównie w stolicy. W transylwańskich miastach uczestniczyło w nich po kilkanaście, czasem kilkadziesiąt osób. Rządząca socjaldemokracja jest dla mieszkańców synonimem korupcji i złego rządzenia (w tym roku regularnie w sondażach przegrywają oni z Partią Narodowo-Liberalną). Trudno się dziwić, biorąc pod uwagę, że w maju ówczesny przewodniczący tej partii został skazany na 3,5 roku więzienia za fikcyjne zatrudnienie kolegów.

W sierpniu rząd Vioricy Dăncilăi stracił większość po utracie koalicjanta. Prezydent Iohannis odrzucił prośby premier Dăncilăi o powołanie pełniących obowiązki ministrów – oboje zmierzają się w wyborach prezydenckich 10 listopada – ale w połowie września sąd stanął po stronie premier. Oznacza to, że będzie mieć kilka tygodni (p.o. ministra mogą być powołani tylko na 45 dni) na próbę stworzenia nowej większości. W tym czasie opozycja, w tym wszystkie partie mniejszości, zapewne spróbują obalić jej rząd poprzez wotum nieufności.

A mieszkańcy Transylwanii pewnie by woleli, aby łączyło ich coś innego niż tylko Drakula i złość na rządzących.

© JAKUB MEJER

Zimna wojna w Azji Wschodniej

ROMAN HUSARSKI Z SEULU

Japonia i Korea Południowa są w najgorszym konflikcie od dekad. Jego zarzewiem jest historia sprzed ponad 70 lat. O kompromis jest trudno, bo wielu Koreańczykom chodzi także o godność.

NIE ZASTANAWIALIŚMY SIĘ DŁUGO, tylko od razu napisaliśmy skargę – mówi „Tygodnikowi” Jo Joonghee, student polonistyki z Koreańskiego Uniwersytetu Języków Obcych w Seulu.

Podczas wizyty w Polsce Jo wraz ze swoim polskim kolegą Kasjanem Nowakowskim opublikowali list otwarty do firmy Hortex w sprawie etykiety soku owocowego z serii „Japan”. Widnieje na niej gejsza wkomponowana w tło, które przypomina japoński Sztandar Wschodzącego Słońca (jap. *Kyokujitsu-ki*). Choć motyw czerwonej tarczy słonecznej z promieniami na białym tle ma długą historię, sięgającą VII stulecia, to Koreańczykom kojarzy się przede wszystkim z upokorzeniami, których ich przodkowie doznali w latach 1910-45, gdy półwysep Koreański był pod japońską okupacją.

Cesarska Armia Japońska, znana z okrucieństwa, używała *Kyokujitsu-ki* jako swego sztandaru. „Jak byście się poczułi, gdybyśmy w Korei sprzedawali napój w opakowaniu ze swastyką i Hitlerem?” – tłumaczył Jo Joonghee na swoim profilu na Facebooku. Podkreślał, że flaga wywołuje bolesne skojarzenia nie tylko w Korei, lecz we



JUNG YEON-JE / AFP / EAST NEWS

Koreanki protestują pod ambasadą Japonii w sprawie „pocieszycielek”, seksualnych niewolnic z czasu II wojny światowej. Seul, 24 lipca 2019 r.

wszystkich krajach, które doświadczyły japońskiej okupacji, od Chin po Filipiny [o sprawie pisaliśmy też w „Tygodniku” nr 38 – red.].

Protest w cieniu prośby

Sprawa etykiety nieoczekiwanie wzbudziła dużo większe zainteresowanie, niż można się było spodziewać. Komentowano ją żywo w mediach społecznościowych, pojawiła się w prasie polskiej i południowokoreańskiej, omawiano ją w największych koreańskich telewizjach. Być może nie byłoby takiego zainteresowania, gdyby temat nie zbiegł się z oficjalną prośbą, którą rząd w Seulu wystosował do Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego: aby podczas przyszłorocznych igrzysk w Tokio zakazano używania symboliki *Kyokujitsu-ki*.

O ile japońscy organizatorzy zawodów odrzucili tę prośbę, o tyle polska firma okazała się przychylna. Hortex odpisał studentom, że zaprzestanie produkcji napoju w kontrowersyjnym opakowaniu; tłumaczył się brakiem świadomości, że taka grafika może być źle odbierana. Jo Joonghee przyznał, że cieszy go pozytywna reakcja koncernu. Był natomiast zdumiony skalą kontrowersji, którą wywołała jego akcja.

Mimo że w Polsce protest studentów w większości przypadków spotkał się z poparciem, nie zabrakło głosów sprzeciwu. Po stronie krytyków pojawiał się argument, że flaga (a w każdym razie jej kolejny wariant) od 1954 r. jest używana przez japońską marynarkę wojenną (dziś nosi ona nazwę: Japońskie Morskie Siły Samoobrony, z akcentem na ostatnie słowo). Krytycy protestu zarzucali autorom listu (i Koreańczykom w ogóle) niekonsekwencję. Obecna flaga Japonii, pozbawiona promieni słonecznych „Hinomaru”, była przecież oficjalnym sztandarem cesarstwa, a jednak dziś nie wzbudza tylu kontrowersji – argumentowano. I czy należałoby zakazać używania flagi Wielkiej Brytanii, skoro w okresie kolonialnym odpowiadała ona za liczne zbrodnie?

Japończycy nie widzą problemu

Tego typu dyskusje rozgrywały się na różnych forach internetowych oraz w różnych językach. Zazwyczaj strona koreańska podkreślała, że chodzi o związki symboliki Wschodzącego Słońca z japońskim militarystycznym, a także o stosunek obu krajów – Korei Południowej i Japonii – do historii, tej z pierwszej połowy XX w. Część Koreańczyków uważa, że Japonia nie wyraziła wystarczającej skruchy za

zbrodnie japońskiego państwa z przeszłości.

Tymczasem przeciętny Japończyk nie kojarzy Sztandaru Wschodzącego Słońca ani z japońskim imperializmem, ani ideologią głoszącą wyższość rasy Yamato. Co więcej, estetyka nawiązująca do flagi *Kyokujitsu-ki* jest w Kraju Kwitnącej Wiśni wszechobecna. Pojawia się w reklamach, grach komputerowych, mandze, anime (jak określa się ulubione w tym kraju filmy animowane), na ubraniach, autach, nawet na etykiecie jednego z piw Asahi. Japońscy rybacy nazywają wariant flagi „*tairyo-ki*” i uważają, że przynosi szczęście podczas połowów. Niestety, pojawia się ona również na wiecach japońskiej skrajnej prawicy.

Część obserwatorów obawia się, że popularność Sztandaru Wschodzącego Słońca może być oznaką odradzającego się japońskiego nacjonalizmu. Akiko Hashimoto, socjolożka i autorka wydanej w 2015 r. książki „The Long Defeat: Cultural Trauma, Memory, and Identity in Japan” (Długotrwała klęska: trauma kulturowa, pamięć i tożsamość w Japonii), porównuje kontrowersje związane z cesarskim sztandarem do sporów wokół flagi skonfederowanych stanów Południa z czasów wojny domowej w USA. →

⇒ Jednocześnie Hashimoto zauważa, że w Japonii wciąż jeszcze debata nad symboliką z przeszłości nie dotarła do tak szerokiej publiki jak w Ameryce.

Oburzony cały kraj

Sprawa Horteksu i dyskusje w polskim internecie to daleki odprysk tego, co się obecnie dzieje w Korei Południowej. Emocje, które targają tu społeczeństwem, dalekie są od stereotypowego obrazu spokojnych i uległych Azjatów.

W sprzeciwie wobec japońskiej polityki historycznej już dwie osoby dokonały samospalenia. Na cotygodniowe protesty przed ambasadą Japonii w Seulu ściągają tłumy (ich weterani twierdzą, że zbierają się pod nią już od 27 lat). Protesty obejmują cały kraj. W wielu miejscach widać napisy i plakaty „No Abe!” (odnoszące się do Shinzō Abe, premiera Japonii od niemal siedmiu lat) i „No Japan!”.

Trwa też ogólnokrajowy bojkot japońskich produktów – liczne firmy wręcz chwala się, że ani nie wykorzystują w produkcji japońskich produktów, ani nimi nie handlują. Sprzedaż niektórych produktów importowanych z Japonii spadła drastycznie – np. import piwa aż o 97 proc. Z kolei w kinach triumfują patriotyczne produkcje, przedstawiające bohaterów Koreńczyków walczących z karykaturalnie okrutnym i tchórzliwym okupantem.

Tymczasem jeszcze w 2015 r. wydawało się, że oba kraje gotowe są na zawsze zapomnieć o demonach przeszłości. Rządy premiera Abe i pani prezydent Park Geun-hye podpisały porozumienie w sprawie Koreanek, które – nazywając eufemistycznie „pocieszycielkami” – zmuszano w okresie kolonialnym do pełnienia usług seksualnych japońskim żołnierzom. Porozumienie obejmowało przeprosiny Japonii i ponad 8 mln dolarów pomocy dla ofiar. Media okrzyknęły je jako przełom.

Przypomnijmy, że to ojciec Park Geun-hye – generał Park Chung-hee, prezydent w latach 1963-79 – doprowadził w 1965 r. do nawiązania relacji dyplomatycznych między Koreą Południową a Japonią. Wcześniej oba państwa oficjalnie ze sobą nie współpracowały. W późniejszym „koreańskim cudzie gospodarczym” swój wkład miało też ekonomiczne zaangażowanie Japonii, w tym kredyty, pożyczki i *know-how*. Dziś pani Park Geun-hye odbywa 25-letni wyrok, a za-

W Kraju Kwitnącej Wiśni źle przyjmuje się obecne zbliżenie Korei Północnej i Południowej oraz pomijanie Japonii w rozmowach o przyszłości Półwyspu.

warte za jej rządów porozumienie uznawane jest za „sprzedanie sprawy za kilka miedziaków”. Jej ojciec przez obecny rząd uważany jest za dyktatora i zdrajcę interesu narodowego; w jego biografii podkreśla się okres, gdy jako młody człowiek podczas II wojny światowej służył w Japońskiej Armii Imperialnej.

Zimna wojna

Choć Partia Demokratyczna obecnego prezydenta Moon Jae-ina nastawiona była konfrontacyjnie wobec Japonii już od momentu objęcia władzy wiosną 2017 r., to obecny kryzys wybuchł z pełną mocą w chwili, gdy sąd najwyższy Korei Południowej skazał japońskie firmy na wypłacenie gigantycznych odszkodowań rodzinom ofiar niewolniczej pracy. Było to w listopadzie 2018 r. Japonia zaprotestowała, odrzucając żądanie renegotjacji porozumienia z 1965 r. i kolejnych przeprosin w sprawie niewolnic seksualnych.

Z perspektywy Japonii nową politykę historyczną rządu Moon Jae-ina potraktowano jako niehonorowe złamanie przyjętego porozumienia. Premier Abe nieustannie podkreśla, że renegotjacje podpisanych umów są niemożliwe. Premier, tak jak wielu Japończyków, uważa, że jego kraj wywiązał się z moralnych i finansowych zobowiązań wynikających z niechlubnej przeszłości.

Dodatkowo w Kraju Kwitnącej Wiśni źle przyjmuje się obecne zbliżenie Korei Północnej i Południowej, a także pomijanie Japonii w rozmowach o przyszłości Półwyspu. Tokio wielokrotnie oskarżało Seul o łamanie międzynarodowych sankcji wobec Północy. Z głośnym sprzeciwem Japonii spotkały się manewry armii Korei Południowej dotyczące obrony wysp Dokdo (jap. Takeshima) na Morzu Japońskim, zajętych przez Południe w 1952 r., wobec których Japonia wysuwa roszczenia. Z kolei Korea oskarża Japonię o fałszowanie historii i zapowiada,

że nie odnowi podpisanej w 2016 r. umowy o wymianie danych wywiadowczych.

Rządy obu państw nałożyły na siebie ekonomiczne sankcje, których skutki zaczynają być odczuwalne w całym regionie. Odradzają też swoim obywatelom podróże do sąsiada. Sytuacja na tyle zaczyna przypominać zimną wojnę, że mieszkający w Busan politolog Robert E. Kelly zasugerował, że tylko przełom pokroju „podróży Nixona do Chin” mógłby coś zmienić. W 1972 r. ówczesny prezydent USA, jadąc do komunistycznych Chin, przełamał nieufność między obu mocarstwami, USA i ChRL nawiązały wtedy stosunki dyplomatyczne.

Na razie wszelkie rozmowy między Japonią a Koreą Południową zawieszono.

Niepokojące statystyki

W przeprowadzonej niedawno ankiecie dwóch gazet – japońskiej „Yomiuri Shimbun” i południowokoreańskiej „Hankook Ilbo” – aż 74 proc. japońskich respondentów stwierdziło, że nie ufa Korei Południowej. Był to najwyższy taki wynik od 1996 r. W Korei Południowej podobnie odpowiedziało 75 proc. ankietowanych. Aż 87 proc. Koreańczyków z Południa domaga się kolejnych przeprosin od Japonii; nie zgadza się z nimi aż 80 proc. Japończyków (dla porządku odnotujmy, że w Korei jest niewielka grupa, która uważa, że to Korea powinna przeprosić Japonię, a rząd Moon Jae-ina wykorzystuje historię do budowania pozycji politycznej i oczerniania tych polityków, którzy przegrali w 2017 r.; ludzie ci podczas protestów wykorzystują... Sztandar Wschodzącego Słońca).

Mimo narastającego napięcia Japończycy mieszkający w Korei w większości nie uważają, aby żyło im się dziś tu gorzej. Należy jednak dodać, że oba narody różnią się politycznym temperamentem. Japończycy są o wiele mniej zaangażowani w ten spór, czego dowodem jest brak masowych protestów antykoreańskich w Japonii.

Być może postawę dominującą dziś w społeczeństwie południowokoreańskim dobrze obrazują słowa studenta Jo Joonghee, który – komentując swoje zaangażowanie w protest w sprawie etykiety na soku – powiedział: „Lubię swój kraj, ale nie czuję się wielkim patriotą. Natomiast chodzi mi o sprawiedliwość wobec historii oraz o godność ofiar wojny”.

© ROMAN HUSARSKI



Protest przed urzędem regenta w Wamenie, 20 września 2019 r.

Krwawiąca Papua

TOMASZ AUGUSTYNIAK Z MALEZJI

Dziesiątki zabitych i tysiące uchodźców to bilans nowych starć w Papui, regionie należącym do Indonezji. Prezydent Joko Widodo nie wyklucza rozmów z separatystami.

BLIŚKO 40 LUDZI ZGINĘŁO W STARCIACH, które pod koniec września wybuchły na nowo w indonezyjskich prowincjach Papua i Papua Zachodnia. Zaczęły się w mieście Wamena po rozpowszechnieniu plotki o indonezyjskiej nauczycielce, która miała nazwać małpami swych papuaskich uczniów. Celem ataków stali się osadnicy z innych części kraju i to oni stanowią większość ofiar.

Według lokalnych władz z domów uciekło ponad 7 tys. osób. Tysiące uchodźców szukają schronienia na posterunkach policji i w jednostkach wojskowych. To zarówno Indonezyjczycy, których domy i sklepy stały się celem ataków, jak i papuascy mieszkańcy górskich wsi, uciekający przed walkami, jakie papuascy partyzanci toczą z wojskiem. Kilka tysięcy ludzi ewakuowano samolotami do regionalnej stolicy Dżajapury. W kolejce czekają następni.

Źródła w Wamenie mówią o demonstrantach z ranami postrzałowymi nóg,

którzy trafiają do szpitali i aresztów. W mieście są trudności z dostępem do wody pitnej (z powodu uszkodzenia infrastruktury podczas protestów) i z dostawami jedzenia dla uchodźców. Papuasi często odmawiają przyjęcia jedzenia od wojska z obawy, że jest zatrute.

Ósmy tydzień niepokojów

Poprzednie masowe protesty w Papui Zachodniej zaczęły się w połowie sierpnia, w reakcji na atak na papuaskich studentów we Wschodniej Jawie. Od haseł nawołujących do zakończenia rasistowskich prześladowań demonstranci przeszli do żądania referendum niepodległościowego, co rząd w Dżakarcie wyklucza. Władze wysłały na miejsce tysiące żołnierzy i policjantów, w tym z elitarniej jednostki Brimob, znanej z brutalności. Spłonęło wiele rządowych budynków, a także sklepów i aut, władze kilka razy ograniczały dostęp do telefonów, internetu i prądu. Służby strzelają do demonstrantów, z których wielu zginęło na przełomie sierpnia i września.

Papua, kiedyś holenderska kolonia, leży w zachodniej części wyspy Nowa Gwinea. Została przejęta przez Indonezję po kontrowersyjnym referendum z 1969 r., zatwierdzonym przez ONZ, mimo że nie spełniało międzynarodowych standardów. Odtąd w regionie działa partyzantka; od dwóch lat walki z nią przybrały na intensywności.

Rządzeni z Dżakarty Papuasi oskarżają rząd o łamanie praw człowieka i rabunkową gospodarkę. „Jedynym interesem, jaki Indonezja ma w Papui Zachodniej, jest kradzież naszych zasobów naturalnych – pisał na Twitterze Benny Wenda, mieszkający na uchodźstwie w Wielkiej Brytanii lider ruchu niepodległościowego. – Wycinają nasze wiekowe lasy, niszc-

czą święte góry i zmuszają ludzi do opuszczenia ich ziemi. Każdy, kto staje im na drodze, jest aresztowany, umieszczany w więzieniu, gwałcony i zabijany”. Wenda wezwał rząd, by wpuścił do prowincji obserwatorów ONZ. Wstępu nie mają tam dziś zagraniczni dziennikarze ani organizacje humanitarne, więc trudno o weryfikację informacji.

Rozmowy z separatystami?

Filep Karma – mieszkający w Dżajapurze lider politycznego skrzydła Organizacji Wyzwolenia Papui (OPM) – opisuje „Tygodnikowi” współzawodnictwo grup interesu związanych z wojskiem i policją. Od ok. 20 lat ta druga rządzi w regionie, kontrolując lukratywne kontrakty na eksploatację zasobów. Związane z tym dochody stara się przejąć wojsko, więc generałom może zależeć na pokazaniu, że są niezbędni, a więc i na dolewaniu oliwy do ognia. Indonezja czerpie ogromne zyski z papuaskich plantacji oleju palmowego, wycinki drzew, kopalni miedzi i złota, złóż ropy i gazu.

Karma twierdzi, że ataki na nie-Papuasów mogli zacząć prowokatorzy. – Już podczas pokojowych protestów w sierpniu widziałem nieznanych ludzi, którzy przyjechali na motocyklach. Nie wyglądali na miejscowych – mówi. Ale to słowo przeciw słowu. Rząd o ataki na cywilów obwinia zbrojne ramię OPM; ciąży na nim zbrodnie, jak zamordowanie grupy robotników budowlanych w grudniu 2018 r.

Mimo to prezydent Joko Widodo wyraził w ubiegłym tygodniu chęć rozmów z separatystami – choć podkreśla, że Papua Zachodnia jest częścią Indonezji i nie podlega do dyskusji. Cytowani przez Reutersa papuascy działacze jako warunek rozmów stawiają międzynarodową mediację i wycofanie wojska z regionu. ©



JERZY RYS / ARCHIWUM INSTYTUTU EKSPERTYZY SĄDOWYCH W KRAKOWIE

Jan Sehn w swoim gabinecie, przełom lat 50. i 60. XX w.

ŚLAD WEDŁUG SEHNA

Opowieść o nim – to historia dziś nieco zapomniana.
Sędzia śledczy, Polak o niemieckich korzeniach, po 1945 r.
ruszył tropem Niemców-zbrodniarzy.

PIOTR LITKA

ZMAREK NAGLE I W OKOLICZNOŚCIACH, które ktoś mógłby uznać za niezwykcyjne. A w każdym razie – za symboliczne. Stało się to we Frankfurcie nad Menem, wtedy w Niemczech Zachodnich, w nocy z 11 na 12 grudnia 1965 r. – na kilka dni przed mającym rozpocząć się w tym mieście procesem byłych członków załogi obozu KL Auschwitz.

Był to, jak dziś nazywają go historycy, drugi z trzech tzw. procesów oświęcimskich (niem. *Auschwitzprozesse*), w których sądono łącznie 27 podejrzanych. Procesy miały charakter precedensowy – i pełniły ważną funkcję w uświadamianiu społeczeństwa RFN na temat tego, co działo się w okupowanej Polsce.

Jan Sehn odegrał tu istotną rolę. Prawnik, uparty sędzia śledczy i współtwórca powojennej renomy krakowskiego Instytutu Ekspertyz Sądowych, który dziś nosi jego imię.

Urodził się jeszcze w cesarskiej Galicji – w 1909 r., w Tuszowie Małym. Tę niewielką miejscowość, na północny wschód od Mielca, nazywano również Kolonią (i taka nazwa pojawia się w dokumentach personalnych Jana Sehna) lub po prostu Tuszowem Niemieckim. W końcu XVIII w. pojawili się tu bowiem bawarscy osadnicy, sprowadzeni przez austriackiego cesarza Józefa II. Z czasem mieszkańcy Tuszowa Małego spolonizowali się, wrosli w otoczenie. Ślad ich pochodzenia pozostał w dokumentach oraz w brzmieniu ich nazwisk. Wśród nich była też liczna rodzina Sechnów (pisanych potem już przez „h”).

„Do zawodu się nadaje”

W wieku ośmiu lat stracił matkę. Jako kilkunastolatek opuścił rodzinne strony, by uczyć się w mieleckim gimnazjum. Na przełomie lat 20. i 30. XX w. była to szkoła koedukacyjna, typu humanistycznego. Wśród zachowanych w archiwum dzisiejszego I Liceum Ogólnokształcącego w Mielcu dokumentów zwracają uwagę coroczne, wydawane drukiem „Sprawozdania Dyrekcji” ówczesnego gimnazjum. Publikowano w nich, poza statystykami, teksty pisane specjalnie do tychże tomów przez pracujących w szkole nauczycieli.

Jeden z nich, Bronisław Kryczyński – dyrektor gimnazjum i zarazem nauczyciel łaciny – tak pisał w 1929 r. o wychowaniu młodych obywateli niedawno odrodzonego państwa: „Rzecz to była zawsze poważna, ale tem poważniejsza

dzisiaj, gdy naród nasz w nowych warunkach swego bytu niepodległego musi jak najwszechstronniej rozwijać wszystkie właściwości osobników społecznych, które stanowią o istotnym podścielisku twórczej pracy społecznej. Wszak każdy z nas żyje w środowisku społecznym i musi się dostosować do celów dobra społecznego, a stąd nic z nas i w nas nie może marnieć, ale wszystko winniśmy obracać na ogólny pożytek społeczny. Wszyscy więc, stojąc na różnych promieniach koła społecznego, winniśmy zdążać do jednego punktu środkowego, który się określa mianem narodu i jego państwa”.

Jan Sehn był uczniem dobrym. Na zachowanych w archiwum świadectwach (w tym maturalnym) możemy odnaleźć ślady fascynacji przyszłego prawnika historią (z której otrzymywał piątki), językiem polskim (oceny dobre), łaciną i propeutyką filozofii (też piątki).

Po zdanej maturze (1929) Sehn trafił do Krakowa, na UJ, gdzie rozpoczął studia prawnicze. Ukończył je cztery lata później. Zamieszkał na krakowskim Podgórzu. Początkowo pracował bezpłatnie w charakterze aplikanta. Później był krótko komornikiem, asesorem i współpracownikiem sędziego okręgowego śledczego Mariana Restorffa.

To w jednej z prowadzonych wspólnie z nim spraw – podejrzanego o działalność komunistyczną Bolesława Drobnera – pobierał od oskarżonego próbki pisma ręcznego. Kiedy Drobner dostał wyrok, Jan Sehn był już po zdany pomyślnie egzaminie sędziowskim (1938). Na kilka miesięcy przed wybuchem II wojny światowej samodzielnie prowadził skomplikowane śledztwo związane z pożarem w krakowskim Państwowym Szpitalu św. Łazarza, w wyniku którego zmarło trzech lekarzy. Sprawa – w której ponownie wykorzystał pomoc i doświadczenie wielu biegłych – zakończyła się ustaleniem przyczyny tragedii.

W opiniach służbowych z tamtego czasu powtarzają się pojęcia: bardzo zdolny, inteligentny, posiada „wszechstronne wiadomości prawnicze we wszystkich działach”, dokładny i pracowity. „Do zawodu sędziowskiego w zupełności się nadaje”.

Definicja śladu

Podczas wojny Sehn nie pracował w sądownictwie. Od listopada 1940 r. przez kilka okupacyjnych lat był sekretarzem

krakowskiego Stowarzyszenia Przemysłowego Restauratorów i Pokrewnych Zawodów. W 1941 r. zmarł jego ojciec. Choć jako pochodzący z Tuszowa Niemieckiego pewnie nie miałby problemów z uznaniem za przynależnego do narodu niemieckiego, nie podpisał volkslisty.

W kwietniu 1945 r. zamieszkał przy ulicy Czystej, w śródmieściu Krakowa. Po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną zaczął współpracę z Instytutem Ekspertyz Sądowych, którego ówczesnym szefem był dr Jan Robel (w czasie wojny badający ze swoim zespołem rzeczy i przedmioty osobiste ofiar, wydobyte z dolów śmierci w Katyniu; owocem tych ekspertyz jest tzw. Archiwum Robla). Wkrótce też, w 1949 r., po rezygnacji Robla, Jan Sehn został kierownikiem, a później dyrektorem Instytutu.

Maria Kozłowska, wieloletnia sekretarka Instytutu, wspomina po latach: „dr Sehn jako przedwojenny sędzia śledczy widział szczególnie potrzebę Instytutu jako narzędzia pomocnego w dochodzeniach sądowych. Dziesięć wcześniejszych przedwojennych lat (1929–1939) Instytutu w Warszawie było tego najlepszym sprawdzianem. Niestety, zakusy Warszawy na reaktywowanie Instytutu w stolicy były bardzo mocne. Pamiętam nawet personalne przymiarki, kto z rodziną będzie skłonny zmienić miejsce zamieszkania, ale nie było [wśród pracowników] nikogo chętnego. Te względy, [a] także powiązania dra Sehna z Wydziałem Prawa UJ – a przede wszystkim Jego osobista znajomość z premierem [Józefem] Cyrankiewiczem – spowodowały, że Kraków został wpisany na stałą siedzibę Instytutu”.

Poza pracą w Instytucie, Sehn napisał – na bazie doświadczeń sędziego śledczego – i obronił w 1949 r. na UJ pracę doktorską zatytułowaną „Ogłędziny”. To z niej pochodzi klasyczna dziś definicja śladu w kryminalistyce. Według Sehna śladem jest wszelka zmiana (bądź jej brak) w obiektywnej rzeczywistości.

Dowody z Auschwitz

Równoległe z pracą naukową, już wkrótce po wojnie Sehn rozpoczął na terenie obozu KL Auschwitz skomplikowane i wielowątkowe śledztwo. Jego najbliższą współpracowniczką była w tamtym czasie Krystyna Szymańska, której relacja z 1990 r. zachowała się w Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau.

→ „Jan Sehn – wspominała Szymańska – wiosną 1945 r. został szefem podkomisji prawniczej w tak zwanej Komisji Oświęcimskiej. Na początku jej istnienia działali w niej wybitni ludzie nauki z całej Polski, pisarze (jak Zofia Nałkowska), ale przede wszystkim prawnicy. Teren byłego obozu Auschwitz-Birkenau był po wyzwoleniu zajęty przez wojska sowieckie. Z terenu obozowego kradziono wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Na dachu jednego z bunkrów, gdzie w czasie wojny funkcjonowała komora gazowa i krematorium, urządzane były potańcówki”.

Szymańska w swojej relacji opisuje, w jaki sposób Sehn pracował na terenie obozu. Poza oględzinami obiektów (magazynów, baraków, ruin krematoriów i komór gazowych) sędzia śledczy i jego współpracownicy przeprowadzali wywiady z ocalonymi więźniami, spisywali ich zeznania na potrzeby toczącego się śledztwa i zabezpieczali dowody popełnionych w KL Auschwitz zbrodni.

Jak wspomina Szymańska, dowody te „leżały rozrzucone na ziemi, po podłogach, w różnych pomieszczeniach, w dużej ilości, zwłaszcza w budynku byłej administracji obozu”.

„Ilość więźniów – wyliczał podczas jednego z odczytów Sehn – przyjętych do obozu wynosiła przeciętnie 10 procent wszystkich ludzi, których do Oświęcimia deportowano. Ten drobny odsetek przyjętych do obozu ujmowano w ścisłą ewidencję, rejestrowano i numerowano. Od chwili przekroczenia bramy obozowej

i otrzymania numeru człowiek tracił swą osobowość, stawał się, a przynajmniej według regulaminu obozowego miał się stać, bezosobowym i bezwolnym numerem. Numerów takich, prowadzonych ewidencyjnie w różnych seriach, przewinęło się przez obóz ponad 400 tysięcy”.

Ekstradycja Hoessa

Sędzia śledczy Sehn doprowadził też do ekstradycji Rudolfa Hoessa. Były komendant „fabryki śmierci” w Auschwitz przyjechał do Polski 25 maja 1946 r. Osadzono go w więzieniu w warszawskim Mokotowie. Tam czekał na proces przed Najwyższym Trybunałem Narodowym.

W polskim więzieniu – za namową profesora Stanisława Batawii – Hoess zaczął spisywać wspomnienia. Z kolei Sehn przekonał byłego komendanta do szczegółowego opisanie mechanizmu zagłady europejskich Żydów i sporządzenia charakterystyk niemieckich zbrodniarzy, którzy „pracowali” w obozie.

Sehn przesłuchiwał Hoessa przez 18 dni. Kiedy dziś czyta się protokoły sporządzane przez krakowskiego sędziego śledczego, uderza jego znakomita znajomość niemieckiego (protokoły były bezpośrednio dyktowane przez Sehna) i trafność zadawanych oskarżonemu pytań.

Najwyższy Trybunał Narodowy w Warszawie skazał Hoessa na karę śmierci. Wyrok wykonano na terenie byłego obozu (niedaleko budynku administracyjnego, w którym Hoess urzędował), na specjalnie wybudowanej szubienicy. Stało się to 16 kwietnia 1947 r.

Szymańska wspominała po latach: „Skazaniec do ostatniej chwili podążał na miejsce przeznaczenia spokojnie, »jak podczas parady wojskowej«. Eskortowało go dwóch katów – funkcjonariuszy milicji. Gdy wszedł na zapadnię, nie pozwolił się dotknąć, sam sobie założył stryczek na szyję. Sam też (odpowiednim ruchem szyi) poprawił sobie ułożenie stryczka od tylnej strony, mówiąc po chwili: »już«”.

W „drańskim Instytucie”

Sehn – poza pracą sędziego śledczego – tworzył podwaliny obecnego Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau (przez pewien czas był nieodpłatnie kierownikiem jego Działu Dokumentacji), wykładał na UJ i doprowadził do wydania w polskim tłumaczeniu „Wspomnień Rudolfa Hoessa”.

Utrzymywał intensywne kontakty z niemieckimi prawnikami, których wspierał w działaniach na rzecz postawienia przed sądem zbrodniarzy wojennych. Był członkiem Polskiej Misji Wojskowej Badania Zbrodni Wojennych, w której działał na rzecz pozyskiwania dowodów – jak pisano w jednym z dokumentów w sierpniu 1948 r. – „do procesów zbrodniarzy niemieckich w Polsce” oraz by nadzorować i przygotowywać od strony prawnej ekstradycję niektórych z nich do Polski. Przez cały ten czas szefował krakowskiemu Instytutowi Ekspertyz Sądowych.

Maria Kozłowska wspominała: „25 marca 1953 roku został zapisany jako pierwszy dzień działalności w nowej siedzibie. I tak na nowo odrodził się Instytut. Z roku na rok zwiększało się zatrudnienie, przybywało agend i zadań. Napływające sprawy wymagały coraz to większych wiadomości, co wiązało się ze szkoleniem załogi, także w miarę możliwości – za granicą. Powstawały nowe pracownie. Coraz częściej organa ścigania zwracały się o pomoc w wyjaśnieniu zawilości dochodzeniowych. Krok po kroku Instytut wyrobił sobie uznanie jako jedyna wyspecjalizowana placówka wymiaru sprawiedliwości w Polsce, w badaniach toksykologiczno-chemiczno-farmaceutycznych i kryminalistycznych. Krążyło także obiegowe powiedzenie o »drańskim Instytucie«, w którym nie da się nic załatwić po cichu, nikogo przekupić. Ta opinia o pracownikach była szczególnie przez nas ceniona”.

W drugą rocznicę śmierci

ś.†p.

Księża Prałata Mieczysława Turka

wieloletniego katechety i duszpasterza kościoła św. Floriana i kolegiaty św. Anny oraz szkół muzycznych w Krakowie, nauczyciela akademickiego Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie, wykładowcy na kursach formacyjnych dla zgromadzeń zakonnych

zostaną odprawione w kolegiacie św. Anny w Krakowie msze święte za spokój Jego duszy i w podziękowaniu za wszelkie dobro, które od Niego otrzymaliśmy, we czwartek 17 X o godz. 18.00 i w niedzielę 20 X o godz. 10.00.

DUSZPASTERZE KOLEGIATY ŚW. ANNY
RODZINA I PRZYJACIELE

Zalutowana trumna

Nagła śmierć profesora Sehna podczas jego pobytu we Frankfurcie nad Menem, tuż przed rozpoczęciem słynnego procesu trzech Niemców z załogi obozu – kierownika administracji w KL Auschwitz Wilhelma Burgera, Josefa Erbera z Wydziału Politycznego i obozowego lekarza SS Gerharda Neuberta – była dla wszystkich zaskoczeniem.

Oficjalną przyczyną zgonu był zawał serca. Próbowano jednak dopatrywać się jej przyczyn w publicznych atakach na Sehna, głównie na łamach niektórych gazet w Niemczech Zachodnich – w tamtym czasie przekonanie, że winnych zbrodni z czasu II wojny należy ścigać, w RFN nie było bynajmniej powszechne.

Trumna z ciałem Sehna przyjechała do Polski zalutowana. Na miejscu nie wykonano oględzin ani sekcji zwłok. Pogrzeb odbył się na cmentarzu Rako-

wickim 16 grudnia 1965 r. Uroczystościom przewodził przyjaciel zmarłego, ks. Ferdynand Machay – archiprezbiter kościoła Mariackiego. Na cmentarzu żegnały Sehna tłumy.

Podróże Arthura Sehna

Na początku czerwca tego roku przyjechał do Polski Arthur Sehn – wnuk Józefa Sehna, brata profesora. Podróżował śladami ucznia, studenta i sędziego śledczego; odwiedzał archiwa i cmentarze, rozmawiał z ludźmi.

Profesora – jak sam opowiada w rozmowie z „Tygodnikiem” – spotkał w dzieciństwie, ale „niewiele z tego pamięta, a wszystko co wie, to już późniejsze relacje”. Dlatego, mówił Arthur Sehn, chce zbierać jak najwięcej informacji o zmarłym, dotrzeć do dokumentów i zdjęć. Stąd jego kolejne wyprawy do ojczyzny przodków i żmudne poszukiwania.

– Z Polski – wspomina w rozmowie – wyjechałem w 1981 r. Zostałem w Szwecji, choć mieliśmy z żoną bilety powrotne na święta... W Krakowie, za Solidarności, działałem ostro w NZS-ie na Wyższej Szkole Pedagogicznej. Byłem w Komitecie Założycielskim, a w czasie strajku rzecznikiem prasowym.

Do rodzinnego kraju Arthur Sehn przyjeżdża kilka razy w roku. Chciałby w jakiś

sposób uhonorować swojego trochę zapomnianego krewnego. W Krakowie jest, co prawda, Instytut, od grudnia 1966 r. noszący imię profesora, a w rodzinnym Tuszowie Małym tablica ufundowana w 2004 r. Nie ma jednak np. ulicy jego imienia – zwłaszcza w Krakowie zwykło się w ten sposób honorować osoby zasłużone.

Może czas, by to zmienić.

© PIOTR LITKA

Korzystałem z materiałów IPN, Instytutu Ekspertyz Sądowych im. prof. dr. Jana Sehna w Krakowie, Archiwum Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, Archiwum Sądu Okręgowego w Krakowie, Archiwum UJ, Archiwum I LO w Mielcu i niepublikowanych wspomnień Marii Kozłowskiej oraz tekstu „Profesor Jan Sehn (1909-1965)” dr. Filipa Gańczaka.

Jan Sehn (w środku, w białej koszuli) ze współpracownikami w drodze z Krakowa do byłego obozu Auschwitz-Birkenau, prawdopodobnie wiosna 1945 r.





OPCJA ATOMOWA

Przed katastrofą klimatyczną mogą nas uchronić działania na globalną skalę metodami geoinżynierii. Nie są one jednak ani tanie, ani przyjemne, a ich skutki – nie zawsze przewidywalne.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

ZMIANY KLIMATYCZNE SĄ JUŻ NIEODWRACALNE”. Współprzewodnicząca Międzyrządowego Panelu ds. Zmian Klimatu ONZ, Valérie Masson-Delmotte nie pozostawiała złudzeń podczas prezentacji ostatniego raportu grupy. „Ocean wchłonęły już tak wiele energii cieplnej, że nie ma powrotu”.

Raport, opublikowany 25 września, dotyczył stanu i przyszłości ziemskich oceanów i lodu. Niewesołej, bo jeśli nic

się nie zmieni, do końca stulecia poziom mórz podniesie się o 110 cm, stopnieje 70 proc. „wiecznej zmarzliny”, a ekstremalne huragany i powodzie, które jeszcze niedawno uderzały raz na 100 lat, będą już za 30 lat wydarzeniem corocznym. Długa lista przewidywanych przez raport katastrof, pętli wzmacniających i punktów bez powrotu to ponura lektura. W atmosferze jest już tak wiele gazów cieplarnianych, że nawet gdybyśmy jutro ścięli

nasze emisje CO₂ do zera, temperatury rosłyby jeszcze przez około 40 lat i ustabilizowałyby się na nowym, wyższym poziomie.

Ale w teorii ten proces nie musi być nieodwracalny i nieunikniony. Być może da się go spowolnić, zatrzymać czy wręcz cofnąć, korzystając, paradoksalnie, z tego samego narzędzia, które go rozpoczęło – kreatywności naukowców, inżynierów i biznesmenów.



CARLOS COSTA / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Klimatyczne gadżety

Niektóre z proponowanych rozwiązań klimatycznych problemów wydają się, co prawda, zupełnie nierealne, ale są wspaniałym przykładem tego, jak kreatywni potrafimy być, kiedy trzeba rozwiązywać poważne problemy.

MASZYNKI DO LODU

Zespół Farisa Rajaka Kota-hatuhały proponuje zbudowanie statków, które będą produkowały sztuczne góry lodowe, pobierając wodę z Oceanu Arktycznego, odsalając ją i formując sześciokątne lodowe bloki, które mogłyby potem zbijać się w większe lodowe połacie – i dzięki temu odbijać promienie słoneczne. Jest tylko jeden problem: prof. Andrew Shepherd z Uniwersytetu Leeds szacuje, że tylko po to, by odbudowywać arktyczną krę w takim tempie, w jakim topi się ona na skutek zmian klimatu, potrzebowalibyśmy 10 mln takich statków.

PARASOLKI

Innym pomysłem na odbudowę arktycznego lodu jest wypuszczenie na Ocean Arktyczny floty ogromnych, pływających parasolek. Projekt amerykańskiego architekta Dereka Pirozziego zakłada, że cień rzucany przez ogromne kopuły pozwoliłby na odtworzenie pokrywy lodowej. One same jednocześnie produkowałyby energię odnawialną i mogłyby służyć jako ośrodki badawcze.

SZTUCZNA GÓRA

W 2016 r. rząd Dubaju rozważał budowę sztucznego masywu górskiego, który zmieniłby cyrkulację po-

wietrza w regionie tak, by na emirat zaczął regularnie padać upragniony deszcz. Rząd zapłacił nawet 400 tysięcy dolarów za opracowanie naukowe problemu zespołowi amerykańskiego Narodowego Centrum Badań Atmosferycznych.

KOSMICZNA SOCZEWKA

Dlaczego nie ograniczyć ilości energii docierającej do nas z kosmosu u źródła? Już w 2004 r. fizyk i autor Gregory Benford obliczył, że soczewka Fresnela, umieszczona w tzw. punkcie L1, gdzie w uproszczeniu grawitacje Ziemi i Słońca znoszą się nawzajem, mogłaby zredukować energię docierającą do Ziemi o 0,5 do 1 proc. Koszt budowy i wystrzelenia soczewki, o średnicy – bagatela – tysiąca kilometrów i kilkumilimetrowej grubości, dość optymistycznie oszacował na 10 mld dol.

Akcja sadzenia blisko 70 tys. drzew na terenie niemal całkowicie zniszczonego w pożarze w październiku 2017 r. portugalskiego lasu Pinhal de Leiria

Prace koncepcyjne nad technologiami i technikami, które pozwoliłyby mitygować bądź cofać niektóre skutki lub przyczyny ocieplania klimatu, są w wielu przypadkach zaawansowane. W niektórych mieliśmy nawet praktyczne demonstracje ich skuteczności – choć prowadzone naturalnymi, a nie sztucznymi metodami. Propozycje przyjmują różne podejścia do problemu, które łącznie klasyfikowane są jako „geoinżynieria” czy „inżynieria klimatyczna” – i są istotnym elementem przygotowań do zwalczania klimatycznej katastrofy. W raporcie IPCC z 2018 r. autorzy poświęcili geoinżynierii wiele miejsca. Raport przyznawał, że techniki pozwalające na manipulację klimatem całej planety mogą mieć duże znaczenie, jeśli świat nie zdoła opanować na czas swojego węglowego nałogu.

Trzy drogi

Rozwiązania proponowane w ramach inżynierii klimatycznej można podzielić

na trzy grupy. Pierwszą jest modyfikacja promieniowania słonecznego (ang. *Solar Radiation Modification*, SRM), czyli regulowanie tego, ile emitowanej przez Słońce energii dociera do naszej planety i ile z niej pozostaje w atmosferze i oceanach. Druga to rozmaite pomysły na wysysanie z atmosfery gazów cieplarnianych. Wreszcie trzecia to próby zarządzania klimatem na małym obszarze i powstrzymywania konkretnych klimatycznych kataklizmów za pomocą rozwiązań technologicznych.

Te ostatnie przybierają często monumentalne rozmiary. Jednym z takich projektów jest plan powstrzymania rozpadu lodowców spowijających Antarktydę. Opublikowany w ubiegłym roku w periodyku „The Cryosphere” projekt zakłada budowę ogromnych betonowych zapór bądź usypanie na dnie morza piaskowych wałów, które „zakotwiczyłyby” lodowce na lądzie lub przy brzegu i ochroniły je przed przyspieszonym roztapianiem przez obmywającą je ciepłą, oceaniczną

wodę. To powinno drastycznie spowolnić proces ich topnienia. A to właśnie spływające do oceanu lądowe lodowce są główną przyczyną podnoszenia się jego poziomu. Naukowcy szacują, że stopienie się pokrywy lodowej zachodniej Antarktyki podniosłoby poziom globalnego oceanu o 3,4 m. Wschodniej – o 19 m. Najczarniejsze scenariusze przewidują, że może do tego dojść między 2200 a 2300 rokiem. Ale już w tym stuleciu obrona podtapianych wybrzeży, a zwłaszcza położonych na nich miast, będzie pochłaniała globalnie 12 do 71 mld dolarów rocznie. ➔



POLSKIE RADIO

WOJCIECH BRZEZIŃSKI
będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę

9 października o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM |
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

⇒ Inne pomysły na ratowanie pokrywy lodowej zakładają budowę na Antarktydzie tysięcy stacji pomp, które kierowałyby rurociągami oceaniczną wodę w głąb zamrożonego kontynentu, by odtwarzać lodowce szybciej, niż topnieją. Albo odtworzenie kry na Oceanie Arktycznym (która może latem zniknąć zupełnie jeszcze przed 2030 r.) przy pomocy boi wyposażonych w wiatraki i pompy, które, analogicznie, wydobywałyby wodę z głębin i rozlewały ją na powierzchni kry, pogrubiając ją. Problem w tym, że zamrażanie Antarktydy pochłonięłoby 7 proc. całej światowej produkcji energii, z kolei odtwarzanie lodu w Arktyce wymagałoby wysłania tam 10 milionów boi z wiatrakami.

Plastik na Saharze

Techniki SRM są prostsze. Wiemy, że są skuteczne. I część naukowców boi się ich niemal tak, jak samego ocieplenia.

Wszystkie zakładają ingerencję w proces, który leży u podstaw procesu ocieplania, ale i u podstaw tego, że nasza planeta w ogóle nadaje się do zamieszkania. Przechwytywania i odbijania energii słonecznej. W większości z nich chodzi o manipulowanie tzw. albedo naszej planety. Albedo to współczynnik, który mówi, jaka

część promieniowania słonecznego jest odbijana z powrotem w kosmos, a jaka dostarcza energii (i ciepła) ziemskiej atmosferze. Dziś chmury, śnieg, lodowce czy po prostu jaśniejsze fragmenty powierzchni Ziemi odbijają około 30 proc. energii, jaka dociera do nas ze Słońca. Nawet podniesienie tego współczynnika miałooby ogromny wpływ na proces ocieplania planety.

Można to osiągnąć na przykład pokrywając część powierzchni Ziemi odbijającymi światło słoneczne materiałami i promując budowę budynków o jasnych dachach. Pomijając jednak społeczne i środowiskowe konsekwencje pokrycia np. Sahary warstwą odbijającego światło plastiku, Royal Society obliczyło, że osłonięcie 1 proc. powierzchni planety materiałami zwiększającymi jej albedo kosztowałoby 300 mld dolarów rocznie.

O wiele tańsze byłoby sianie chmur. I tak to dziś robimy, choć na niewielką skalę. Naukowcy od kilkudziesięciu lat wiedzą, że charakterystyczne, podłużne chmury tworzą się na najbardziej uczęszczanych trasach żeglugowych. Powstają, bo cząsteczki wody skupiają się wokół drobin sadzy wyrzucanych przez frachtowce. Aby zwiększyć albedo planety, trzeba by jedynie wymusić na atmosferze

zagęszczenie zachmurzenia. Albo przez rozsiewanie w stratosferze np. związków siarki, albo przez rozpylanie nad oceanami soli, która sprawiłaby, że oceaniczne chmury, dziś dość wątle, stałyby się grubsze i jaśniejsze.

Wiemy, że ta metoda działa. Przekonał się o tym choćby w 1991 r., kiedy na skutek erupcji Mount Pinatubo na Filipinach do stratosfery trafiło 20 mln ton dwutlenku siarki. Na 24 miesiące temperatura Ziemi spadła – o pół stopnia. Mamy wszelkie techniczne środki, żeby ten efekt odtworzyć sztucznie, może nawet za skromną kwotę miliarda dolarów rocznie. I właśnie to niepokoi naukowców.

Doprawianie oceanu

O ile ta metoda pozwala na obniżenie temperatury i odsunięcie w czasie groźby megahuraganów czy apokaliptycznych powodzi, to nie robi nic w celu zlikwidowania zasadniczego problemu, czyli rosnącego stężenia CO₂ w atmosferze. I nie chodzi tylko o to, że pożegnaliśmy się z błękitem nieba, czy o to, że przerwanie geoinżynierskiego programu doprowadziłoby do niemal natychmiastowego, skokowego rozgrzania atmosfery nawet o kilka stopni. Największym problemem

Homoinżynieria

MATTHEW LIAO, filozof i dyrektor centrum bioetyki Uniwersytetu Nowojorskiego, uważa, że podchodzimy do problemu ze złej strony. W książce „The Next Step: Exponential Life” proponuje, by zamiast zmieniać Ziemię, zmienić nas samych – za pomocą genetycznych i biomedycznych modyfikacji. W opozycji do geoinżynierii można to nazwać (choć on sam tego słowa nie używa) homoinżynierią. Liao uważa, że mogłaby ona okazać się tańsza, łatwiejsza do zastosowania i bezpieczniejsza, bo korzystałaby wyłącznie z dobrze przebadanych i stosowanych już w innych celach rozwiązań. Podkreśla jednocześnie, że homoinżynieria musiałaby być oparta na całkowitej dobro-

wolności, być może wspartej za chętami takimi jak ulgi podatkowe. Wśród jego propozycji znajdziemy m.in.:

PLASTRY PRZECIWMIEŚNE.

Około 18 proc. emisji gazów cieplarnianych to rezultat hodowli zwierząt na żywność. Jeśli utrzymają się obecne trendy, do 2070 r. te emisje mają się podwoić. Ale choć świadomość związku hodowli mięsa ze zmianami klimatu staje się powszechna, porzucenie steków i hamburgerów jest dla wielu ludzi, mimo dobrych chęci, trudniejsze niż rzucenie palenia. Siłę woli można jednak wspomóc biochemicznie. Występujące we wschodnich USA kleszcze *A. americanum*

mogą swoim ukąszeniem wywołać u ugryzionego człowieka długoterminową ostrą alergię na czerwone mięso. Dzieje się tak, bo kleszcz wstrzykuje do krwiobiegu ofiary pewien związek, który nie występuje naturalnie u człowieka, ale pojawia się w mięśniach krów. Organizm reaguje na ugryzienie produkcją przeciwciał, które wywołują reakcję alergiczną przy każdym kontakcie z tym związkiem. Także przy jedzeniu mięsa. Liao proponuje stworzenie plasterków, podobnych do plasterów nikotynowych, które będą sztucznie wzbudzać taką nietolerancję na mięso, ułatwiając rzucenie nawyku.

MINIATURYZACJA LUDZI.

Więksi ludzie mają statystycznie większy ślad węglowy. Zużywają więcej energii (o 15-18 proc. za każde 15 centymetrów wzro-

stu), dlatego więcej jedzą. Potrzebują też więcej miejsca w samochodach czy samolotach. Liao proponuje więc wychowywać mniejsze dzieci. Ograniczenie wzrostu kolejnych pokoleń mogłoby się odbyć przez selekcję genetyczną zarodków preferującą te z mniejszymi predyspozycjami do wysokiego wzrostu, czy wspomaganie farmakologiczno-dietetyczne, ograniczające tempo wzrostu młodego człowieka. Zamiast sugerowanego przez innych bioetyków wprowadzenia systemu ograniczania przyrostu naturalnego wzorowanego na chińskiej polityce jednego dziecka, Liao proponuje wprowadzenie przysługującego rodzinom limitu łącznych emisji, który pozwalałby rodzicom wybrać, cytując, „czy zdecydować się na jedno duże dziecko, dwoje średnich czy trzy małego rozmiaru”.

nie jest nawet to że, według symulacji przedstawionych w marcowym „Nature Climate Change”, operacja doprowadziłaby do głębokich zmian w ziemskim cyklu wodnym, wpędzając niektóre obszary w permanentną suszę. Prawdziwy problem jest o wiele większy i o wiele bardziej pokretny.

Dwutlenek węgla nie trafia wyłącznie do atmosfery. Rozpuszcza się także w oceanach. Reagując z wodą, tworzy cząsteczki kwasu węglowego – tego samego, który odpowiada za bąbelki w wodzie gazowanej. Rosnąca zawartość kwasu w oceanach siłą rzeczy zmienia ogólny poziom ich kwasowości, z katastrofalnymi skutkami dla żywych istot. Badania wykazały, że poziomy kwasowości przewidywane na rok 2100 mogą doprowadzić do całkowitego rozpuszczenia wapiennych muszli wielu bezkręgowców, zaburzając cały łańcuch pokarmowy i prowadząc do masowego wymierania morskich organizmów. Paleontolodzy uważają, że gwałtowny wzrost kwasowości oceanów towarzyszył – bądź był przyczyną – czterech z pięciu dotychczasowych wielkich wymierań. W tym największego, sprzed 250 mln lat, kiedy wymiercionych zostało 90 proc. gatunków morskich i 70 proc. lądowych.

W celu zwalczania tego procesu naukowcy proponują „doprawienie” oceanu milionami ton sproszkowanego wapienia, reagującego naturalnie z kwasem i neutralizującego go. Operacja kosztowałaby 40 mld dolarów rocznie i musiałaby trwać co najmniej stulecie. Nie mamy też sposobu na sprawdzenie zawczasu, jaki byłby wpływ takiej ingerencji na funkcjonowanie całego ekosystemu.

Na dziś, w ramach ograniczania skutków zakwaszania i podgrzewania oceanów, naukowcy próbują genetycznie modyfikować koralowce, by wyhodować odmiany bardziej odporne na zmieniające się warunki.

Bilion drzew

Jedynym sposobem na cofnięcie – a nie ograniczenie skutków – klimatycznej katastrofy jest trzecia grupa rozwiązań. Wychwytywanie z atmosfery i wyłączenie z obiegu powodujących ocieplenie związków węgla, czyli CO₂ i metanu.

Można w tym celu sięgnąć po rozwiązania przemysłowe. Jeden z pomysłów zakłada np. zastępowanie tradycyjnych elektrowni generatorami na biomase,

które wychwytywałyby 100 procent emisji i tłoczyły je głęboko pod ziemię. Tam, na skutek reakcji chemicznych, dwutlenek węgla wychwycony z atmosfery najpierw przez składające się na biomase rośliny byłby wiązany na tysiące lat w postaci skał.

Dруга z proponowanych dróg zakłada wychwytywanie CO₂ z atmosfery i przetwarzanie go na paliwo takie jak etanol. Syntetyczne paliwa wyeliminowałyby konieczność wydobywania z ziemi ropy i gazu i stworzyłyby obieg zamknięty. Zamiast pompować do atmosfery coraz więcej związków węgla, recyklingowalibyśmy je: z atmosfery do baku samochodu i z powrotem. Szkopuł w tym, że według szacunków usunięcie tą metodą jednej tony dwutlenku węgla z atmosfery kosztuje około 200 dolarów. W przyszłości pewnie będzie taniej, ale biorąc pod uwagę, że ludzkość emituje rocznie 37,1 mld ton CO₂, trudno wyobrazić sobie, by ta technika miała okazać się zasadniczym rozwiązaniem problemu.

Co pozostawia nam metody naturalne. Prof. David King z Uniwersytetu Cambridge proponuje nawożenie oceanu przy pomocy sproszkowanego żelaza. To miałoby pobudzić wzrost lasów wodnistych na płytkich wodach. Rośliny, wychwytyując dwutlenek węgla, pomogłyby też walczyć z procesem zakwaszania. Na głębszych wodach żelazo mogłoby doprowadzić do błyskawicznego rozwoju sinic. I tu pojawia się kolejny problem, bo chociaż te mikroorganizmy są niezwy-

kle efektywne w usuwaniu CO₂ z atmosfery, to równie efektywnie wysysają tlen z wody. Do tego, zamiast opadać na dno i tworzyć warstwę osadów wiążącą na stałe dwutlenek węgla, są zjadane – a wychwycony przez nie gaz szybko wraca do obiegu.

Pozostanie nam ostatnia broń. Lasy. W lipcu naukowcy ze szwajcarskiej politechniki ETH opublikowali raport, z którego wynika, że 1,7 mld hektarów powierzchni Ziemi nadaje się do natychmiastowego zalesienia. To nieużytki o powierzchni równiej połączonej powierzchni USA i Chin. Łącznie mogłoby tam wyrosnąć 1,2 bilionów drzew. Po 50-100 latach drzewa mogłyby usunąć z atmosfery 200 mld ton związków węgla.

„Nasze szacunki pokazują, że ponowne zalesianie nie jest tylko jednym z wielu rozwiązań problemu zmian klimatycznych. Jest w przytłaczającym stopniu najlepszym – pisał kierujący badaniem prof. Tom Crowther. – Skala po prostu nie mieści mi się w głowie. Na początku sądziłem, że zalesianie okaże się jedną z 10 najlepszych metod, ale jest przytłaczająco potężniejsza niż wszystkie inne proponowane rozwiązania kryzysu klimatycznego. Jest dostępna dziś, najtańsza i pozwala zaangażować się każdemu z nas”.

Może okazać się, że przy całej naszej błyskotliwości i innowacyjności w obliczu największego kryzysu w dziejach naszej cywilizacji i tak musimy ponownie zwrócić się o pomoc do natury.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Był jednym z tych, którym zawdzięczamy demokrację.

Odszedł

Kornel Morawiecki
(1941–2019)

założyciel Solidarności Walczącej,
jednej z największych podziemnych organizacji w PRL,
poseł i marszałek senior Sejmu,
członek Rady ECS

Z wdzięcznością za polską wolność

BASIL KERSKI
DYREKTOR EUROPEJSKIEGO CENTRUM SOLIDARNOŚCI
WRAZ Z ZESPOŁEM

WOJCIECH

Bonowicz:

Pocieszenie na życie



„GŁĘBOKO WSPÓŁCZUJĘ TYM, KTÓRZY WYGRAJĄ te wybory”, napisał Tischner w 1991 r. I ja dziś podobnie – głęboko współczuję tym, którzy najbliższe wybory wygrają, i tym, którzy je przegrają, tym, którzy wejdą do parlamentu, i tym,

którzy nie (za wyjątkiem jednego ugrupowania, nietrudno się domyśleć którego). Głęboko współczuję sobie i nam wszystkim – tym, którzy zagłosują, oddając głos ważny lub nieważny, i tym, którzy z różnych powodów zostaną w domach. Przyglądam się tej kampanii z pewnego oddalenia (od początku września jestem na stypendium w Pradze) i choć mam wrażenie, że przebiega spokojniej, niż można się było spodziewać, to ów spokój bierze się raczej z ogólnego zmęczenia i zniechęcenia. Nie tylko opozycja jest zmęczona; mam wrażenie, że również rządzących i ich zaplecze powoli ogarnia melancholia. Owszem, są bombastyczne widowiska i bombastyczne obietnice, są wielkie strachy i jest wielkie kuszenie. Ale czuć (a przynajmniej tak to stąd wygląda), że jak tylko światła gasną, ludziom, którzy klaskali, opadają ręce, idą na jednego, a potem kładą się z ulgą do łóżek albo jeżdżą nocą bez celu po mieście. Nawet nie mogą zadzwonić do domów i się poskarżyć, bo telefony są na podsłuchu, tylko nie wiadomo, kto podsłuchuje. Normalnie katafalk, że tak powiem.

Oczywiście, to nie zmienia faktu, że dominuje retoryka raczej wojenna, która ma przeciwników wdeptać w ziemię i przy okazji odwrócić uwagę od prawdziwych zagrożeń. Gdybym miał powołanie do polityki (a nie mam), stworzyłbym partię, która z założenia przegrywałaby wszystkie wybory, bo jej program sprowadzałby się do jednego punktu:

według najlepszej woli mówić ludziom prawdę. Ludzie niby tęsknią za prawdą jak za źródłaną wodą, ale chętniej łykają tę butelkowaną, zwłaszcza jeśli się im wmówi, że jest zdrowa, butelki są za darmo, a jak się je nawet w piecu spali, to wielka krzywda się nie stanie, bo świat idzie swoją drogą i ty, biedny człowieku, nie masz na nic wpływu. Otóż przydałaby się taka partia, której przywódczyni i przywódcy powiedzieliby: masz wpływ i, niestety, również od ciebie zależy, co stanie się w przyszłości. Partia, która umiałaby policzyć, ile co kosztuje lub kosztować będzie, która uczciwie powiedziałaby, jakie będą konsekwencje poszczególnych działań lub braku działania, i która, nie oglądając się na sondaże, wskazałaby obszary najbardziej potrzebujące wsparcia i tam skierowała wspólne pieniądze. Tak jak się bawimy, można się bawić jeszcze długo – rachunek nie przyjdzie, bo nie będzie komu go wystawić.

Po moim poprzednim felietonie dostałem sporo miłych listów i już widzę, że powiedzonka Magdy wejdą na stałe do języka polskiego. No nie ukrywam – miałem taką nadzieję. Język polski potrzebuje przewietrzenia, elastyczności i witalności. Grubych łyd, jak by powiedział Witkacy. Tylko nie zmęczony, pełen energii język będzie w stanie tchnąć ducha w zmęczone społeczeństwo. Syn mojej przyjaciółki Ewy, dwunastoletni Michał, rysował ostatnio komiks zatytułowany „U fryzjera”. I wymyślił sobie, że cenę usługi fryzjerskiej rozpisze następująco: „1. pogaduchy z fryzjerem – 15 zł; 2. pocieszenie na życie – 10 zł; 3. ścinanie włosów – 5 zł; 4. czesanie – 5 zł”. Myślę, że intuicja Michała jest słuszna: tak naprawdę u fryzjera płacimy nie za robotę, tylko za czas i uwagę. Niniejszym oddaję więc w Wasze ręce sformułowanie: pocieszenie na życie. Zróbcie z nim coś mądrego.

A co do Magdy jeszcze... Zadzwoniłem do jej siostry Joli, żeby podpytać, jak Magda przyjęła mój felieton. No i Jola mówi, że super, że Magda bardzo zadowolona, wszystkich wypytuje, czy już czytali. I że bardzo dziękują, bo to dla całej rodziny radość, zaszczyt i w ogóle. Już kończyliśmy rozmowę, kiedy w tle rozległ się głos Magdy: „Pozdrów Wojtkę i zapytaj, czy czytał o mnie w gazecie?”

Teraz rozumiecie, co mam na myśli, kiedy piszę, że bez ludzi takich jak Magda bylibyśmy naprawdę biedni. ©

TP

Kluby „TP” zapraszają na spotkania

BIELSKO-BIAŁA, poniedziałek,

14 października, godz. 17.00

„Dlaczego nie lubimy prawników?”.

Gościem będzie: prof. dr hab.

Włodzimierz Wróbel. Miejsce: Aula TS im. Reja (ul. Frycza Modrzewskiego 12).

KRAKÓW, VIII Zjazd Klubów

„Tygodnika Powszechnego”

Piątek, 11 października, godz. 19.00

Debatą „Europa obywatelska = Europa solidarna?”.

Gośćmi będą: Adam Bodnar,

s. prof. Barbara Chyrowicz, prof. Jerzy Hausner.

Miejsce: Herbewo (ul. Prądnicka 4).

Sobota, 12 października, godz. 15.00

Debatą „Pękający kościół”.

Gośćmi będą: Ignacy Dudkiewicz,

Anna Karoń-Ostrowska, Justyna

Melonowska. Prowadzenie: Piotr Sikora.

Miejsce: Herbewo (ul. Prądnicka 4).

Sobota, 12 października, godz. 18.00

Mecz Redakcja „TP” – Kluby „TP”.

Miejsce: KS Podgórze

(ul. Jana Dekerta 21).

RZESZÓW, czwartek, 10 października,

godz. 19.00

„To nie jest kraj dla pracowników”.

Gościem będzie: Rafał Woś.

Miejsce: antykwariat klasztoru oo.

Dominikanów (ul. Dominikańska 15).

ZIELONA GÓRA, czwartek,

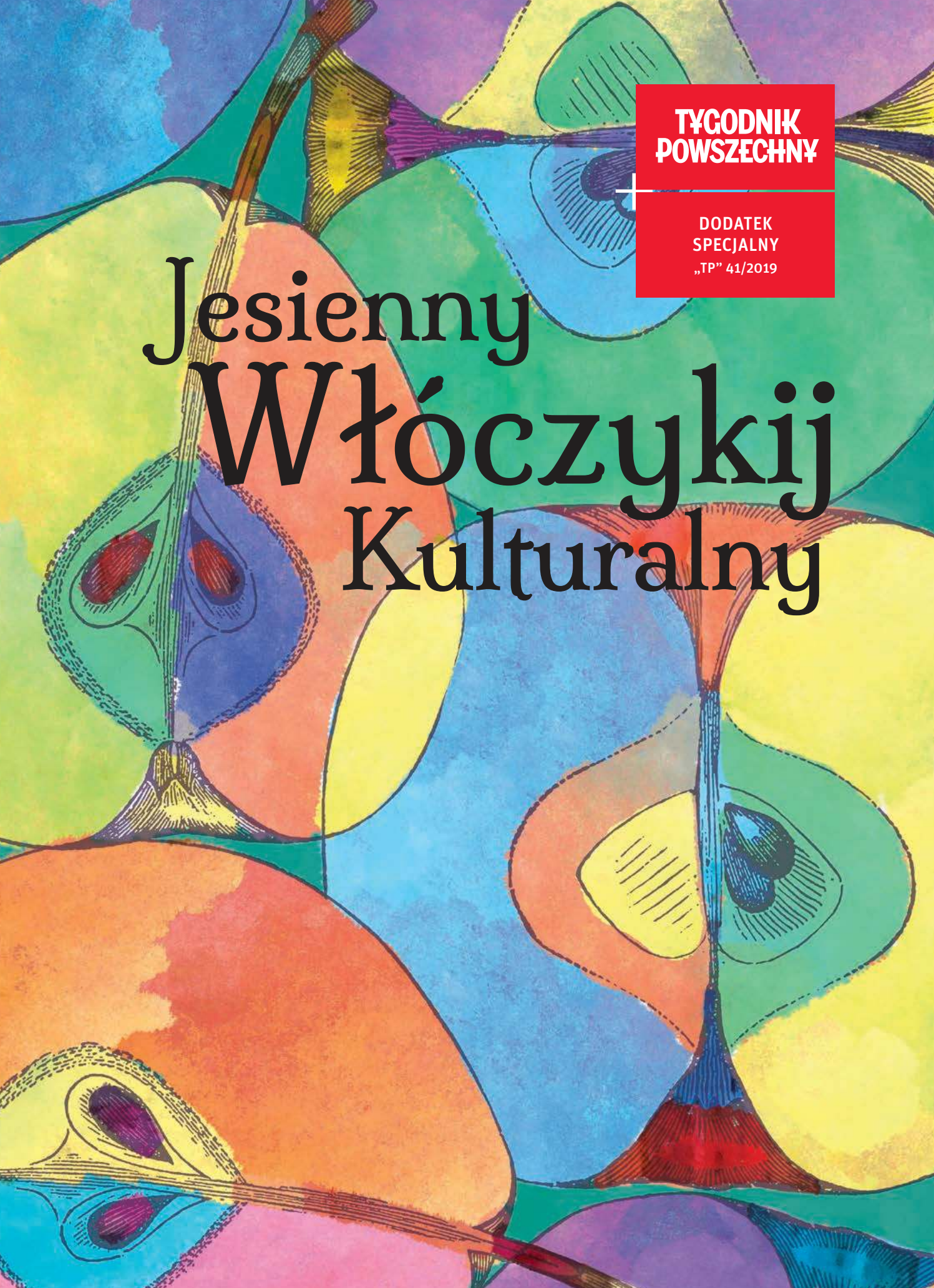
17 października, godz. 18.00

„Moje spojrzenie na Polskę”.

Gościem będzie: prof. Dieter Bingen.

Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety

(ul. Fabryczna 13).



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**
„TP” 41/2019

Jesienny Włóczykij Kulturalny

Scena na nowo i znów

DARIUSZ KOSIŃSKI

W teatrze granica między powrotem a nowością jest bardzo płynna, a relacje między nimi – paradoksalne. Zapowiedzi na nadchodzący sezon w pełni to potwierdzają.



Teatr polski od dawna z pasją i powodzeniem rozbija pseudohistoryczne oleodruki, pokazując złożoność ludzkiego i nieludzkiego świata.

Znów powroty

Będzie to też robił w nadchodzącym sezonie, zaczynając od premiery w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Sezon zainau-

guje tu przedstawienie „**Leśni. Apokryf**” według partyzanckich opowiadań Tadeusza Różewicza w dramaturgii Agnieszki Wolny-Hamkało i reżyserii Marty Streker, problematyzujące hagiograficzne legendy o świętych wyklętych. Wśród bohaterów i mitów powracających na polskie sceny, by otrzymać nowy początek, będą też inne postacie z przeszłości bardzo odległej (**Berek Joselewicz** w przedsta-



„Damaszek 2045” w Teatrze Powszechnym w Warszawie, wrzesień 2019 r.

SZYMON ROGIŃSKI / TEATR POWSZECHNY

wieniu Mai Kleczewskiej w Teatrze Żydowskim w Warszawie), ale i z zupełnie niedawnej (Robert Brylewski w spektaklu-koncertcie „Złota skala”; Teatr Studio w Warszawie, reż. Grzegorz Laszuk).

Wzorcowo powrót i początek splatają także przedstawienia Jana Klaty. Po sezonie przepracowanym głównie za granicą reżyser wraca do Krakowa i Warszawy z nowymi pro-

pozycjami realizowanymi w Nowych Teatrach. W Nowym krakowskim obejrzyć możemy „Dług” według historyczno-ekonomicznej książki Davida Graebera, w Nowym warszawskim zaś adaptację „Matki Joanny od Aniołów” Jarosława Iwaszkiewicza, kolejne (po praskim „Fauście”) spotkanie z siłami nieczystymi.

Najbardziej „zakrecony” powrót zaproponował Michał Walczak. W jego „Powrocie króla” żyjący w ukryciu Michael Jackson przyjeżdża do Warszawy, by spełnić daną Polakom obietnicę i zbudować wielki park rozrywki. Spektakl miał już swoją premierę na scenie Wrocławskiego Teatru Współczesnego, ale pewnie jeszcze mało kto widział przedstawienie wyreżyserowane przez Tomasza Hynka w konwencji komiksu teatralnego.

A skoro o komiksie, to od razu przekażę jedną z najbardziej ekscytujących nowin teatralnych: 9 listopada na scenie Teatru Śląskiego w Katowicach w przedstawieniu reżyserowanym przez Remigiusza Brzyka pojawi się przybysz z pobliskiego Opolą – **Wilq Superbohater!**

W repertuarze polskich scen będą powroty oczywiste (jak adaptacja „Mistrza i Małgorzaty” Bułhakowa, którą w Teatrze im. Kochanowskiego w Opolu wyreżyseruje Janusz Opryński), ale też bardzo zaskakujące. Takim jest „Karmaniola” na podstawie zapomnianej operetki Stanisława Moniuszki, której libretto przepisała na początku lat 70. Joanna Kulmowa. W roku Moniuszki wystawia ją w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku Paweł Aigner, najwyraźniej wywołując jednocześnie ducha Witolda Gombrowicza.

Zaskakujące niezwykłością powroty repertuarowe proponuje Teatr Polski w Poznaniu. Wprawdzie najciekawsze z nich: „Nana” Émila Zoli w reż. Moniki Pęcikiewicz i „Parawany” Jeana Geneta w reż. Wiktora Bagińskiego mają się pojawić po Nowym Roku, ale już jesienią wróci na afisz dawna szkolna lektura, „Kordian i cham” Leona Kruczkowskiego. Jego czytanie performatywne w reżyserii Joanny Bednarczyk z komentarzami prof. Andrzeja Ledera zaplanowane jest na listopad.

Znów początki

Na polskich scenach stopniowo coraz większą rolę odgrywają twórcynie i twórcy, których innowacyjne propozycje zapowiadają nadchodzącą być może zmianę. Już 8 września odbyła się w Teatrze Studio premiera nowego przedstawienia Anny Karasińskiej „Dobrze ci tego nie opowiem” (kolejne pokazy 15-16 października). Na inne przedstawienia nowych obiecujących reżyserów będzie trzeba nieco poczekać, także dlatego, że są realizowane w koprodukcjach zagranicznych. I tak „Wracać wciąż do domu” Magdy Szepecht według Ursuli Le Guin zobaczą najpierw widzowie w Tokio (8 listopada), a publiczność TR Warszawa dopiero 6 marca, rzecz zaś zatytułowaną „Maria Klassenberg. Ekstazy” autorstwa Katarzyny Kalwat w maju 2020 r. obejrzą widzowie festiwalu „Postwest”, organizowanego przez berlińską Volksbühne. Na szczęście wcześniej swoje nowe przedstawienie „Hiroshima/Love” zrealizowane wspólnie z Tomaszem Szerszeniem zaprezentuje na scenie warszawskiego Biennale Julia Holewińska.

W poprzednich sezonach zwrócili też na siebie uwagę Jakub Skrzywanek, który pracuje nad sceniczną wersją



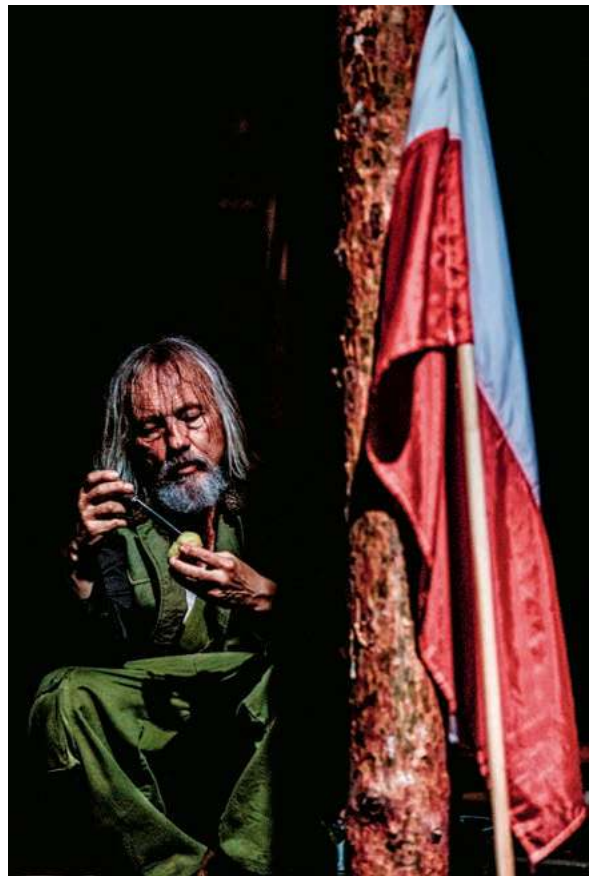
„Leśni. Apokryf” w Teatrze Polskim we Wrocławiu,
próba generalna, czerwiec 2019 r.

→ „Gargantui i Pantagruela” François Rabelais’ego (koprodukcja Teatru im. Horzycy w Toruniu i Teatru Kochanowskiego w Opolu, luty 2020), oraz Grzegorz Jaremko, który najpierw przypomni twórczość niezwykłego reżysera Dereka Jarmana („Chroma”, Teatr Studio w Warszawie, 15 listopada), by potem zmierzyć się z „Oresteją” Ajchylosa (Teatr Szaniawskiego w Wałbrzychu, 13 marca).

Instytucje teatralne starają się też wspierać nowych twórców, organizując specjalne projekty i konkursy. „Modelarnię”, konkurs Teatru im. Kochanowskiego w Opolu, wygrał Wiktor Bagiński projektem „Czarna skóra, białe maski” – przedstawienie podejmujące próbę odzyskania historii Afro-Polaków i mierzące się z neorazyzmem pokazane zostanie 8 listopada. Z kolei we współpracy z krakowską AST projekt dla młodych reżyserek i reżyserów zorganizował Stary Teatr, a powstałe w jego wyniku przedstawienia po premirowych pokazach mają wejść do repertuaru.

Który się znów wtrąca, a który nie?

„Teatr, który się wtrąca” to motto najzagorzalej zwalczanej przez prawicę sceny polskiej – Teatru Powszechnego w Warszawie. Ale nie tylko on się wtrąca, teatr w Polsce zazwyczaj nie przechodzi do porządku dziennego nad różnymi formami ucisku mniejszości przez większość. Sam będąc w niszy, niszę wspiera i z perspektywy nisz mówi. Oczywiście pozycja polityczna poszczególnych scen jest bardzo różna. Niektóre – jak Powszechny – uważane są za radykalnie opozycyjne, inne cieszą się sympatią władz. Ale z perspektywy artystycznej „wtrącanie się” jest dziś dla teatru wręcz oczywiste: sztuka konfrontująca ze sobą odmienne postawy i modele życia musi rozbijać dyskurs fa-



TOBIASZ PAPUCZYŃSKI / TEATR POLSKI WE WROCŁAWIU

szywej jedności, samym swym istnieniem przeciwstawiając się pedagogice czystości i normy.

Na placówce politycznie najbardziej wysuniętej utrzymuje się wrocławski Teatr Polski w Podziemiu, założony i prowadzony przez artystów, którzy nie pogodzili się ze zniszcze-

REKLAMA

Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

ŁAŹNIA
NOWA

15 LAT
TEATRU

WYSTAWA

PRZESZŁOŚĆ
TO DZIŚ,

TYLKO

COKOLWIEK DALEJ

OD 18 PAŹDZIERNIKA 2019

TEATR ŁAŹNIA NOWA – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Kraków

Ministerstwo
Kultury i
Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Funduszu Promocji Kultury

ŁAŹNIA
NOWA

Teatr Łaźnia Nowa
KRAKÓW – NOWA HUTA
os. Szkolne 25

WWW.LAZNIANOWA.PL

PARTNERZY TEATRU

mplservices

KAR
NET

niem „nadmieńskiego” odpowiednika. Działając jako zespół niezależny, kontynuując linię, którą kiedyś współtworzyli. Jesienią na scenie Stara Piekarnia wspierającego „podziemnych” Instytutu im. Grotowskiego we Wrocławiu odbędą się premiery „Księcia” według Macchiavellego w reżyserii Pawła Świątka (20 września) oraz „Mojżesza” w reżyserii Tomasza Węgorzewskiego (30 listopada).

Spora grupa dawnych aktorów „nadmieńskiego” Polskiego znalazła się we wspomnianym już warszawskim Powszechnym. Tu sezon rozpoczął „Damaszek 2045” syryjskich artystów, reżysera Omara Abusaady i dramaturga Mohammada Al Attara, ku naszemu dyskomfortowi przypominających o wojnie, której ofiary „nie tu giną”. Typowego dla „teatru, który się wtrąca” wejścia w aktualne spory spodziewać się można po reżyserowanych przez Agnieszkę Błońską „Diabłach”, inspirowanych „Matką Joanną od Aniołów” (7 grudnia). Takie oczekiwania mogą oczywiście być złudne, niemniej jednak, gdy teatr zajmuje się dziś Kościołem i diabłem, albo zbrodnią na tle homofobicznym, można oczekiwać, że (w)trącanie napiętych społecznych strun wywoła rezonans. A gdy jeszcze zapowiada to Teatr Dramatyczny w Warszawie, i to w spektaklu reżyserowanym przez niedosłusznego dyrektora artystycznego Starego, Michaela Giełę, to można się spodziewać co najmniej towarzyskich sensacji. Najbliższe pokazy „Projektu Laramie” Moisésa Kaufmana na Scenie na Woli już w listopadzie.

Jesienią w stolicy największe emocje wzbudza oczywiście zapowiadana na 12 października premiera nowego przedstawienia Krystiana Lupy, „Capri. Wyspa uciekinierów”, już owianego środowiskowymi legendami i plotkami, a oczekiwanego także jako komentarz jeśli nie wprost do aktualnej sytuacji politycznej, to do warunkowanego przez nią stanu ducha. Na jeszcze dalszą wyspę wybrali się twórcy przedstawienia „Jutro przypłyń królowa”, zapowiadanego przez Wrocławski Teatr Współczesny (reż.

Piotr Łukaszczyk, 7 grudnia). To adaptacja książki Macieja Wasielewskiego o rządzącej się własnymi prawami wyspie Pitcairn na Oceanie Spokojnym. Zamieszkując ją potomkowie buntowników z „Bounty” tworzą superksenofobiczną społeczność. Bez dalekich wypraw, ale w tonie równie apokaliptycznym i depresyjnym z rozpadem zachodniej kultury zmierzy się Paweł Miśkiewicz pracujący nad adaptacją „Serotoniny” Michela Houellebecqa (Teatr Studio w Warszawie, 19 grudnia).

Polityczność zagarniająca wszystko intensywnie pracuje także tam, gdzie mierzymy się z osobistymi wyzwaniem – w sferze choroby i niepełnosprawności. Niepełnosprawność w społeczeństwie rządzonym terrorem pokazuje Martyna Majok w nagrodzonej w ubiegłym roku Pulitzerskim sztuce „Koszt życia”, której prapremiera miała miejsce w Teatrze Śląskim w Katowicach (reż. Małgorzata Bogajewska). Z chorobą i otaczającymi ją mitami zmierzy się Weronika Szczawińska w przedstawieniu „Onko” (TR Warszawa, początek 2020 r.).

Bezpieczna przystań klasyki

Według niektórych wtrącania się najlepiej unikać wystawiając klasykę. Ale jak to robić, kiedy w centrum narodowego kanonu są superpolityczne „Dziady” (Teatr Polski w Warszawie, reż. Janusz Wiśniewski, 22 listopada) i hiperkrytycznie nieprzyjemne „Wesele” (na jubileusz 55-lecia Teatru Szaniawskiego w Wałbrzychu wystawi je Wojciech Klemm, 29 listopada). Skoro w Polsce nawet zagadką Hamleta „jest to, co jest w Polsce – do myślenia”, to jak się nie wtrącać wystawiając tzw. **studium Wyspiańskiego** (Teatr Słowackiego w Krakowie, dramaturgia Piotr Augustyniak, reż. Bartosz Sztybel, 9 listopada). W tej sytuacji nie dziwi, że nawet włosko-chińska „Księżniczka Turandot” Carla Gozziego w stołecznym Teatrze Dramatycznym ma bawić improwizacjami odnoszącymi się do współczesności. Skołowanej konserwatywnej

REKLAMA



Historia ks. Adama Bonieckiego
i jego rodziny

ZA KRYSTALOWĄ SZYBĄ

MARIA
FREDRO-BONIECKA

CZARNE.COM.PL



→ głowie odpoczynek może przynieśliby „**Letnicy**” (reż. Maciej Prus, Teatr Narodowy w Warszawie, początek listopada), ale jak tu pójść, skoro autorem jest ten wstrętny komunista Gorki?

The Best Off

Nowością, którą chcę zaproponować w tym z konieczności skrótowym przeglądzie, jest uwzględnienie sceny offowej. Za rzadko dostrzegana, pracuje intensywnie i dzieją się na niej rzeczy bardzo ciekawe. Kto nie ma czasu jej śledzić, od dwóch lat może dzięki konkursowi The Best Off skupić się na tym, co jego jury uznało za najlepsze. Dzięki wysiłkom Katarzyny Knychalskiej i jej ekipy z Fundacji Teatr Nie-Taki laureatów poprzedniej edycji, na czele ze świetną „**Wojną w niebie**”, zrealizowaną przez Dominikę Feiglewicz z grupą aktorek i aktorów niesłyszących, można będzie jesienią oglądać we wspierających tę inicjatywę ośrodkach teatralnych. Nabór do trzeciej edycji konkursu rusza 10 listopada.

Scena offowa jest bardzo nieprzewidywalna, a ze względu na specyfikę jej pracy trudno o dalekosiężne i konkretne plany. Wiadomo jednak, że w tym sezonie można polować na nowe przedstawienia tak znanych ekip jak Teatr Brama („**Positivo**”) czy Chorea („**Ja, Bóg**”) oparty na tekstach Jerzego Grotowskiego, w reżyserii współpracującego z nim przed laty Tomasza Rodowicza). Wiadomo też, że ważne ośrodki teatru i kultury niezależnej obchodzą w tym sezonie swoje jubileusze. Już 40. urodziny świętuje szczecińska Kana, która jesienią pokaże wszystkie znajdujące się obecnie w repertuarze przedstawienia, a 13 grudnia premierę „**Sit down tragedy**” zrealizowaną w koprodukcji z rosyjskim Teatrem Akhe. O 15 lat starszy Teatr Ósmego Dnia świętuje pod hasłem „Więcej niż jedno życie”, prezentując przedstawienia swoje i zaprzyjaźnionych zespołów. Ósemki będą też bohaterami spektaklu „**Ach, jakże godnie żyliśmy**”,

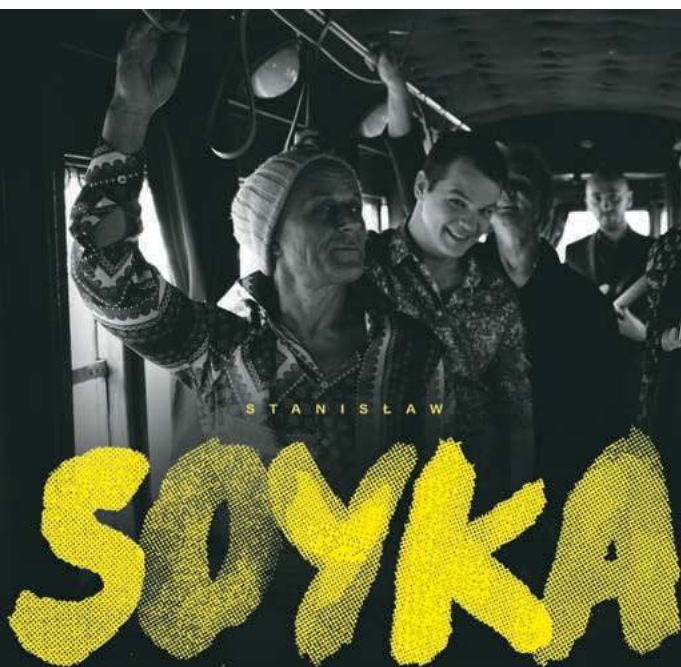
który Marcin Liber wyreżyseruje w Teatrze Powszechnym w Warszawie (23 listopada). Najmłodszym jubilatą jest Komuna Warszawa. Zespół deklaruje wprawdzie, że nie ma czasu obchodzić 30-lecia, ale robi to całą serią przedsięwzięć (o części wspomniałem wcześniej), których zwieńczeniem będzie grudniowa premiera spektaklu „**Loop**” wyreżyserowanego przez Grzegorza Laszuka na podstawie „Pianoli” Kurta Vonneguta.

Jednym z najważniejszych zjawisk na scenie niezależnej ostatnich lat jest pojawienie się ośrodków umożliwiających zespołom i artystom realizowanie własnych projektów. Taką działalność z wielkim powodzeniem prowadzą Komuna i Ósemki. Prowadzi ją też znakomicie poznańska Scena Robocza kierowana przez Adama Ziajskiego. Jej specjalnością są „przedstawienia tożsamościowe” (w poprzednim sezonie m.in. głośne „**Bromance**” i „**Dziewczyny opisują świat**” – wciąż w repertuarze). Najnowszą propozycją jest „**Kurs**” w reż. Sary Bustamante-Drozdek, poprzez reinscenizację kursu tańca zadający pytanie o sposoby konstruowania męskości.

Scenę niezależną wspierają też dwie niezwykle instytucje, które łączą pomoc dla offu z działalnością związaną z ich patronami. We Wrocławiu Instytut Grotowskiego oprócz premier Teatru Polskiego w Podziemiu pokaże m.in. swoisty „autorski remake” Teatru Zar – „**Anhelli. Skowyt**” (listopad), a w Krakowie Cricoteka, obok nowej odsłony swojej stałej wystawy, zatytułowanej „Tadeusz Kantor. Widma”, będzie m.in. prezentować polski teatr tańca (projekt „**Rollercoaster. Kolekcjonerzy wrażeń**”) oraz nowe przedstawienia Szymona Adamczaka („**An Ongoing Song**”, 19 listopada) i Beniamina Bukowskiego (spektakl na podstawie kompletnie zapomnianego dramatu oświeceniowego „**Gwido. Hrabia Blezu**” Adama Naruszewicza, 6 grudnia). Oba ośrodki pokażą też przedstawienia nagrodzone w konkursie The Best Off, który od początku wspierają. © DARIUSZ KOŚCIŃSKI

REKLAMA

GOOD TASTE



M U Z Y K A I S Ł O W A

27.10.2019	BYDGOSZCZ
04.11.2019	GORZÓW WLKP.
05.11.2019	SZCZECIN
06.11.2019	GDAŃSK
16.11.2019	LUBLIN
16.12.2019	KRAKÓW
17.12.2019	ŁÓDŹ
06.01.2020	WARSZAWA
07.01.2020	KATOWICE
30.01.2020	WROCŁAW

**Muzeum
Historii
Żydów
Polskich**

WYSTAWA CZASOWA

ul. Anielewicza 6
00-157 Warszawa

GDYNIA TEL AWIW

13.09.2019 – 03.02.2020

polin.pl

© 2004 Blackwell Publishing Ltd

1000

MUSEUM
NASTA CD

UNIVERSITY OF BIRMINGHAM
SCHOOL OF BUSINESS, MANAGEMENT & ECONOMICS

Jankilevitch Foundation

© 2000 Blackwell Science Ltd



Sills Family Foundation

The Journal of Nonverbal Behavior
Devine & Ferguson

☐ Lufthansa

☐ Lufthansa Cargo

Keywords: adolescents; self-esteem; social support

ISRAEL

Parvaneh Shabani

Abstract

sens

Networks

10/10/2010

DISPATCH

VOGUE
NEW YORK**insider****AKTIVIST**

Zewsząd dźwięki

JAN BŁASZCZAK

**Festiwale, koncerty i premiery płytowe
– oto subiektywny przewodnik po niedającej wytchnienia muzycznej jesieni.**

Jesienią w Polsce wzrasta nie tylko stężenie tlenu siarki w powietrzu. Niebezpiecznie podnosi się też liczba jazzowych koncertów i festiwali. Niesie to zagrożenie głównie dla portfela, choć ułożenie koncertowego harmonogramu może kosztować również trochę zdrowia. Będzie to tym trudniejsze, że w tym samym czasie rozgrywają się dwa interesujące festiwale: gdański Jazz Jantar i bielska Jazzowa Jesień. A dzielą je, bagatela, 484 kilometry.

Wszędzie ten jazz

Rozłożony na ponad dwa tygodnie **Jazz Jantar** (25 października – 17 listopada) poświęca szczególnie dużo uwagi młodym, choć już znaczącym twórcom, których wyraźnie uwiera krótkie słowo na „j”. Gdański festiwal daje więc świetną okazję, by przyjrzeć się nowym twarzom polskiej sceny improwizowanej. Zagrają tu RASP Lovers, których ciągnie w stronę punk rocka; Llovage, których ciągnie w stronę elektroniki spod znaku Jana Jelinka, oraz Alfons Slik, których ciągnie w każdym możliwym kierunku, a także dobrze znane fanom jazzu trio Kuby Więcka. Wśród zagranicznych gości wyróżniłbym brytyjski zespół Sons of Kemet. Kwartet dowodzony przez rozchwytywanego saksofonistę Shabakę Hutchingsa zachwycił krytykę ubiegłorocznym albumem „Your Queen Is A Reptile” poświęconym czarnym kobietom, które wywarły wpływ na losy świata. I zachwył ten był w pełni uzasadniony.

Bielska **Jazzowa Jesień** (12–17 listopada) odbędzie się w tym roku po raz pierwszy jako festiwal im. Tomasza Stańki. Impreza ukazuje bardziej klasyczne ujęcie jazzu. W listopadzie do Bielska-Białej zawitają zanurzeni w tradycji pianiści: Brad Mehldau, Jason Moran i Marcin Wasilewski ze swoim trio. Obok nich wystąpią artyści, którzy swoją markę zbudowali na podążaniu własną, czasem trudną do przewidzenia drogą. Django Bates – niespokojny duch brytyjskiego jazzu – przyjedzie do Polski z projektem wygładzonym na audiofilską modłę przez Manfreda Eichera. Nieskrępowanej kreatywności spodziewałbym się przede wszystkim po występie Ambrose’a Akinmusire’a – wschodzącej gwiazdy amerykańskiej trąbki.

Warszawiacy będą mieli okazję zobaczyć gwiazdy światowego formatu na festiwalu **Jazz Jamboree** (24–27 października), gdzie wystąpią m.in. John McLaughlin z zespołem The 4th Dimension oraz Jean Luc Ponty ze swoim kwintetem. Młodsze pokolenie improwizatorów oraz twórców muzyki elektronicznej z Polski i Skandynawii zaprezentuje się w stołecznym SPATiF-ie podczas pierwszej odsłony **Idealistic Festival** (18–19 października). Wrocławianom zaś radziłbym nie opuszczać miasta 16 listopada. Kosmiczne, bardzo przebojowe trio **The Comet Is**

Coming, dowodzone przez wspomnianego już Shabakę Hutchingsa, wystąpi tego dnia w Narodowym Forum Muzyki.

Jedną nogą w awangardzie

Choć przewodnik ten ukazuje się już po Warszawskiej Jesieni, okazji do spotkań z awangardowym repertuarem w 2019 roku nie zabraknie. Interesująco zapowiada się festiwal **Ad Libitum** (10–12 października), którego tematem przewodnim będzie improwizacja w świecie mediów elektronicznych. W warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej wystąpi m.in. słynne elektroakustyczne trio Musica Elettronica Viva w składzie: Frederic Rzewski, Alvin Curran i Richard Teitelbaum. To światowej sławy kompozytorzy i improwizatorzy, którzy niedawno świętowali pięćdziesięciolecie istnienia swojej grupy. Dzień po ich występie w CSW zagra słynny brytyjski saksofonista i kompozytor Evan Parker ze swoim Electro-Acoustic Ensemble.

Spawn, czyli solista będący sztuczną inteligencją, wchodzi w skład chóru towarzyszącego kompozytorce, wokalistce i badaczce Holly Herndon, która wystąpi podczas festiwalu **Unsound** (6–13 października). Wśród niepowtarzalnych wydarzeń serwowanych przez krakowską imprezę należałoby jednak wymienić przede wszystkim zaskakujące kooperacje powołane specjalnie z myślą o festiwalu. W tym roku usłyszymy m.in. minimalistyczne jazzowe trio The Necks występujące z Sinfoniettą Cracovią prowadzoną przez Ilana Volkova, a także klawecistę Wacława Zimpla w niespodziewanym duecie z producentem dubstepu i eksperymentalnej muzyki elektronicznej, Shackletonem. Radziłbym nie opuścić występu Lingua Ignota – zafascynowanej Purcellem i ekstremalnym metalem Kristin Hayter, która za sprawą wstrząsających „hymnów ocalałych” radzi sobie z osobistą traumą. Koncertem islandzkiej kompozytorki Hildur Guðnadóttir powinni się zaś zainteresować nie tylko fani brytyjskiego serialu „Czarnobyli”.

W tra(n)sie

Podczas listopadowego festiwalu **Ars Cameralis** wystąpią panie. W Katowicach zaprezentują się reprezentantki amerykańskiego folku: Jessica Pratt, Laura Gibson oraz ukrywająca się pod pseudonimem Weyes Blood – Natalie Laura Mering, której bogato orkiestrowana tegoroczna płyta „Titanic Rising” zbiera świetne recenzje. Na Śląsk przylecą również twórczynie elektronicznego popu: Dillon oraz ulubienica krytyki, Norweżka Jenny Hval.

Fani nastrojowej, romansującej z elektroniką neoklasyki wiedzą już pewnie o zbliżających się koncertach **Nilsa**



MATERIAŁY PRASOWE

Shabaka Hutchings i Sons of Kemet zagrają na festiwalu Jazz Jantar w Gdańsku

Frahma we wrocławskim NFM-ie (13 października) i **Ólafura Arnaldsa** w katowickim NOSPR-ze (18 listopada). Warto je tu jednak odnotować tak, jak kolejne wizyty **Skepty**. Bo choć najnowszy album jednego z najważniejszych głosów grime'u nie dorównuje poziomem poprzednikowi, to z pewnością nie zaszkodzi zanotować sobie dat krakowskiego i warszawskiego występu Brytyjczyka (23 i 24 października). Gdybym jednak miał ograniczyć swoją obecność na rapowanych koncertach do jednego, postawiłbym na rodaczkę Skepty – **Little Simz**. Autorka doskonałej płyty „GREY Area”, na której wątki osobiste mieszają się z zaangażowaną publicystyką, wystąpi w warszawskich Hybrydach (9 października).

Wreszcie tym wszystkim, którzy pragną koniec roku uczcić rockiem, mogę polecić warszawski koncert psychodelicznej grupy **Deerhunter** (19 listopada). Na dwa koncerty do Polski przyjedzie również grupa **Baroness**, która zaczynała od elegancko skrojonego sludge'u, a obecnie sporo uwagi poświęca hard rockowi, a nawet grunge'owi. Amerykanie zagrają w krakowskim Kwadracie i stołecznym Torwarze (28 i 29 października). W tych samych dniach w Polsce wystąpi **Michael Gira**, czyli lider reaktywowanego właśnie zespołu Swans, któremu na scenie będzie towarzyszyć gitarzysta Norman Westberg. Niedyskretne pytanie o szybko powrót dopiero co rozwiązanej grupy będzie można zadać w warszawskim Pardon, To Tu.

Tłocznie tłocznie

Ostatnie miesiące roku to również tradycyjny okres fonograficznego nadmiaru. Każda wytwórnia pragnie bowiem wy-

dać możliwie najwięcej albumów w okresie przedświątecznym. Tłocznie rozkładają ręce, drukarnie rozkładają ręce, recenzenci rozkładają ręce, ale na nic ich błaganie – produkcja trwa. W radykalnym geście postanowiłem więc wyłowić z tej fonograficznej masy ledwie kilkanaście tytułów.

Zacznę tam, gdzie skończyłem – od grupy **Swans**. Znanej z monumentalnych kompozycji, które w misterny, hipnotyzujący sposób nieuchronnie zmierzają do potężnych gitarowych erupcji. Paradoksalnie, dopiero w czasach rozproszonej uwagi i szybkiej gratyfikacji kapela Michaela Giry zdobyła kultowy status. Po tym niezwykłym sukcesie artysta postanowił jednak rozwiązać zespół na dwa lata. Teraz wraca z nowym składem i albumem „Leaving Meaning”, który ukaże się 25 października.

Kilka miesięcy po znakomitym „U.F.O.F.” folk-rockowy zespół **Big Thief** zapowiada kolejne wydawnictwo. Miałem wątpliwości, czy grupa jest w stanie znów tak udanie nawiązać do tradycji Joni Mitchell, Stevie Nicks czy Cat Power. Nieśluszenie, bo zapowiadający płytę „Two Hands” (11 października) singiel sugeruje, że będzie ona trochę ostrzejsza niż „U.F.O.F.” i jeszcze lepsza.

Śpośród raperów warto zwrócić uwagę na nowy album **Danny'ego Browna**. Artysty, który za sprawą unikatowej barwy głosu, pokręconego poczucia humoru i słabości do muzycznych eksperymentów wciąż wymyka się klasyfikacjom. Nad albumem „U Know What I'm Sayin'” (4 października) współpracował z Q-tipem – ikoną amerykańskiego hip-hopu, raperem i producentem związanym z kultową grupą A Tribe Called Quest. W czasach dominacji trapu Danny Brown robi





CAMILLE WALSH / MATERIAŁY PRASOWE

Zespół The Necks zagra na festiwalu Unsound w Krakowie wraz z orkiestrą Sinfonietta Cracovia

⇒ ułkon w stronę przeszłości i nie mogą się doczekać efektów tego ruchu.

Awangardowa kompozytorka i saksofonistka **Matana Roberts** od 2011 r. rozwija projekt „Coin Coin”. Nagrywane w jego ramach albumy podejmują tematykę historii, pamięci i dziedzictwa. Dotychczas ukazały się trzy części tej sagi – każda inna. Roberts czasem nagrywa solowo, innym razem zaprasza duży zespół. Raz misternie składa nagrania terenowe, innym razem nagrywa materiał na żywo. Niezależnie od tego, jaką metodę wybierze na „Coin Coin. Chapter Four: Memphis” (18 października) – warto śledzić jej twórczość.

Songwriterowi **Richardowi Dawsonowi** rozgłos przyniósł album „Peasant”, na którym śpiewał o ciężkiej doli zwykłych mieszkańców Wielkiej Brytanii w VI wieku n.e. Pomimo dystansu czasowego udało mu się stworzyć zestaw dogłębnie poruszających piosenek. Na „2020” (11 października) Dawson pragnie śpiewać o swoich sąsiadach, mieszkańcach brytyjskiej prowincji, w czasie trwającej na Wyspach politycznej zawieruchy i wynikającego z niej poczucia zagubienia.

Fani podszytego nowoczesną elektroniką r&b nie powinni przegapić „Magdalene” (25 października), czyli nowej płyty **FKA Twigs**. Tego samego dnia ukaze się też „Colorado” – pierwszy od siedmiu lat album **Neila Younga** z grupą **Crazy Horse**. Choć to już 38. album w dyskografii Kanadyjczyka, to nie wyobrażam sobie nie dać mu szansy. Jeśli zawiedzie, fani country i folk rocka mogą sięgnąć po nowy album **Wilco** „Ode to Joy” (4 października), który ukazuje się rok po wspólnym albumie solowym lidera grupy – Jeffa Tweedy’ego. **Kim Gordon** – ikona niezależnego rocka, związana przez dekady z nowojorską grupą Sonic Youth, wydaje zaś swój pierwszy album solowy (11 października).

Chwilową ucieczkę od dominującej angielszczyzny zapewni „The Sisyphians” (8 listopada), czyli płyta greckiego pieśniarza i wirtuoza lutni **Giorgosa Xylourisa** z perkusistą **Jimem White’em**. Piękne połączenie tradycyjnych kreteńskich melodii z wpływami bluesa i jazzu.

Swoją nową płytę wydał właśnie **Pezet**, być może najzdolniejszy polski raper w historii. Jego „Muzyka współczesna” ma w większym stopniu nawiązywać do starej hip-hopowej szkoły, choć wśród zaproszonych przez niego gości nie brakuje popularnych dziś grup i ksywek (m.in. Syny, Taco Hemingway, Zdechły Osa).

Z pewnością głośno będzie również o drugim albumie **Jazz Bandu Młynarski-Masecki** zatytułowanym „Płyta z zadra w sercu”. Tym razem skomponowanym w warunkach orkiestrowych, bo w aż 17-osobowym składzie. Nie zmienia się natomiast repertuar – artyści wciąż odkurzają warszawskie przeboje końca lat 30. Uwspółcześniając je, zmuszają do refleksji nad stratami, jakie polskiej muzyce rozrywkowej wyrządziła II wojna światowa.

Poszukujących wrażeń w zakresie post rocka, psychodelii i jazzu, powinna ucieszyć informacja o dwóch premierach szykowanych przez zasłużoną wytwórnię Instant Classic. W drugiej połowie listopada ukaze się „II” sosnowieckiej grupy **ARRM**, specjalizującej się w hipnotyzującym rocku psychodelicznym i post rocku, które potrafią niekiedy osiągnąć ciężar metalu. W podobnym terminie ukaze się też nowa płyta trójmiejskiego zespołu **Lonker See**. Kwartet łączący brzmienie saksofonu z cięższymi gitarowymi riffami będzie próbował przeskoczyć poprzeczkę zawieszoną wysoko przez ich album „One Eye Sees Red”, wydany w 2018 r.

© JAN BŁASZCZAK



MAŁOPOLSKA TO GO



**Portal,
na którym
znajdziesz
gotowe trasy
jednodniowych
wycieczek
po Małopolsce**

**Jesienne,
kulturalne
włóczęgi
poleca
Małopolski
Instytut
Kultury
w Krakowie**

Wolno się powłóczyć

Organizator:

malopolskatogo.pl

małopolski
instytut
kultury

mik

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO


MAŁOPOLSKA

międzynarodowy
festiwal literatury

europijski poeta wolności

19–21 marca 2020
Gdańsk

www.europieskipoetawolnosci.pl

fb.com/poetawolnosci

nominowani do nagrody europejski poeta wolności:

Darko Cvijetić (Bośnia i Hercegowina) — za tom *Gęsia skóra*
przekład Miłosz Waligórski

Balša Brković (Czarnogóra) — za tom *Czarne boisko*
przekład Agnieszka Schreier

Zviad Ratiani (Gruzja) — za tom *Tobie wolno*
przekład Magdalena Nowakowska

Sinéad Morrissey (Irlandia) — za tom *O równowadze*
przekład Magda Heydel

Agnė Žagrakalytė (Litwa) — za tom *Właśnie*
przekład Agnieszka Rembiałkowska

Jean Portante (Luksemburg) — za tom *Po trzęsieniu*
przekład Wawrzyniec Brzozowski

Inga Gaile (Łotwa) — za tom *Wielkanoc*
przekład Agnieszka Smarzewska

Antoine Cassar (Malta) — za tom *Czterdzieści dni*
przekład Zuzanna Gawron

instytut
kultury
miejscowej

GDANSK

#wolnosc
kultury

REKLAMA

Kraków

kbf★

SACRUM
PROFANUM

unsound

GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ
BUNKIER
GALLERY OF
CONTEMPORARY ART



RICHARD MOSSE PRZYBYWAJĄCY

26.9–31.10.2019

GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BUNKIER SZTUKI
PL. SZCZEPAŃSKI 3A, KRAKÓW, WWW.BUNKIER.ART.PL

PATRONI MEDIALNI GALERII

RADIO
KRAKÓW

LE MONDE
diplomatie

lounge

Richard Mosse, *Przybywający* | Incoming, kadr #293, 2014-2017, instalacja wideo, dzięki uprzejmości artysty i Jack Shainman Gallery, Nowy Jork, © Richard Mosse

Sopocki Dom Aukcyjny

OD 1990
BYDGOSZCZ



VIII
SENSES
AWARD
2019

Od sierpnia 2019 Sopocki Dom Aukcyjny dołączył do grona partnerów ILE MAISON – globalnej ekskluzywnej społeczności, promującej treści dotyczące luksusowego stylu życia, produktów ArtfulLiving&Well-being na całym świecie.

13.12.2019 / Bydgoszcz

Aukcja Rzeźby oraz Aukcja Rzeźby XXI wieku



Aryman, M. Mysliwiec



Kąpiąca się, S. Horno-Popławski



Skrzydlaty Powienik, I. Nowodworski

Bydgoska filia Sopockiego Domu Aukcyjnego to najmłodszy oddział największego ośrodka aukcyjnego działającego od 1990 roku w Polsce.

Bydgoskie SDA skupia swoje działania głównie wokół rzeźby. Ponadto zajmujemy się wyceną, konserwacją oraz sprzedażą dzieł sztuki, zarówno malarstwem, grafiką, rysunkiem, rzemiosłem, jak i biżuterią.

OSOBY ZAINTERESOWANE
SPRZEDAŻĄ DZIEŁ SZTUKI
PROSIMY O KONTAKT NA
ADRES MAIL:
bydgoszcz@sda.pl

JAGIELLOŃSKA 47 / BYDGOSZCZ
FB: sda.bydgoszcz
bydgoszcz@sda.pl
tel.: 602 593 826

KATALOGI AUKCYJNE DOSTĘPNE NA: www.sda.pl

13.11.2019 / Warszawa – Aukcja Prac na Papierze. Sztuka Współczesna

30.11.2019 / Sopot – Aukcja Dzieł Sztuki oraz Aukcja Sztuki XXI wieku

BYDGOSKIE
CENTRUM
SZTUKI

Bydgoskie Centrum Sztuki im. Stanisława Horno-Popławskiego to instytucja powstała z prywatnej inicjatywy, której celem jest promocja sztuki zarówno młodych, jak i doświadczonych artystów, zwłaszcza tych zajmujących się mniej popularną od malarstwa rzeźbą. W galerii zobaczyć można było prace m.in. patrona Centrum – Stanisława Horno-Popławskiego, Zbigniewa Beksńskiego, Magdaleny Abakanowicz, a także wybitnych polskich artystów XIX wieku na zbiorowej wystawie „Powroty” będącej częścią kolekcji Zbigniewa Mikulskiego.

W BCS OPRÓCZ WYSTAW ORGANIZOWANE SĄ RÓWNIEŻ WARSZTATY, WYKŁADY ORAZ SPOTKANIA AUTORSKIE.

17.09
–
31.10

„IMPONDERABILIA” WYSTAWA
OBIEKTÓW RZEŹBIARSKICH
ALI MAJEWSKIEJ

06.11

SPOTKANIE Z ROMANEM
KONIKIEM, AUTOREM KSIĄŻEK
O LEONIE WYCZÓŁKOWSKIM,
ORAZ WYSTAWA PRAC
MALARZA

12.11

WARSZTATY HAFTU
PŁASKIEGO Z MERESHKA
SHOP – CYKL WARSZTATÓW
„WARSZTATOWNIA”

15.11

WERNISAŻ WYSTAWY
DOROTY BUCZKOWSKIEJ

16.11

WYKŁAD PAWŁA LESZKOWICZA
O RELACJI POMIĘDZY SZTUKĄ
I HOMOFOBIA

JAGIELLOŃSKA 47 / BYDGOSZCZ
fb: bcs.horno | bcs@horno.pl
www.bcs.bydgoszcz.pl



Gustaw Maj „Radykalne zabawki miejskie”, wystawa „Trzy plagi”, Galeria Labirynt w Lublinie, wrzesień 2019 r.

Disco Relaks w Niepodległej

KAROLINA PLINTA

Większość zaplanowanych na jesień wystaw nawiązuje do Roku Antyfaszystowskiego, ale muzea i galerie eksperymentują także z awangardą oraz kulturą wizualną czasów transformacji.



WOJCIECH PACEWICZ / GALERIA LABIRYNT

Miniony rok w sztuce upłynął w cieniu ochoczo włączanych do ministerialnego programu Niepodległa imprez poświęconych stuleciu niepodległości Polski. Choć jej obchody obliczone zostały na lata 2017–2022, nowy sezon artystyczny przyniósł inne tematy. W 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej część polskich instytucji skupiła się na przypominaniu okropności, z jakimi wiąże się zbrojne konflikty. Stąd większość zaplanowanych na jesień artystycznych wydarzeń odbywa się pod szyldem Roku Antyfaszystowskiego – to po-

myśl, który zrodził się z niezależnej inicjatywy instytucji publicznych, organizacji pozarządowych oraz kolektywu artystek i artystów.

Otwarta pod koniec sierpnia w **Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie** wystawa „Nigdy więcej. Sztuka przeciwko wojnie i faszyzmowi w XX i XXI wieku” najpełniej oddaje idee Roku Antyfaszystowskiego [pisze o niej także Piotr Kosiewski w dziale Kultura tego numeru – red.]. Ekspozycja skupia się na tradycji sztuki antyfaszystowskiej i jej współczesnej odsłonie. Poznamy tu historię powstawania „Guerniki” (ikonicznego dzieła antyfaszystowskiego, stworzonego przez Pabla Picassa w 1937 r. w odpowiedzi na zbombardowanie baskijskiego miasta Guernica przez niemieckich nazistów i włoskich faszystów) oraz jej recepcji, także w Polsce Ludowej. Część współczesną wystawy dopełnia twórczość takich artystów jak Wilhelm Sasnal, Martha Rosler czy Wolfgang Tillmans, dla których tradycja antyfaszystowska rozumiana jest jako sprzeciw wobec mowy nienawiści, dyskryminacji, mizoginii czy nasilającego się nacjonalizmu i populizmu. Pod koniec listopada muzeum planuje za to solową wystawę szwajcarskiej malarki Miriam Cahn – reprezentantki ruchu ekspresjonistycznego, ale w radykalnie feministycznym wydaniu.

Poznańska **Galeria Arsenał** to jedna z najbardziej zaangażowanych instytucji w Polsce, o czym można się będzie przekonać także i w sezonie jesiennym. Otwarta już na początku września wystawa Mateusza Kuli wpisuje się w obchody Roku Antyfaszystowskiego. „Gorączka antykwaryczna” poświęcona jest bowiem zjawisku nostalgii i fetyszymowi towarowemu, rozumianemu jako rodzaj prywatnego faszyzmu. Niezwykle interesująco przedstawia się też planowana na listopad wystawa „Kreatywne stany chorobowe”, której kuratorzy – Paweł Leszkowicz, Luiza Kępińska, Jacek Zwierzyński, Inga Zimprich i Zofia Nierodzińska – planują podjąć temat relacji człowieka z chorobą. Istotnym wątkiem na wystawie będzie również aktywizm chorobowy, pokazany na przykładzie raka piersi oraz AIDS.

Tematem przewodnim jesiennych wystaw w krakowskim **MOCAK-u** będzie z kolei II wojna światowa i Holokaust – tematy ważne, ale czy to gwarantuje, że realizowane wokół nich projekty będą dobre – trudno powiedzieć. Krakowskie muzeum jest swego rodzaju fenomenem – niezmiennie krytykowane przez środowisko i równocześnie doceniane przez publiczność, siłą rzeczy wypada do niego zaglądać. Przy okazji warto odwiedzić w Krakowie **Bunkier Sztuki**, który ostatnio przekształca się w filię MOCAK-u – nie do końca legalnie, ale skutecznie. W sezonie jesiennym będzie tam można zobaczyć wystawy Kamila Kukli, Anny Sztwiertni i Agaty Kus, a później – zamknięte, remont!

Lubelski **Labirynt** może się pochwalić długą tradycją w promowaniu polskiego performansu, ale w ostatnich latach dał się także poznać jako instytucja krytyczna, która niczym sejsmograf reaguje na kolejne przewroty polityczne w Polsce. „Trzy plagi” to wystawa, która także wpisuje się w tę strategię – jej tytuł został zaczerpnięty z „Imperium” Ryszarda Kapuścińskiego, który współczesne plagi zagrażające ludzkości utożsamiał z nacjonalizmem, rasizmem i religijnym fundamentalizmem. Agnieszka Cieślak i Magdalena Linkowska prezentują ponad czterdziestu najwybitniejszych polskich artystów współczesnych – takich



→ jak Paweł Althamer, Mirosław Bałka, Katarzyna Kozyra, Goshka Macuga, Agnieszka Polska czy Jadwiga Sawicka – których prace są wyrazem niezgody na rosnącą w społeczeństwie przemoc. Wystawie towarzyszy aneks w postaci prezentacji prac młodych, urodzonych po 4 czerwca 1989 r., twórców. W listopadzie i grudniu warto się z kolei wybrać do Lublina na wystawy solowe Mirosława Bałki i Mikołaja Smoczyńskiego – artystów w szczególny sposób związanych z Galerią Labirynt i samym Lublinem.

Najnowsza wystawa w stolecznej **Zachęcie** sprawia wrażenie skromnej, warto ją jednak odwiedzić – pokazuje w tym sezonie świetnych artystów. Przygotowany przez Stanisława Welbla „Strajk” zestawia ze sobą prace Käthe Kollwitz, niemieckiej ekspresjonistki tworzącej w pierwszej połowie XX wieku, z pracami dwóch współczesnych twórczyni – Hito Steyerl i Keren

Donde, które łączy krytyczne zacięcie i zaangażowanie w aktualne problemy społeczne. Kollwitz – artystka wrażliwa na biedę i ucisk klasowy, obserwatora I i II wojny światowej, w których straciła synów – tworzyła rzeźby i grafiki poświęcone ofiarom przemocy i bohaterom ruchu robotniczego. Jej ostatnia retrospektywna wystawa w Zachęcie miała miejsce w 1951 r. – na aktualnej znajdziemy także ekspozycję archiwalnych not prasowych z tamtego czasu, pokazujących tło polityczne ówczesnej prezentacji prac Kollwitz, jak również część pokazanych wówczas prac, m.in. cykl grafik „Powstanie tkaczy” (1897) czy „Wojna chłopska” (1903), a także plakat „Nie wieder Krieg!” („Nigdy więcej wojny!”) z 1924 r.

Ponieważ polska sztuka żyje aktualnie rocznicami okolicznościami wojennymi, umknął jej trochę inny, znaczący dla historii sztuki nowoczesnej, jubileusz: w tym roku obchodzimy 100-lecie Bauhausu, awangardowej szkoły artystycznej założonej przez Waltera Gropiusa w 1919 r. w Weimarze. Nad dziedzictwem tej szkoły postanowiła pochylić się tylko jedna polska instytucja sztuki, **Galeria Arsenal** w Białymstoku. „Do zobaczenia po rewolucji!” to wystawa pomyślana jako projekt artystyczno-badawczy, w którym artyści pracują ramię w ramię z badaczami. Celem tej współpracy ma być krytyczne przepracowanie wiedzy i przekonań na temat Bauhausu, z reguły postrzeganego jako szkoła, która wypracowała jednolitą estetykę, dzisiaj utożsamianą ze stylem modernistycznym.

Gdynię i Tel Awiw dzieli około 3 tys. kilometrów, jednak miasta te mają zaskakująco wiele ze sobą wspólnego. Łączy je przede wszystkim modernistyczna, portowa architektura,



Przemek Branas „Żółć”, fotografia, wystawa „Trzy plagi”, Galeria Labirynt w Lublinie, 2019 r.

WOJCIECH PACEWICZ / GALERIA LABIRYNT

oba miały także szczególną rolę w politycznych narracjach dwóch młodych państw – Polski i Izraela. Wystawa w **Muzeum Polin** przybliży historię, życie codzienne, architekturę i sztukę Gdyni i Tel Awiwu – poprzez archiwalne dokumenty, przedmioty oraz prace współczesnych artystów, takich jak Maurycy Gomulicki czy Wojciech Wilczyk.

Z kolei **Gdańska Galeria Miejska** obchodzi 10. urodziny – z tej okazji zorganizowała wystawę opowiadającą o czasie, i tym, jak rozumiany jest on w sztuce. Jest to zagadnienie ciekawe o tyle, że sztuka awangardowa jest z czasem w nieustannym pościgu – chce być aktualna, opowiadać o współczesności, a przez to paradoksalnie szybko się starzeje. Na wystawie „Tylko zepsute zegary pokazują dokładny czas” zobaczymy prace 22 artystek i artystów, którzy mierzą się z tym problemem.

W połowie listopada Gdańska Galeria Miejska z Instytu-

tem Kultury Miejskiej zaproszą gdańszczan na kolejną odsłonę **Festiwalu Narracje**, która w tym roku odbędzie się w dzielnicy Siedlec. Zadaniem zaproszonych artystów jest poznanie i wydobywanie historii tego miejsca. Co ciekawe, w tym roku zmieni się trochę formuła przedsięwzięcia – prace współtworzone będą z mieszkańcami, w ramach festiwalu odbędą się też konsultacje społeczne, warsztaty i wystawy w specjalnie zaaranżowanych przestrzeniach. Warto się wybrać, nawet jeśli pogoda nie dopisze!

Awangarda pierwszej połowy XX wieku przez lata była kojarzona głównie z mężczyznami, ale powoli zaczyna się to zmieniać, a twórcynie tamtego okresu wracają do gry. Jedną z takich postaci jest Sophie Taeuber-Arp – szwajcarska artystka, wybitna przedstawicielka sztuki abstrakcyjnej i geometrycznej. Na jesień **Centrum Kultury Zamek** w Poznaniu przygotowało jej obszerną retrospektywę, na której zobaczymy prace z całego okresu jej twórczej aktywności – od lat 20. do tragicznej śmierci w 1943 r.

Powstawaniu i znikaniu pomników towarzyszy ostatnio wiele emocji. W dzisiejszych realiach politycznych problem upamiętniania lub zacierania pamiątek po dawnych czasach wydaje się bardziej aktualny niż zwykle, nic więc dziwnego, że tegoroczny festiwal **Warszawa w Budowie** koncentruje się właśnie na tym temacie. Kuratorzy tej edycji – Łukasz Zaremba i Szymon Maliborski – planują jednak podejść do niego przewrotnie. Zaproponowana przez nich Pomnikomania będzie próbą poszukiwania odmiennych form publicznego upamiętnienia, umożliwiających rewizję przeszłości i alternatywny dialog z publicznością. Tłem dla tego laboratorium

nowych form pomnikowych będzie odnowiony pawilon Zodiak oraz plac przed pawilonem, gdzie stanie główna „wystawa” nowych quasi-pomników.

O CSW U-jazdowski było ostatnio głośno ze względu na doniesienia o potencjalnych zmianach kadry kierowniczej tej instytucji, warto jednak pamiętać o niej także ze względu na zaplanowany na najbliższe miesiące program wystaw. Pod koniec października otwiera się wystawa Bika Van der Pola, który wykuratoruje performatywnie kolekcję U-jazdowskiego, starając się krytycznie przepracować jej mit założycielski i przypomnieć twórcę jego koncepcji, Wojciecha Krukowskiego, założyciela awangardowego teatru Akademia Ruchu. Kolejna atrakcja to planowana na 15 listopada wystawa Karola Radziszewskiego, zapewne najbardziej znanego polskiego artysty poruszającego w swojej twórczości problematykę LGBT+. Ciekawie zapowiada się również wystawa japońskiego kolektywu hyslom, znanego z absurdałnego poczucia humoru i medytacyjnych, podważających europejską logikę działań.

Muzeum Sztuki w Łodzi w tym roku postawiło natomiast na eksperyment. W ramach cyklu „Prototypy” reinterpretacji kolekcji MS podjęli się jak dotąd kolektyw Dom Mody Limanka, Konrad Smoleński, Michał Libera i Barbara Kinga Majewska. Teraz przyszła pora na Carolinę Caycedo, artystkę, której szczególnie bliskie są zagadnienia ekologiczne oraz feministyczne. Na wystawie „Raport troski” zaprezentuje ona swoje prace w kontekście zdjęć Zofii Rydet z lat 1970-80, starając się pokazać różne sposoby zaangażowania w obronę środowiska naturalnego. Od 4 października w MS można także oglądać wystawę „Komponowanie przestrzeni. Rzeźby awangardy” poświęconą rzeźbie awangardowej – główną jej patronką będzie Katarzyna Kobro, ale znajdują się na niej również prace innych znakomitych artystek.

Bielska Jesień to najstarszy konkurs artystyczny w Polsce (organizowany jest od 1962 r.) i zarazem jeden z dwóch konkursów poświęconych malarstwu cieszących się szacunkiem środowisk artystycznych, co oczywiście nie oznacza, że wyniki obrad jury przyjmowane są bezdyskusyjnie. Laureatka edycji sprzed czterech lat, Martyna Czech, musiała zderzyć się z naprawdę ostrą krytyką. To samo zresztą czekało ostatniego laureata, Sebastiana Kroka. O malarstwie mówi się, że to gatunek martwy, dyskusje wokół niego są jednak nadal bardzo żywe.

Konkurs Gepperta, podobnie jak Bielska Jesień, jest jednym z tych konkursów artystycznych, który pomimo swoich



Mateusz Kula
„Gorączka antykwaryczna”

Z. SZERSTOBITOW / GALERIA MIEJSKA ARSENAŁ W POZNANIU

lat ciągle wywołuje sporo emocji. Jako że w tym roku konkursowi wybiła trzydziestka, jego organizatorzy, BWA Wrocław i Akademia Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu, postawili na autorefleksję: zaplanowana na październik wystawa jest prezentacją najnowszych prac laureatów wszystkich poprzednich edycji, co jest niezłą okazją, żeby zwerifikować ich rozwój i osiągnięcia. Kwalifikacje do jubileuszowej edycji konkursu odbędą się w nowej formule – otwartego dla publiczności seminarium, podczas którego będzie ona mogła poznać propozycje do wystawy konkursowej. Miejmy nadzieję, że przy okazji na jury nie polecą zgniłe jajka.

Muszę przyznać, że do muzeów etnograficznych nie wpadam często, ale w tym sezonie najprawdopodobniej się to zmieni, ponieważ **Muzeum Etnograficzne w Warszawie** pracuje właśnie nad projektem „Rzeczy kultowe”, w ramach

którego dostaniemy naprawdę bombową serię wystaw, biorącą pod lupę polską kulturę wizualną ze wszystkimi jej miłościami i słabościami. Zabawa zaczyna się od października, kiedy to otworzy się wystawa „Disco Relaks”, opowiadająca o latach 90. jako złotym wieku disco polo – zjawisko to zostanie pokazane w kontekście transformacji ustrojowej i 30-lecia III RP. Kuratorami wystawy są Monika Borys, autorka niedawno wydanej książki „Polski bayer. Obrazy disco polo w latach 90.”, oraz Bartosz Wójcik. Ciekawie zapowiadają się także następne wystawy planowane w ramach „Rzeczy kultowych”: „Wcielenia jelenia”, analizująca ikonografię jelenia w kulturze od XVIII wieku (kuratorką wystawy będzie Olga Drenda, autorka nagrodzonych w tym roku Nagrodą Literacką Gdynia esejów o „Wyrobach”), oraz „Amerykańskość”, prezentująca fenomen kulturotwórczego oddziaływania Ameryki na Polskę – jej kuratorką będzie Klara Czerniewska-Andryszyk.

© KAROLINA PLINTA

TYGODNIK
POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA
POWSZECHNEGO”
41/2019

REDAKCJA: Monika Ochędowska
PROJ. GRAFICZNY: Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Edward Augustyn
SKŁAD: Andrzej Leśniak
OPIEKA WYDAWNICZA: Maja Kuczmieńska, Anna Pietrzykowska,
Mateusz Gawron
OKŁADKA: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / Do lasu



KAZIMIERZ WYSTAWA/EXHIBITION

MOCZARSKI

życiorys obowiązkowy

11.10.2019 – 29.03.2020

Centrum Historii Zajezdnia

Wrocław, ul. Grabiszyńska 184

SZCZEGÓŁY: www.zajezdnia.org

PARTNERZY

ORGANIZATOR



Wrocław miasto spotkań

FUNDACJA
im. KAZIMIERZA I ZOFII
MOCZARSKICH

centrum
historii
zajezdnia

REKLAMA

ZAKOPANE NA JESIEŃ

27 WRZEŚNIA – 20 PAŹDZIERNIKA 2019

„MOJE ZAKOPANE” WYSTAWA POKONKURSOWA
2. OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU MALARSKIEGO
MIEJSKA GALERIA SZTUKI IM. WŁADYSŁAWA HR. ZAMOYSKIEGO

30 WRZEŚNIA – 6 PAŹDZIERNIKA 2019

23. JAZZ CAMPING KALATÓWKI

3 PAŹDZIERNIKA 2019

137. URODZINY KAROLA SZYMANOWSKIEGO
MUZEUM K. SZYMANOWSKIEGO W WILLY ATMA

7 PAŹDZIERNIKA 2019

WIECZÓR W CZERWONYM DWORZE:
„PROFESOR WIT MACIEJ RZEPECKI - TWÓRCA
ZAKOPIAŃSKIEJ SZKOŁY TORAKOCHIRURGICZNEJ”
CENTRUM KULTURY RODZIMEJ W WILLY CZERWONY DWÓR

8 PAŹDZIERNIKA 2019

GALA „SPORTOWEJ RYWALIZACJI SZKOŁ
POWIATU TATRZAŃSKIEGO” ZA ROK 2018/2019
SALA OBRAD URZĘDU MIASTA ZAKOPANE

10 - 20 PAŹDZIERNIKA 2019

21. ZAKOPIAŃSKA AKADEMIA SZTUKI

14 - 20 PAŹDZIERNIKA 2019

MIĘDZYNARODOWY SONGWRITING CAMP ZAİKS

17 - 19 PAŹDZIERNIKA 2019

8. FESTIWAL „INSPIROWANE GÓRAMI...”
IM. EWY I MACIEJA BERBEKÓW

19 PAŹDZIERNIKA 2019

SZTALETOWY BIEG NIEPODLEGŁOŚCI 101 KIŁOMETRÓW
NA 101 ROCZNICĘ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI
MARSZ NORDIC WALKING „TAK DLA TRANSPLANTACJI”

20 PAŹDZIERNIKA 2019

BIEG CHARYTATYWNY „BIEGNIEMY Z NADZIEJĄ”

24 PAŹDZIERNIKA 2019

23. ZAKOPIAŃSKI TEST COOPERA

25 PAŹDZIERNIKA 2019

WIELKIE ORATORIA G. F. HÄNDLA
KONCERT ORATORYJNY BAROQUE COLLEGIUM 1685
SANKTUARIUM NAJŚWIĘTSZEJ RODZINY W ZAKOPANIE

25 PAŹDZIERNIKA - 1 GRUDNIA 2019

„BARDZO RÓŻNIE I BARDZO DOBRZE”
GRAFIKI Z KOLEKCJI ZACHĘTY, CZ.I
MIEJSKA GALERIA SZTUKI IM. WŁADYSŁAWA HR. ZAMOYSKIEGO

4 LISTOPADA 2019

WIECZÓR W CZERWONYM DWORZE: „125 LAT TOWARZYSTWA
GIMNASTYCZNEGO SOKÓŁ GNIAZDO ZAKOPANE”
CENTRUM KULTURY RODZIMEJ W WILLY CZERWONY DWÓR

11 LISTOPADA 2019

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI

16 LISTOPADA 2019

15. ELEKTRONICZNE ZADUSZKI
STARY KOSCIÓŁ NA PEKOSOWYM BRZYZKU

JUBILEUSZ 50-LECIA ZESPOŁU GÓRALSKIEGO „BUDORZE”

22 LISTOPADA 2019 - STYCZNIA 2020

WYSTAWA WŁADYSŁAWA WALCZAKA-BANIECKIEGO,
BARBARY BANIECKIEJ-DZIAZIO I BOGDANA DZIAZIO
CENTRUM KULTURY RODZIMEJ W WILLY CZERWONY DWÓR



ZAKOPANE
ZAKOPIAŃSKIE CENTRUM KULTURY

TATRY
KWARTALNIK TPN

WWW.ZAKOPANE.PL



S-NET

GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ Z SIECI ILE SIĘ DA.

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator

Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl

BUNT, KTÓRY CENIĘ

JERZY JARNIEWICZ, PISARZ I TŁUMACZ:

Nie zawsze ma rację ten, kto ma rację.
Ważniejsze od posiadania racji jest budowanie
i podtrzymywanie więzi.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Pierwszy bunt?

JERZY JARNIEWICZ: Na pewno nie w domu. Miałem liberalnych rodziców – pozwalali mi na wszystko. Uważali, że sam wiem, co jest dla mnie dobre, a jeżeli błędę, to najlepiej nauczą mnie konsekwencji błędów. Podobała mi się ich postawa, więc się przeciw nim nie buntowałem, dopóki nie wpadł mi w ręce podręcznik psychologii, gdzie przeczytałem, że bunt przeciw rodzicom jest naturalną fazą w rozwoju dziecka. Wtedy – a miałem, powiedzmy, 15 lat – poczułem się okradziony przez los. Dotarło do mnie, że w życie wchodzę z brakiem. Zazdrościłem kolegom, którzy mogli użerać się z rodzicami.

W to nie uwierzę.

Niewiarygodne, prawda? Ale już w szkole buntowałem się na okrągło. Choć wiele zawdzięczam wspaniałym pedagogom, zwłaszcza w późniejszych latach, z nauczycielami toczyłem nieustanną wojnę. W trzeciej klasie podstawówki założyłem ZBPN – Związek Bojowników Przeciwko Nauczycielom. Inspiracja „zbowidowska” jest tu tyleż wstydliva, co oczywista. Czy to nie ironia losu? Dziś sam jestem belfrem. Często wyskakiwałem z czymś, co wydawało mi się mądre, ale niekoniecznie podobało się nauczycielom. Biologiczkę zapytałem na

przykład, co było pierwsze: materia czy świadomość? Uznała to za polityczną prowokację i oberwałem po twarzy. Mój dziadek, który był pedagogiem z powołania, gdy dowiedział się, że nauczyciel policzkuje ucznia, pobiegł do szkoły z interwencją. Na drugi dzień nauczycielka wchodzi na lekcję i pyta: „Gdzie ten Jarniewicz? Tak bardzo cię, chłopyś, bolało, że musisz skarżyć? Nie wstyd ci?”.

Scena jak z piosenki Pink Floydów:
„Gdy dorośliśmy, poszliśmy do szkoły, / Byli tam pewni nauczyciele, którzy / Ranili dzieci, jak tylko mogli. / Wylewając kpiny, / Na wszystko, co robiliśmy, / Obnażając każdą słabość, / Jakkolwiek skrętnie ukrywaną przez dzieciaki”.

Tak, z tym że czasem był to dumny bunt. Na pracach ręcznych mieliśmy szyć fartuszki. „Szyć? Jak dziewczyny? O, w życiu! – pomyślałem, bo byłem wtedy głupi. – Nie ma innego wyjścia, trzeba zachorować. A jak? Wypiję wodę z kałuży”. Do buntu przeciw fartuszkom namówiłem kumpli. W drodze ze szkoły rzucałem się na te kałuże, piłem je, chleptałem, a oni – koledzy buntownicy, od siedmiu boleści – nic, stali obok. Zostałem sam z tymi kałuzami i przechodniami, którzy pukali się w czoło.

Zostawili Cię na lodzie.

MARCIN STEPIEŃ / AGENCIA GAZETA

Poczułem się oszukany. Osamotniony. Ciekawe, że w języku polskim „buntownik” to ten, który tworzy wspólnotę, spisek, przysiężenie. Bunt to skrzyknięcie się kilku osób w imię jakiejś ważnej sprawy. Bardzo mi odpowiada takie rozumienie buntu, odmienne od angielskiego „rebel”, czyli ten, który wznawia wojnę. Bunt, który cenię, to owoc nowych więzi, początek nowych wspólnot.





JERZY JARNIEWICZ (ur. 1958) jest poetą i tłumaczem. Wykładowca literatury angielskiej na Uniwersytecie Łódzkim, członek zespołu redakcyjnego „Literatury na Świecie”. Przekładał m.in. Jamesa Joyce’a, Philipa Rotha, Johna Banville’a, Raymonda Carvera, Edmunda White’a. W Znak niedawno ukazała się jego książka „Bunt wizjonerów”.

Twoje dzieciństwo i młodość to lata 60. i 70. – epoka wspólnoty długich włosów.

Mój szkolny dzienniczek wypełniony był uwagami, gdzie długość włosów jest głównym tematem korespondencji między wychowawcą a rodzicami: „Zmuszona byłam wyprosić syna z lekcji, bo mimo mojego polecenia nie poszedł do fryzjera”.

Chciałeś wyglądać jak John Lennon?

Najbardziej zazdrościłem włosów Janis Joplin. Nie chciałem szyc fartuszków, ale chciałem być jak Janis. To wtedy zacząłem słuchać rocka, dowiadywałem się o hippisach i ich komunach, o protestach studentów w Berkeley i Columbii.

A potem były lata 70., pęczniała moja niezgoda na tę upiorną dekadę. Nie chodzi mi o polityczny ucisk czy gospodarczą ↗

⇒ mizериę. Nie do zniesienia była kiczowatość tamtej rzeczywistości, infantylizm ówczesnej kultury, bezmyślne samozadowolenie. Nie tylko w Polsce. Symbolicznym przykładem tego, czym żyły lata 70., jest dla mnie szkocki zespół Middle of the Road, zajmujący pierwsze miejsca list przebojów dzięki piosence „Chirpy Chirpy Cheep Cheep”. Lata 70. to było właśnie to: *cipi, cipi, cip, cip*. Mdlilo mnie.

Jak się w tych latach buntowało?

Robiłem z przyjaciółmi teatr. Wspinali ludzie, tacy jak mój brat Andrzej, wtedy gitarzysta klasyczny, dziś architekt, czy Darek Fiet, wtedy aktor pierwszego planu, dziś ceniony malarz, albo Dorota Koman, wtedy wokalistka, dziś poetka, czy wreszcie Paweł Samecki, wówczas gitarzysta, dziś wybitny ekonomista, były komisarz Komisji Europejskiej. Ja pisałem „sztuki”, mój najbliższy kolega, Wojtek Fidała, je poprawiał, a potem we dwóch je reżyserowaliśmy, pod pseudonimem artystycznym złożonym z naszych nazwisk: Yafida.

Sztuki te były głównie o miłości i muzyce, ale szydziliśmy też z absurdów naszej rzeczywistości. Że na przykład, by zostać pochowanym, musisz wykupić miejsce na cmentarzu dwadzieścia lat przed śmiercią. Podobne scenki chcieliśmy wystawić podczas akademii na koniec roku szkolnego. Ale dyrektorka zobaczyła nas na próbie: „Nie ma mowy, na uroczystości będą ważni urzędnicy, tym się mamy pochwalić? Taką – tu użyła nieznanego mi słowa – kontestacją?”.

I co się stało?

I nic, przedstawienia nie było, a ja zostałem licealnym kontestatorem. Na uroczystość wręczenia świadectw maturalnych napisałem sztukę, którą wystawiliśmy przed gronem pedagogicznym. Pamiętam, że peowiec i chemiczka wyszli oburzeni, słychać było odsuwanie krzeseł i trzaskające drzwi. A pomysł na tę sztukę był prosty: w przychodni psychiatrycznej spotykają się pacjenci i opowiadają o swoich dolegliwościach, co ich dopadło, czemu potrzebują pomocy. I tak od słowa do słowa okazuje się, że wszyscy kończyli to samo liceum. I było to nasze liceum.

Wspaniale!

Peowiec miał inne zdanie. Ale moim naprawdę poważnym buntem – moim przeżyciem generacyjnym – był strajk

Sztuką życia jest rozumienie drugiego.

Wiąże się ono z gotowością do wygaszenia siebie.

Z pokorą, która jest uświadomieniem sobie, że nie wszystko da się rozwiązać słowną argumentacją.

studencki w lutym 1981 r. Karnawał Solidarności to był czas istnej odnowy biologicznej, kraj odmłodził, zielenił się. Czułem się wtedy młodszy o ładnych parę lat. Ba, widziałem, że mój ojciec też jakby młodnieje, wraca z pracy podekscytowany i promieniejący. Nigdy wcześniej nie widziałem go tak naenergetyzowanego. Gdy nadszedł grudzień '81 i stan wojenny, to tak jakby ktoś z dnia na dzień powietrze z niego wypuścił.

Z młodymi było podobnie – dostaliśmy nagle możliwość mówienia otwartym tekstem, zobaczyliśmy, jak mnóstwo mamy ze sobą wspólnego i jaką siłę stanowimy. Szybko okazało się jednak, że to, co nas łączy, jest kruche albo iluzyjne. Pamiętam swoje zaskoczenie, gdy na strajku jedna z koleżanek powiedziała mi: „Jak się zacznie ruchawka, to pierwsze pójdzie z dymem nasze osiedle”. Jej osiedle to luksusowa dzielnica willowa. Patrzyła na tę naszą rewolucję z lękiem, którego wtedy nie rozumiałem. Myśmy z tej rewolucji byli dumni, dla niej była zagrożeniem. Na podziały polityczne nakładały się podziały klasowe. Dużo nas dzieliło, ale różnice wydawały się wtedy drugorzędne. Lutowy strajk studencki to dla mnie moment najintensywniej doświadczanego życia.

Do tego strajku przyłączyło się ok. 10 tysięcy studentów łódzkich uczelni, a trwał 29 dni – w tamtym czasie był to najdłuższy okupacyjny strajk studencki w Europie.

Mieliśmy świadomość, że bijemy rekord należący do studentów Sorbony. To w Łodzi toczyły się negocjacje z rządem, przyjechał do nas minister Górski z delegacją – mogliśmy ich wtedy wszystkich zobaczyć w działaniu. O, to było przeży-

cie. Proszę mi wierzyć, pierzchy wszelkie wątpliwości, czy nasz bunt ma sens. Strajk był o tyle szczególny, że wybuchł w czasie przerwy międzysemestralnej – to ważne, bo to znaczy, że ci, którzy przez kilka tygodni zdecydowali się siedzieć na wydziale i spać na podłodze, świadomie rezygnowali z wyjazdu na narty czy odpoczynku w domu.

Na naszym wydziale, a zwłaszcza w instytucie anglistyki, wszyscy wykładowcy stanęli po stronie studentów. By nam urozmaicić tygodnie okupowania budynku, prowadzili z nami seminaria, wygłaszali wykłady, wspierali nas radą i atencją. Studenci ze szkoły filmowej urządzali nam seanse filmowe, pamiętam „Na samym dnie” Jerzego Skolimowskiego, jego pierwszy film nakręcony w Anglii. Cinkciarze przynosili nam papierosy, pewien szewc przywiózł furę na leśników. Czuliśmy, że nie jesteśmy sami.

Dzięki temu protestowi sąd zarejestrował Niezależne Zrzeszenie Studentów – w państwach bloku wschodniego to był ewenement i prawdziwe zwycięstwo.

Domagaliśmy się także zniesienia cenzury, dostępu do książek zakazanych w zbiorach bibliotecznych, zniesienia obowiązku nauki języka rosyjskiego, zniesienia służby wojskowej, przywrócenia do pracy relegowanych z uczelni wykładowców, także ułaskawienia braci Kowalczyków, którzy odsiadywali wyrok za wysadzenie auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, gdzie miała się odbyć milicyjno-esbecka akademicka – jeden dostał wyrok śmierci, drugi 25 lat. Postulatów studenckich było więcej. To była niezła szkoła politycznego myślenia.

A po latach? Ukazuje się książka „Studenti '81” Romana Kowalczyka. Patrę na okładkę, a tam na zdjęciu Jarniewicz. I to wcale nie z palcami ułożonymi w literę V, nie na barykadzie ani nie z transparentem, ale leżący sobie na podłodze obok dwóch koleżanek. Sielsko-anielska scenka rodzajowa. Z jednej strony ucieszyłem się, że oto przechodzę do historii, w końcu poważna książka socjologa ma na okładce fotografię ze mną, a z drugiej strony, jak się wytłumaczę młodym, którym opowiadam, że strajk był wydarzeniem ważnym, wiążącym się jednak z osobistym ryzykiem oraz wymagającym od nas samozaparcia i wysiłku? Bunt ma różne twarze.

Kobiety są też ważnymi bohaterkami Twojej książki „Bunt wizjonerów”. Artystki-kontestatorki, które zaistniały w latach 60., a z czasem odeszły w cień. Symbolicznym przykładem jest Joan Baez, wspaniała wokalistka i aktywistka, która wypromowała nikomu nieznanego Boba Dylana – w końcu on dostał Nobla, a nie ona.

Piszę jeszcze o Yoko Ono, Joni Mitchell, Diane di Prima, Pauline Boty. Te szkice nigdy by nie powstały, gdyby nie wytworzyła się we mnie bardzo osobista i czuła więź z tymi kobietami. Im więcej o nich czytałem, tym bliższe mi się stawały. Nigdy nie miałem okazji spojrzeć na Joan Baez w oczy, ani z nią rozmawiać, a jednak jej historia i historie pozostałych kobiet nie są dla mnie historiami, którym się przyglądam, to biografie, w których uczestniczę. Mam poczucie, że ich życie mówi także coś o życiu moim.

Co mówi?

O ile mężczyźni tamtej epoki, od Warhola po Bowiego, pokazywali, że autentyczność jest fikcją, bo wszystko to sztuczność nad sztucznościami, o tyle te kobiety stoją po stronie życia autentycznego. W niesprzyjających im warunkach pozostawały w trudnej zgodzie z „sobą”, nie bały się ryzyka, płaciły wysoką cenę. A jednocześnie tworzyły, bo były im potrzebne silne więzi z innymi. Uświadamiały mi tym samym wagę szczerości i nonkonformizmu, uczyły, co uznawać za nieistotne, a co za ważne w relacjach z ludźmi.

A co jest ważne w relacjach z ludźmi?

Sztuką życia jest być może rozumienie drugiego, które wiąże się z gotowością do czasowego wygaszenia siebie, a jeszcze bardziej z niełatwą do akceptacji pokorą. Ta z kolei jest uświadomieniem sobie, że nie wszystko da się rozwiązać słowną argumentacją. Być może w relacjach między ludźmi to, co najistotniejsze, jest poza porządkiem logicznego wywodu. Powiem tak: nie zawsze ma rację ten, kto ma rację. Ważniejsze od posiadania racji jest budowanie i podtrzymywanie więzi – to kontrkultura w pigułce. Wyważone racje często mają się nijak do tego, co przeżywa druga osoba, być może ważniejsze dla niej jest coś, co się jej niedawno wydarzyło, co jej zaprzęta myśli, jakieś nieznane nam obrazy, czyjeś głosy.

Przeciw czemu się teraz buntują?

Choćby przeciw temu, że ludzie dzielą ziemię i mówią: to moja własność. Największe koszmary historii wzięły się z traktowania ziemi jako własności.

To jest coś, czego się uczę, obcując z biografiami tych kobiet. I wiem, że przecież w pewien sposób je tworzę. Yoko Ono z mojej książki jest moją Yoko, Joni Mitchell – moją Joni. Tworzę je, bo nakładam na ich wizerunki pamięć kobiet ważnych w moim życiu, uzupełniam ich biografie swoimi wyobrażeniami, pozwalam się odzywać moim nieświadomym potrzebom. Inaczej zresztą pisać nie można.

Porusza historia Joni Mitchell, która jako 20-latką zachodzi w nieplanned ciążę i z powodu zakazu aborcji w Kanadzie decyduje się urodzić córkę, a potem oddać ją do adopcji. Na albumie „Blue” Mitchell zaśpiewa „Little Green”, tekst inspirowany własną historią porzuconego dziecka. W 1997 r. 53-letnia Joni odnajduje 30-letnią córkę. I mimo dobrych chęci z obu stron nie udaje im się odbudować relacji.

Zupełnie się temu nie dziwię. Obce dla siebie kobiety, które nigdy nie miały ze sobą żadnego kontaktu, spotykają się po 30 latach. Co je tak naprawdę wiąże, poza trybami jakiegoś mechanizmu, który mogą uruchomić, ale który nie zawsze zadziała? Bylibyśmy podbudowani, gdyby obie panie odnalazły wspólny język i żyły razem długo i szczęśliwie. Stało się jednak inaczej. Uprzytomnia mi to, że żadne więzi nie są dane z góry, że relacje trzeba tworzyć, a potem je pielęgnować. To, że z kimś wiążą nas geny, jest ważne, ale niczego za nas nie załatwi.

Opisujesz jeszcze jeden matczyno-dziecięcy dramat – Pauline Boty, malarki współtworzącej brytyjski pop-art. Kiedy jest w ciąży, zostaje u niej zdiagnozowany nowotwór.

By chronić dziecko, nie podda się chemioterapii. Kilka miesięcy po urodzeniu córki umiera jako 28-latką.

Była fascynującą postacią i oryginalną malarką. Tyle że koledzy malarze i koledzy krytycy traktowali ją protekcyjnie, widzieli w niej głównie atrakcyjną blondynkę. Po śmierci Boty popadła w zapomnienie, dopiero teraz ponownie się ją odkrywa. Zadaje sobie pytanie, ile takich Boty jest wśród nas – twórczyń, których dorobek wcale nie jest mniej ciekawy niż ich kolegów, a które się lekceważy ze względu na płeć, urodę, blond włosy.

To samo dotyczy Yoko Ono. W powszechnym wyobrażeniu jest dodatkiem do słynnego męża. A przecież, zanim poznała Lennona, była spełnioną artystką. Gdyby nosiła spodnie i miała penisa, gdyby nie była Azjatką, jej dorobek stawiano by obok George’a Maciunasa czy Johna Cage’a, jej przyjaciół z grupy Fluxus. Zależało mi, by napisać szkic o Yoko Ono, samodzielnej artystce, nie wymieniając ani razu nazwiska Lennona. Zasłużyła.

Przeciwko czemu się teraz buntujesz?

Będzie z grubej rury: przeciwko porządkowi świata. Jak tu się nie buntować, kiedy się wie, że są ludzie, którzy zarabiają w ciągu miesiąca tyle, że choćby mieli pięć gęb, przez kilka lat nie zdołają tego przeżyć, a obok mamy obszary niewyobrażalnej nędzy? Nie chodzi mi o to, żeby wszyscy posiadali równo, ale tak absurdalne dysproporcje wywołują sprzeciw.

Ale buntuję się też przeciw kwestiom mniej oczywistym, choćby przeciw temu, że ludzie dzielą ziemię i mówią: to moja własność. Największe koszmary historii wzięły się z traktowania ziemi, pól, lasów, wzgórz, strumieni jako własności. W latach 60. kwitły komuny, w których każdy mógł zamieszkać, jeśli miał ochotę. Ich mieszkańcy wierzyli, że ziemia nie może do nikogo należeć, bo jest dana ludziom, zwierzętom, roślinom. Rozumiem, że można zgłaszać pretensje do własności tego, co się wyprodukowało, ale żeby ziemia była czyjaś własnością, jest dla mnie nie do przyjęcia. To tak, jakbyśmy chcieli sprywatyzować niebo – te chmury należą do mnie, a te do ciebie. To mój bunt głęboko trzewiowy. Tylko nie pytaj mnie, jak należałoby to rozwiązać, →

→ nie mam pojęcia, za daleko zabrnęliśmy w tej paranoi.

Zapytam o coś innego, zawodowego: o bunt tłumacza. Znasz ten stan: czytasz ukochaną książkę i buntujesz się przeciwko fatalnemu przekładowi?

Znam. Czytałem przekład „Buszującego w zbożu” i buntowałem się: tak tego tłumaczyć nie można! To trzeba zrobić inaczej! U źródeł pracy tłumacza leży przekonanie, że dany tekst powinien zaistnieć w innej postaci, że należy go otworzyć – na nowy język, nowy czas, nową wrażliwość. Nie ma takiego tekstu, do którego nie miałbym, ze swoją interpretacją, wstępu. Święte teksty, choćby Biblia, były często bronione przed tłumaczami. Ale nie tylko Biblia. Istnieją tłumacze, którzy mają zastrzeżoną wyłączność na określonych autorów i nie pozwalają innym ich przekładać, mimo tego, że od ostatniego przekładu minęły dziesięciolecia, że pojawiły się nowe pokolenia tłumaczy, że zmieniła się polszczyzna. Nie mieści mi się w głowie, że ktoś mógłby bronić dostępu do Homera, bo to jego „autor”! To prędzej czy później się skończy – wierzę w to. Taka jest misja tłumaczy. Przypominają nam, że literatura, od Sofoklesa po Becketta, tak jak cała kultura należy do nas wszystkich.

I jak ziemia, o której przed chwilą mówiłeś.

Tłumacze są jak klucznicy, którzy otwierają wszystkie drzwi literatury i zapraszają do środka, mówiąc: „Wchodźcie i bierzcie z tego wszyscy. Wyjdźcie wzbogaceni tym, co uznacie dla siebie za ważne. I opowiadajcie o tym swoimi słowami, opowiadajcie tak, jak sami to rozumiecie”. W literaturze nie ma miejsca dla nadzorców ani celników – tego uczą nas tłumacze. W literaturze nie ma jednej ani ostatecznej prawdy – to także nauka wpływająca z przekładów. Dlatego tłumacze, ci buntownicy współczesnej kultury, to zły sen każdej autorytarnej władzy próbującej założyć obywatelom wędzidlą, narzucić im swoją wizję świata, a bogactwa kultury pozamykać w prywatnych sejfach. Jestem przekonany, że od tłumaczy zależy nasza najgłębiej rozumiana wolność.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA



MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Andrzej Wróblewski, *Matki (Antyfaszystki)*, 1955 r.

Sztuka sprzeciwu

PIOTR KOSIEWSKI

Jaki jest sens zaangażowania politycznego artystów? Czy i jak twórcy mają reagować na zło, przemoc i nienawiść?

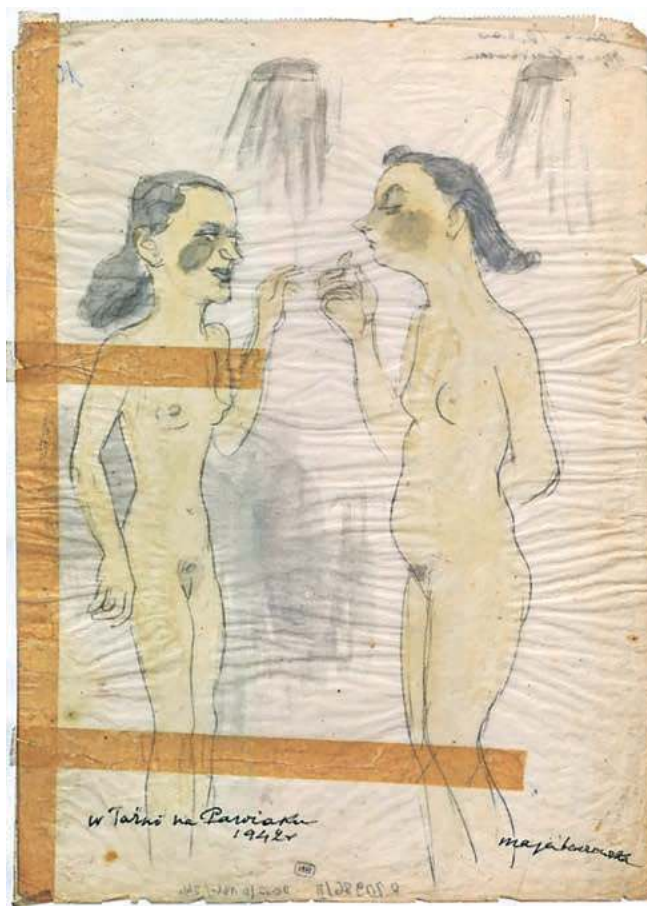
WYSTAWA „NIGDY WIĘCEJ. SZTUKA PRZECIW WOJNIE I FASZYZMOWI W XX I XXI WIEKU” – zorganizowana w 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej – przywołuje trzy okresy i związane z nimi wydarzenia: lata 30. ubiegłego stulecia i powstanie „Guerniki” Pabla Picassa, lata 50. i wystawę w warszawskim Arsenale oraz czasy nam współczesne. Wspólnym mianowni-

kiem dla tych wszystkich okresów jest sprzeciw wobec faszyzmu.

W Muzeum Sztuki Nowoczesnej pokazano historię antyfaszyzmu w sztuce, jednak – przede wszystkim – podjęto próbę odpowiedzi na pytanie o znaczenie i siłę tej tradycji dzisiaj. „Dlaczego antyfasyzm jako doświadczenie uniwersalizowane, jako pokojowy fundament życia społecznego stracił swoją skalającą moc?”



Leopold Lewicki, *Pogrzeb III klasy*, 1932 r.



Maja Berezowska, *W łaźni na Pawiaku*, 1942 r.

– pytają autorzy ekspozycji. „Czy przestaliśmy bać się wojen i przemocy jako podstawowego zagrożenia naszego istnienia? Czy antyfaszyzm skończył się wraz z komunizmem, z którym był mocno związany zarówno w latach 30., jak i 50.? I czy da się w związku z tym skutecznie go kontynuować w ramach tradycji demokratycznych: liberalizmu, socjaldemokracji?”.

Wszystkie te pytania dalece wykraczają poza obszar sztuki. Co więcej, w każdym z przywołanych przez twórców czasów artyści tworzyli w odmiennych okolicznościach politycznych, społecznych i kulturowych, odmienny był zakres ich wolności twórczej, wreszcie – sam faszyzm był różnie definiowany.

Lata 30.

Pierwsza część wystawy wydaje się najbardziej czywista. To w latach 30. antyfaszyzm staje się odpowiedzią na sytuację w Niemczech, Włoszech, Hiszpanii i innych krajach, także naszego regionu. Dziełem zaś symbolicznym dla tego czasu jest obraz Picassa. W Muzeum Sztuki Nowoczesnej nie zobaczymy samej „Guerniki”, na stałe wystawianej w madryckim

Centro de Arte Reina Sofía. Są natomiast zdjęcia Dory Maar, pokazujące fazy jej powstawania od 1 maja do 4 czerwca 1937 r. w pracowni Picassa. To unikalne świadectwo, pokazujące poszukiwanie artystycznego kształtu tego niezwykłego obrazu, odradzającego – na chwilę – wielką tradycję malarstwa historycznego, a jednocześnie na wskroś aktualnego.

„Cała polityka – cała odpowiedź na faszyzm i komunizm i nową twarz wojny – była w tym obrazie” – pisał o „Guernice” brytyjski historyk sztuki i pisarz T.J. Clark. Na tym jednym płótnie udało się malarzowi pokazać konkretne wydarzenie, a jednocześnie przedstawić grozę współczesnej wojny. „Guernica”, po wystawieniu w hiszpańskim pawilonie na Wystawie Światowej w 1937 r. w Paryżu, a następnie podróży po Europie i Stanach Zjednoczonych, stała się najbardziej znanym antywojennym wyobrażeniem w XX wieku.

Na warszawskiej wystawie obraz Picassa pojawia się jeszcze dwukrotnie. Została pokazana jego pomniejszona kopia autorstwa Wojciecha Fangora, która była elementem antyfaszystow-

skiej dekoracji Warszawy podczas Festiwalu Młodzieży w 1955 r. Jest też praca Goshki Macugi. Artystka przyglądała się dziełom „Guerniki” oraz gobelinu wykonanego na jej podstawie na zamówienie Nelsona Rockefellera. Został on umieszczony w głównej siedzibie ONZ w Nowym Jorku tuż przy wejściu do sali Rady Bezpieczeństwa. W tym szczególnym miejscu ma przypominać o grozie wojny.

5 lutego 2003 r. został jednak na chwilę zasłonięty: bo w tym właśnie pomieszczeniu miała się odbyć konferencja prasowa z udziałem Colina Powella, ówczesnego amerykańskiego sekretarza stanu, na temat wojny w Iraku. Dzieło, „oswojone” i „zneutralizowane”, nagle okazało się niewygodne. To była jednak sytuacja wyjątkowa. Goshka Macuga przypomina, jak szybko praca Picassa weszła do mainstreamu, a nawet stało się częścią kultury masowej. Zaprojektowany przez nią gobelin pokazuje konferencję prasową zorganizowaną pod gobelinową wersją „Guerniki” przez księcia Williama. To wydarzenie rzeczywiście miało miejsce – odbyło się Whitechapel Gallery w Londynie →

→ w 2009 r., w której wystawiano tkaninę. Brutalny obraz wojny okazał się pożądanym tłem dla PR-owskiego eventu.

Wystawa pokazuje też twórczość artystów związanych w latach 20. i 30. z ruchem robotniczym z weimarskich Niemiec, Stanów Zjednoczonych i Polski (przede wszystkim członków Grupy Krakowskiej). Są tu m.in. prace na papierze George'a Grosza czy świetne kolaże Johna Heartfielda, jednego z najbardziej radykalnych artystów, które, jak podkreśla Sabine Kriebel, „nie tylko dały twarz narodowemu socjalizmowi, ale również pokazały, jak z nim walczyć”. Drażniące, ostre. Niektóre do dziś przejmujące, jak „Normalizacja”, która pokazuje takie przycinanie wielkiej drewnianej swastyki, by upodobniła się do krzyża, znaku powszechnie akceptowanego – rządy nazistów, nie tylko w Niemczech, dla wielu stają się czymś zwyczajnym. Praca powstała w 1936 r. Dwa lata później miała miejsce Noc Kryształowa.

Wszystkich tych twórców łączy przywiązanie do figuracji, która to – a nie język sztuki abstrakcyjnej – okazała się lepszym narzędziem dla artystów zaangażowanych politycznie. Łączy ich też coś innego: związki z komunizmem. Na wystawie jest też jednak inny przykład sztuki antyfaszystowskiej – prace Mai Berezowskiej, która w latach 30. stworzyła m.in. cykl karykatur „Hitler intime et les amours du süsse Adolf” opublikowany w magazynie „Ici Paris”. Owe miłostki słodkiego Adolfa wywołały skandal, artyście wytoczono proces, a w czasie wojny została przez Niemców aresztowana i potem trafiła do obozu koncentracyjnego. W Muzeum Sztuki Nowoczesnej można zobaczyć wstrząsające rysunki z tego czasu – z życia codziennego na Pawiaku, a potem w Ravensbrück.

Prace Berezowskiej przypominają, że antyfaszyzm miał wówczas różne oblicza, nie tylko komunistyczne. To ważne, bo do dziś kluczowym jest pytanie: czy antyfaszyzm był obroną systemu demokratycznego, sprzeciwem wobec ideologii faszystowskiej w jej różnych odmianach, czy też podstawowym wrogiem był dla niego system kapitalistyczny i wynikające z niego niesprawiedliwości? I związane z nim pytanie o sam faszyzm: czy był antydemokracją – jak podkreśla Krzysztof Pomian w publikacji towarzyszącej wystawie – czy też antymarksizmem?

„Przeciw wojnie – przeciw faszyzmowi”

Kluczowym punktem drugiej części wystawy jest rok 1955 i zorganizowany w Warszawie V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów, wielka impreza propagandowa z udziałem gości z całego świata. Spotkanie to, mające w założeniu przestrzegać przez powrotem faszyzmu, a jednocześnie być świętem „proletariackiego internacjonalizmu”, wpisało się w historię polskiej Odwilży. „Przyjechali ze świata kolorowi młodzi ludzie, którzy tańczyli, śmiali się, byli gotowi dyskutować na każdy temat, nie bali się żadnych tabu” – pisał po latach Jacek Kuroń. I dodawał, że Festiwal ujawnił „zakłamanie i fałsz tego stylu życia, który był lansowany jako postępowy”.

Wystawa skupia się na innych wymiarach tego wydarzenia. Pokazuje, jak piszą jej twórcy, „korupcję narracji antyfaszystowskiej”. Staje się ona narzędziem w bieżącej walce politycznej z „kapitalistycznym imperializmem”. Jednak przede wszystkim wydobywa paradoksy tego czasu.

Główną osią tej części ekspozycji stał się towarzyszący Festiwalowi pokaz w Arsenale, czyli Ogólnopolska Wystawa Młodej Plastyki „Przeciw wojnie – przeciw faszyzmowi”. Przeszła do legendy jako ta, która „uwolniła sztukę w Polsce”. Jednak wystawiający na niej młodzi twórcy nadal pozostawali wierni realizmowi, chociaż inaczej niż w socrealizmie go definiowali. Chcieli mówić o wojnie, o jej dramacie. Na wystawie znaleźli się m.in. „Napiętnowani” (1955) Marka Oberländera, przejmujący obraz Zagłady, tematu nieobecnego w oficjalnej sztuce realizmu socrealistycznego, czy obrazy przedwcześnie zmarłego Waldemara Cwenarskiego. Obrazy Andrzeja Wróblewskiego także przypominają o wojnie. Jednak przede wszystkim opowiadają o rzeczywistości pomijanej w oficjalnej narracji, widzianej z perspektywy pojedynczego człowieka, świata opisanego m.in. w „Poemacie dla dorosłych” Adama Ważyka, opublikowanym zresztą w trakcie Festiwalu Młodzieży.

Arsenał okazał się punktem granicznym dla sztuki w Polsce. Pokazywał odmienną od reprezentantów tradycji awangardowej reakcję na socrealizm. Wydarzeniem zamykającym długą tradycję krytycznego realizmu. Okazuje się jednak, że można inaczej spojrzeć na wy-



stawę arsenalową. Była ona – przekonują autorzy ekspozycji w Muzeum Sztuki Nowoczesnej – odejściem od „oficjalnej retoryki komunistycznego państwa do języka praw człowieka, będącego fundamentem społeczeństw demokratycznych”. Wystawa z 1955 r. byłaby zatem jednym z etapów polskiego rewizjonizmu.

Antyfaszyzm?

Ostatnia część wystawy dotyczy współczesności. Nikita Kadan wraca do wydarzeń z czasów II wojny. W rysunkach prezentowanych w Muzeum Sztuki Nowoczesnej przypomina o lwowskim pogromie w 1941 r. Pokazuje sceny bicia, znęcania się nad ofiarami. Artysta stawia pytania o pamięć o tych dramatycznych wydarzeniach, o ich znaczenie dla nas dzisiaj. Wilhelm Sasnal w swych obrazach przywołuje antyfaszystowskie hasła i symbole z czasów zimnej wojny, język ówczesnej propagandy i sztuki, ale też na



MUSEO NACIONAL CENTRO DE ARTE REINA SOFIA, MADRYT

Dora Maar, *Raport z ewolucji Guerniki [stadium I], 1937 r.*

wystawie znalazły się grafiki wykonane dla Nigdy Więcej, przestrzegające przed neofaszyzmem (wspierające działalność tego Stowarzyszenia).

Hito Steyerl w filmie wideo „Babenhausem” (1997) dokumentuje wydarzenia, do jakich doszło w niewielkiej miejscowości w Hesji. W 1993 r. spalono tam dom Toniego Abrahama Merina. Wcześniej tego ostatniego Żyda w Babenhausem zmuszono do opuszczenia Niemiec. Powtórzyły się wydarzenia sprzed pół wieku. W czasach nazizmu miasto także oczyszczono z niepożądanych mieszkańców. Są wreszcie plakaty zaprojektowane przez znanego fotografa Wolfganga Tillmansa, który używając korporacyjnej estetyki oraz popularnych dziś sposobów dotarcia do odbiorcy, od billboardów po media społecznościowe, zorganizował kampanię zachęcającą do udziału w ostatnich wyborach do Parlamentu Europejskiego tych, którzy sprzeciwiają się populizmowi czy zapędom autorytarnym.

Prace zebrane na wystawie dotyczą bardzo różnych kwestii – od pytania o pamięć zbiorową i rozliczenia z przeszłością, poprzez ukazywanie współczesnego antysemityzmu, rasizmu i ksenofobii, po aktywizm i przeciwdziałanie politycznemu populizmowi. Czy wspólnym mianownikiem może być antyfaszizm? „Nigdy więcej” jest częścią Roku Antyfaszystowskiego, ogólnopolskiej inicjatywy instytucji publicznych, organizacji pozarządowych, ruchów społecznych, twórców, aktywistów i aktywistek. Ma przypomnieć historię ruchów antyfaszystowskich, ale też być sprzeciwem wobec obecności w sferze publicznej ruchów postfaszystowskich oraz apologii faszystowskich idei.

Akcja ta może imponować. Już teraz obok ekspozycji w Muzeum Sztuki Nowoczesnej można zobaczyć chociażby wystawy „Trzy plagi” w Galerii Labyrint w Lublinie, „Strajk” z pracami m.in. Käthe Kollwitz w warszawskiej Zachęcie

czy „Po/wy/miary” zorganizowaną we wrocławskim Pawilonie Czterech Kopuł. Pozostaje jednak pytanie o używanie słów „faszyzm” i „antyfaszyzm”. Czy są adekwatne do obecnej sytuacji? Jakiekolwiek zjawiska, postawy i idee są tymi słowami opisywane? Nie można też zapominać o historycznych obciążeniach. Bo – jak przypominają twórcy „Nigdy więcej” – antyfaszyzm był jednym z najbardziej skutecznych narzędzi propagandowych i ideologicznych komunistów rządzących w ZSRR, a po II wojnie także w Europie Środkowej. Wreszcie, bywa dziś wykorzystywany chociażby przez putinowską Rosję. Jak zwracał uwagę Timothy Snyder w wywiadzie dla „Tygodnika”: „faszyzm i antyfaszyzm to bardzo funkcjonalne pojęcia. Pozwalają powiedzieć: my jesteśmy tymi dobrymi, a reszta świata to owi źli”.

Czy należy porzucić te słowa? Bo używano je w czasach, w których dokonano niewyobrażalnych zbrodni? Nie wolno ignorować pytań o zasadność budowania historycznych analogii oraz ich przydatność do opisanie i zrozumienia obecnej sytuacji. Bywało też, że etykiety „faszyzm”, „faszystowskie” służyły do delegitymizacji niepopularnych czy niewygodnych poglądów – o czym pisało wielu przedstawicieli prawicy. Jednak faktem jest, że dziś mamy do czynienia ze wzrostem postaw nacjonalistycznych, rasistowskich, antysemickich czy antyimigranckich. Z ciągłymi autorytarnymi rządzącymi, także w państwach UE.

W Polsce sprzeciw wobec równouprawnienia kobiet, homofobia czy islamofobia stają się – inaczej niż na Zachodzie – trzonem tożsamościowym części prawicy. Jak przypominała niedawno Anna Wolff-Powęska, „rozpoznanie w porę groźby totalitarnej utrudnia fakt, że totalitaryzm powstaje w nietotalitarnym systemie”. Kultura – o czym przypomina wystawa w Muzeum Sztuki Nowoczesnej – może wymusić dostrzeżenie tego, czego nie widzimy lub nie chcemy zobaczyć, uznając, że nas te wszystkie problemy po prostu nie dotyczą.

© PIOTR KOSIEWSKI

NIGDY WIĘCEJ. SZTUKA PRZECIW WOJNIE I FASZYZMOWI W XX I XXI WIEKU,

Warszawa, Muzeum Sztuki Nowoczesnej, wystawa czynna do 17 listopada br., kuratorzy: Sebastian Cichocki, Joanna Mytkowska, Łukasz Ronduda, Aleksandra Urbańska.



Aga Derlak, Katowice, sierpień 2018 r.

Gram, jak mówię

KAJETAN PROCHYRA Z NOWEGO JORKU

Aga Derlak koncertuje w Nowym Jorku, ale mieszka dziś w Panama City. Komponuje, nagrywa, prowadzi zajęcia w szkole podstawowej, ucząc dzieci zagrożone wykluczeniem społecznym.

AGA Z CHEŁMA MIAŁA 9 LAT I CHCIAŁA grać jazz. Imponowała jej płytoteka ojca – a może jeszcze bardziej jego wisząca na ścianie kolekcja gitar, mandolin i banjo. Był rok 2000. Choć wchodziliśmy już w epokę internetu, nie było jeszcze YouTube’a – nie można było jednym kliknięciem oglądać Carli Blay przy fortepianie, Terri Lyne Carrington szalejącej za zestawem perkusyjnym ani genial-

nej jazzowej skrzypaczki Reginy Carter, ani prowadzącej własną orkiestrę Marii Schneider.

„Ta zabawa nie jest dla dziewczynek” – mogła pomyśleć za Lechem Janerką Aga. Schowała więc gdzieś głęboko swoje jazzowe marzenia, a w szkole muzycznej grała na, ponoć bardziej dla niej odpowiednim, flecie poprzecznym. Dziś spacerujemy razem wzdłuż rzeki Hudson w Nowym Jorku. Za kilka godzin Aga Derlak Quintet zagra koncert w Dizzy’s Jazz Club – jednym z najsłynniejszych klubów jazzowych na świecie.

Nazwa klubu Dizzy’s nawiązuje oczywiście do pseudonimu wielkiego jazzowego trębacza i bandleadera Dizzy’ego Gillespie. Jego zdjęcie wisi zresztą nad biurkiem strażnika, pilnującego służbowego wejścia do klubu. Gdy zyskamy jego przychyłność, pozwoli nam wjechać na piąte piętro wieżowca przy Columbus Circle na Manhattanie. To wystarczy, by z wysokich od sufitu do podłogi okien klubu podziwiać korony drzew Central Parku i zapierającą dech panoramę Manhattanu. Jesteśmy na dachu jazzowego świata. Aga Derlak przygotowuje się do koncertu. Na scenie towarzyszą jej koledzy z Bostonu. Tam pod koniec czerwca pianistka odebrała dyplom Berklee

Global Jazz Institute. Na pulpitach nutowych nowe kompozycje Agi. Liderka nawiguje kolegów po swoim muzycznym świecie. Kończą ostatnie poprawki i ustalenia. Kiedy słońce zachodzi, klub napętnia się gośćmi.

First Thoughts

– Proszę mnie o to nie pytać, bo wtedy robi mi się smutno – żartuje Aga Derlak, gdy pytam ją, gdzie jest dziś jej miejsce. Urodziła się i wychowała w Chełmie, w województwie lubelskim. Potem uczyła się w Warszawie. Tam, za namową Marcina Lutrosińskiego, nauczyciela w szkole muzycznej przy ul. Bednarskiej, postanowiła spróbować zrealizować swoje marzenia o jazzowym fortepianie.

– Dostrzegł we mnie pasję, bo umiejętności to jeszcze wtedy nie było zbyt wiele – wspomina Aga – Był rok 2011. Oczywiście jakieś podstawy pianina miałam, ale zaczynałam praktycznie od zera. Byłam najgorsza ze wszystkich. To dzięki prof. Lutrosińskiemu postanowiłam jednak brnąć w tym kierunku, rzucić flet i postawić wszystko na jedną kartę.

W decyzji pomogło także to, że Aga zaczęła mieć wokół siebie innych muzyków jazzowych – tak rówieśników, z którymi po roku nauki założyła swoje

Aga Derlak Trio, jak i mistrzów, jak Zbigniew Namysłowski. Aga zaczęła dawać koncerty, brać udział w festiwalach i zdobywać nagrody. Laur na festiwalu Jazz Juniors w Krakowie, połączony z nagrodą na festiwalu w Gdyni, pozwolił na wydanie jej pierwszej płyty – „First Thought”. Album przyniósł jej w 2016 r. Fryderyka za jazzowy fonograficzny debiut roku.

Zero Gravity

Pianistka postanowiła kontynuować naukę. Po studiach w Instytucie Jazzu w Katowicach przyszedł czas na kolejną przeprowadzkę. Tym razem do Bostonu. Aga została przyjęta do elitarnego Global Jazz Institute: międzynarodowej szkoły jazzu założonej przez Danilo Pereza – wybitnego pianistę, znanego choćby z kwartetu wielkiego Wayne’a Shortera. Roczny kurs w Berklee jest w pewnym sensie rozwinięciem muzycznej filozofii kwartetu, której kolejne etapy sygnują tytuły płyt: „Beyond the Sound Barrier” (poza barierą dźwięku) i „Without a Net” (bez asekuracji).

– W muzyce musi dziać się wolność. To może brzmieć trywialnie, ale wszyscy na moim roku musieliśmy nauczyć się przełamywać nasze przyzwyczajenia i lęki. Zaczynaliśmy od na pozór prostych ćwiczeń: perkusista miał grać na zestawie perkusyjnym z bębnami pozamianianymi miejscami. Ja grałam na fortepianie z kłapą opartą na moich dłoniach, więc nie widziałam, co gram. Kontrabasista miał przestrojone struny – wylicza pianistka. To duża zmiana dla młodych ludzi, którzy przez lata uczeni byli wydobywać ze swoich instrumentów jak najpiękniejszy, czysty, „właściwy dźwięk”.

– Mamy naturalną tendencję do wybierania ścieżek, które znamy. Danilo Perez uczył nas wychodzić ze strefy komfortu, eksplorować własne możliwości, uczyć się kreatywności. Wszystkie błędy, które popełniamy na naszej drodze, są tylko i wyłącznie motorem do zmian. Podążając tylko tymi wydeptanymi ścieżkami, zamykamy sobie dostęp do nowych, dotąd nieodkrytych miejsc. Ten koncept Danilo nazywa Zero Gravity.

Nauka w Global Jazz Institute to przede wszystkim lekcje mistrzowskie z wybitnymi twórcami współczesnej sceny jazzowej.

– Ben Street, John Patitucci, Joe Lovano, Dave Liebman – wymienia Aga Derlak. – To są takie nazwiska, że aż się ma gęsia

skórkę... Spotykaliśmy się dwa razy w tygodniu po dwie godziny. Czasem graliśmy, ale często po prostu bardzo dużo dyskutowaliśmy. To jest dla mnie niebywale cenne, by poznać, jakie takie osobyści mają poglądy, nie tylko na muzykę, ale i na życie, na to, co się dzieje wokół nas – wspomina pianistka. – Bardzo dużo rozmawialiśmy o tym, czy muzyka może zmienić świat. I oczywiście brzmi to jak bardzo górnolotne, dęte hasło, ale z Danilo przekładaliśmy to na bardzo podstawowe elementy. Bycie muzykiem jest pozycją niesamowicie uprzywilejowaną – możemy stawiać na scenie, występować przed ludźmi i prezentować nie tylko naszą grę, ale też nasze wartości, przemyslenia, dzielić się tym, co mamy wewnątrz: sercem i pasją. Dyskutowaliśmy o tym, czy możemy naszą artystyczną działalność przekuć w pewnego rodzaju misję.

Danilo Perez – wyróżniony przez UNESCO tytułem Artysta dla Pokoju – poza prowadzeniem swojego wydziału w Berklee, założył w rodzinnym Panama City w Panamie fundację. Wraz z żoną Patricią organizują tam festiwal jazzowy, a przede wszystkim prowadzą szkołę.

Misja

Aga Derlak mieszka dziś w Panama City. Z jej mieszkania rozciąga się widok na ocean. Mogłaby powtórzyć za Misiem i Tygrysiem z książki Janoscha: „Ach, jak cudowna jest Panama”. Jednak dobrze wie, że to miasto pełne sprzeczności i nierówności. Szklane drapacze chmur sąsiadują z dzielnicami skrajnej biedy.

– Napięcia łagodzi mentalność mieszkańców. Ich otwartość, to, że wszędzie słychać salsę, wszyscy tańczą, grają, śpiewają – uśmiecha się pianistka.

Od września do grudnia jest nauczycielką muzyki w fundacji Danilo i Patricii Perezów.

– Po prostu uczę muzyki: gry na fortepianie, prowadzę zespoły. Moim zadaniem jest przekazać uczniom podstawy, które profesjonalny muzyk powinien mieć, ale z drugiej strony dbam o to, by nie zgubili błysku w oczach. Nie mówię moim uczniom: „Musisz robić to i to”, tylko: „Hej, patrz, jakie to jest świetne! Jaka ta progresja jest ekstra! Zobacz, jaką super melodię możesz na niej zbudować! Jaką nową przestrzeń ona przed tobą otwiera! Zbadaj ją!”.

Aga prowadzi też zajęcia z umuzykalniania w szkole podstawowej, ucząc

dzieci zagrożone wykluczeniem społecznym. Razem słuchają muzyki, grają, uczą się dyrygowania. Pewnego razu Aga włączyła im album „Miles Smiles” kwintetu Davisa. Dzieci miały wskazać fotografie z kolekcji „National Geographic”, które kojarzą im się z muzyką przez trębacza zatytułowaną „Orbits”.

– Najpierw dzieci zdębiały, ale po chwili to ja byłam w szoku. Na wybranych przez nich fotografiach był zarówno uliczny protest, jak i abstrakcyjne, artystyczne fotografie brył architektonicznych. Te skojarzenia naprawdę były trafne: odzwierciedlały esencję tej muzyki. Protest, społeczny aspekt i szukanie abstrakcji, nowych ścieżek. To jest jazz!

New Thoughts

Nowy Jork. Na scenie Dizzy’s Jazz Club pojawia się Piotr Turkiewicz, dyrektor artystyczny wrocławskiego festiwalu Jazztopad. Od pięciu lat to właśnie on zaprasza do Nowego Jorku młodych polskich improwizatorów, by na własnej skórze przekonali się, jak gra się jazz w jego światowej stolicy. Na scenę wchodzi Aga Derlak Quintet.

Aga gra jak mówi. W jej głosie, jak i w brzmieniu jej fortepianu, słychać uśmiech, zabawę, lekkość. Jej nowe kompozycje inspirowane są po części muzyką polską. Do tego zachęcił ją Danilo Perez. Nostalgia i liryzm polskiej klasyki spotyka się z żywą, taneczną, nieprzewidywalną nutą jazzu i muzyki Panamy. W garderobie pianistka śmieje się: – Nie mogę uwierzyć, że zagrałam na scenie, z której transmisje tyle razy oglądałam w internecie!

Po koncercie w Nowym Jorku Aga wróciła do Panamy. Na jej Instagramie oglądać można krótkie relacje z prób jej panamskich zespołów. Komponuje, frajdę sprawia jej teraz aranżowanie muzyki na instrumenty smyczkowe. Praca nauczyciela kazała jej uporządkować własną muzyczną wiedzę: nieustannie kwestionować to, co sama dotąd uważała za oczywiste.

Przestała traktować perfekcjonizm jako synonim profesjonalizmu. – Bycie muzykiem jest dla mnie szukaniem wolności, nowości, świeżości. Interesuje mnie budowanie relacji: czy to poprzez granie, czy to przez rozmowę. Chcę oddawać to, co sama dostawałam od życia. Taka jest moja misja i filozofia.

© KAJETAN PROCHYRA

Księżowski freestyle

ANITA PIOTROWSKA

Nowy film Jana Komasy sięga do współczesnej przypowieści ewangelicznej i pytając „co z tym klerem?” przygląda się z bliska rodzimemu katolicyzmowi w jego ludowym wydaniu.

WEDLE RELACJI Z PLANU FILMOWEGO, kiedy w podkarpackich Jaślich kręcono zdjęcia do „Bożego Ciała”, chodzący w koloratce aktor Bartosz Bielenia brany był przez miejscowych za autentycznego kapłana. Jak na ironię, w najnowszym filmie Jana Komasy („Sala samobójców”, „Miasto 44”) gra on księdza udawanego – czyżby ten biały kołnierzyk miał aż tak wielką moc, że był w stanie przebić się przez podwójne nawet przebranie? Grubymi nićmi szyta mistyfikacja okazuje się jednak tylko zazwyczaj opowiedzianej w filmie historii. Z rozpędu można by ją nazwać antytezą „Kleru”, gdyby nie to, że podobnie jak dramat Wojciecha Smarzowskiego sięga do współczesnej przypowieści ewangelicznej, i pytając „co z tym klerem?” jednocześnie przygląda się z bliska rodzimemu katolicyzmowi w jego ludowym wydaniu.

Jest jednak różnica zasadnicza. Nagrodzony w Wenecji i Gdyni, reprezentujący dziś Polskę w oscarowych zmaganiach tytuł skłania widzów do przemyślenia na nowo zarówno swojej religijności, jak i antyreligijności. Dlatego zdecydowanie bliżej mu do minimalistycznego w środkach i empatycznego w wyrazie kina braci Dardenne niż do ostrych, bolesnych diagnoz w wykonaniu twórcy „Wesela” czy Małgorzaty Szumowskiej

w „Twarzy”. Co bowiem istotne, nie ma w spojrzeniu Komasy żadnego poczucia wyższości, w formie czy to kąśliwej satyry, czy moralnej nagany.

Kiedy Daniel po wyjściu z poprawczaka zamiast zakładu stolarskiego wybiera małomiasteczkową plebanie, kamera przejmując nieco jego punkt widzenia: natchnionego, choć samozwańczego kaznodziei, który ucieka się do podstępów, by przejąć rząd zagubionych dusz. Oczywiście, mając w tyle głowy kryminalną przeszłość bohatera, brutalne sceny z domu poprawczego tudzież chwilowe zachłystanie się wolnością (impreza, kreska białego proszku, szybki seks), można przez chwilę podejrzewać, że chodzi o czysto materialną uzurpację. Zwłaszcza, że dotychczasowy proboszcz (Zdzisław Wardejn) zdążył wygodnie się umościć na księżowskiej doli i to właśnie jego nadmierna słabość do pigwówki stwarza okazję, ażeby Daniel zajął jego miejsce na ołtarzu, w konfesjonale i między ludźmi.

Niewiarygodne? Naciągane? Zbyt umowne? Na poziomie suchego streszczenia pewnie tak, jednakże Komasa i Mateusz Pacewicz, autor scenariusza, a wcześniej reportażu „Kamil, który księdza udawał” („Duży Format” 2014) potrafią nakreślić dla tej historii przekonujące tło, powołując do życia zamkniętą, strau-



matyzowaną społeczność, która z żałoby uczyniła swoją religię. Przede wszystkim perspektywę i ostrość ustawia w tym filmie sam Bielenia. Ostrzyżony na krótko, androgyniczny z wyglądu aktor, znany dotąd głównie z teatru i zaprawiony już w księżowskich rolach, nadaje swojej postaci niepokojącą wieloznaczność i charyzmę. Ze swoim szklistym, nieruchomym wzrokiem bywa demoniczny i święty, nieporadny i porywający, współczujący i gniewny. Bywa podejrzany (bo tak traktuje go kościelna grana przez Aleksandrę Konieczną), a zarazem pożądaný (przez jej córkę, dziewczynę po przejściach, odtwarzaną przez Elżę Rycembel). Jego wytatuowane, poorane bliznami i często eksponowane przed kamerą ciało może, choć przecież nie musi kojarzyć się z męką Chrystusa. Gdy pod kapliczką upamiętniającą tragiczną śmierć młodych ludzi w wypadku samochodowym „ksiądz Tomasz” próbuje zrytualizować zbiorowy ból czy gniew, jest niczym psychoterapeuta, szaman i zaangażowany społecznik jednocześnie. Jego improwizowane kazania brzmią niczym chrześcijański *freestyle* – może właśnie dlatego tak łatwo znajdują bezpośrednie podłączenie do serc słuchaczy.

Albowiem Daniel intuicyjnie wyczuwa potrzeby i frustracje wspólnoty, zanie-

W Sądzie Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku, I Wydział Cywilny, toczy się postępowanie, sygn. I Ns 950/18, z wniosku Spółdzielni Mieszkaniowej „Skarbek” w Łęcznej, o stwierdzenie nabycia spadku po Zdzisławie Piotrze Kuśnierzu, s. Jana i Marii, zm. 2 lutego 2004 r. w Jaszczowie, oraz Lili Janinie Kuśnier, z d. Ozga, c. Władysława i Stanisławy, zm. 5 maja 2015 r. w Łęcznej, ostatnio stale zamieszkałych w Łęcznej przy ul. Górniczej 10/6.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, w szczególności spadkobierców Zdzisława Kuśnierza i Lili Kuśnier, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE



KINO ŚWIAT / MATERIAŁY PRASOWE

Bartosz Bielenia jako ks. Tomasz w filmie „Boże Ciało”

dbane czy prześlepione dotychczas przez instytucjonalny Kościół. Grając księdza, którym legalnie nie mógłby zostać z racji swego burzliwego życiorysu, dociera do jakiejś utopijnej istoty kapłaństwa. Zwracając się ku najbardziej podstawowym przekazom religii chrześcijańskiej, pomaga przepracować rządzące małomiasteczkową codziennością pierwotne mechanizmy: napiętnowania, odrzucenia, wyparcia, ślepego odwetu. Ich główną ofiarą pada w filmie wdowa po kierowcy odpowiedzialnym za śmierć nastolatków (w tej roli Barbara Kurzaj), pozbawiona prawa do pochówku na miejscowym cmentarzu. Tytułowe Boże Ciało, które ma być świętem celebrującym obecność Chrystusa w eucharystii, staje się w filmie Komasy procesją osieroconych Polaków, uwięzionych w podwójnej moralności i postfeudalnych zależnościach, szukających choćby namiastki duchowego przewodnictwa, bo samodzielnie niezdolnych do wypełnienia „ciałem” powtarzanych w kościele formuł.

Intensywna, cielesna obecność Bielenia na ekranie, jak i „księdza Tomasza” w życiu lokalnej społeczności, staje się synonimem wcielenia, rozumianego w sensie religijnym. Równocześnie trudno do końca rozgrzyźć i przygwoździć tę postać, która nosi w sobie potencjał mesjański,

choć ostatecznie zostaje on przekierowany czy wręcz unicestwiony. „Każdy z nas jest kapłanem Chrystusa” – słowa księdza granego przez Łukasza Simlata, który w placówce resocjalizacyjnej czuwał nad religijnym przebudzeniem Daniela, pozostają w ewidentnym rozżewie z dominującym w filmie przesłaniem, że księdzem może być dzisiaj każdy, byle ukończył seminarium. Dostrzeże to w końcu – ale czy naprawdę zrozumie? – wysłany na odwyk „legalny” proboszcz. Naznaczy to – ale czy na trwałe odmieni? – tutejszych parafian. Twórcy dopisują tej historii kolejne zakończenia, zwodzą konwencjonalnym napięciem (oszustwo musi kiedyś wyjść na jaw), igrają z przeznaczeniem uosabianym przez postać Pinczera (Tomasz Ziętek), czyli prześladowcy Daniela z poprawczaka. Wreszcie, co najbardziej „Bożemu Ciału” służy, nieustannie odwracają i rozszepiają wektory poszczególnych racji. Nie pozwalają widzowi okopać się na wygodnej pozycji kogoś, kto przejrzał na wylot tę zbiorową „grę w księdza” i teraz sam chciałby udzielać pokuty i rozgrzeszenia poszczególnym jej uczestnikom. ©

BOŻE CIAŁO – reż. Jan Komasa. Prod. Polska 2019. Dystryb. Kino Świat. W kinach od 11 października.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [11 – 18 X]

1. Szczęśliwy Lazzaro



Komediodramat, reż. Alice Rohrwacher, Włochy 2018, Cinemax 2, 11 X, 22.20, 12 X, 14.40 „Święty idiota”, dziwne zakrzywienie czasoprzestrzeni i zmysłowy klimat, a do tego jeszcze kawał historii włoskiego kina – to wszystko autorka „Cudów” zamienia w cudowny koktajl, do którego wrzuca bardzo gorzką pigułkę, składającą się z grzechów głównych dzisiejszego kapitalizmu. Film otrzymał nagrodę za scenariusz w Cannes.

2. Tancerz



Dokumentalny, reż. Steven Cantor, Rosja/Ukraina/Wielka Brytania/USA 2016, TVP2, 15 X, 22.50 Dlaczego Siergiej

Potunin, będąc u szczytu swoich możliwości, postanowił rzucić balet? Film analizuje fenomen ukraińskiego tancerza, najmłodszego solisty londyńskiego Royal Ballet w całej jego historii. Z archiwaliów i głosów współczesnych wyłania się skomplikowany portret artysty, który mimo sukcesów ciągle zmagał się z własnymi demonami.

3. Uniwersam Grochów



Dokumentalny, reż. Tomasz Knittel, Polska 2018, Ninateka Pod koniec 2016 r. zburzone zostało słynne warszawskie

centrum handlowe, powstałe jeszcze w latach 70. Z antropologiczną wnikliwością i humorem film śledzi ostatnie chwile Uniwersamu, który służył nie tylko tanim zakupom. Dla okolicznych mieszkańców, zwłaszcza starszego pokolenia, był także przyjaznym miejscem spotkań.

4. Najlepsze lata



Komediodramat, reż. Jonah Hill, USA 2018, CHILI Znany aktor („Moneyball”) w swoim reżyserkim debiucie składa

hołd dekadzie lat 90. XX w. Opowieść o chłopięcym dorastaniu na przedmieściach Los Angeles jest jednocześnie brutalna i czuła, przesycona zakazanymi używkami, ówczesną muzyką pop i gadżetami, wśród których prym wiodła deskorolka – symbol wolności i buntu.

JAN

Klata:

Echosonda

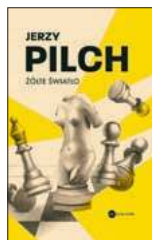


PONOĆ JEST TAK, ŻE LITOŚCIWIE NAM PANUJĄCY W NAS SIĘ WSŁUCHUJĄ – MAJĄ DO TEGO NARZĘDZIA – BADAJĄ NASTROJE I KOMPILUJĄ LĘKI, ABY NASTĘPNIE APLIKOWAĆ JE NAM W FORMIE PROPAGANDY. PONOĆ JEST TAK, ŻE TO DZIAŁA, ŻE RZĄDZĄCY NIE MAJĄ Z KIM PRZEGRAĆ, TYLKO ZE SOBĄ. Dawno, dawno temu było odrobinkę inaczej: władca w przebraniu wychodzi na ulicę, na targ, podsłuchuje, co się o nim mówi, co mają do powiedzenia szarzy poddani, aby następnie – powróciwszy do pałacu i zrzuciwszy łańchmany – dogadzać poddanym, zmuszając i sumiennie realizować ich postulaty, kierując się mądrością ludu. XXI wiek dostarcza narzędzia pozwalające prezesowi nie wychodzić z ujutnego gabinetu, wszystko ma podane na tacy, do wyboru do koloru, w formie tęczyowych słupków. Największy lęk i przerażenie budzi obecnie potwór „eldżibiti”, więc w ten benek bije się do imentu, stymulując strach i poczucie zagrożenia – jakieś zagrożenie musi być, wszak potencjał islamskiego terroryzmu wysadzających się w naszych kościołach muzułmańskich dzieci nieco się wyczerpał. Ale za to potwór „eldżibiti” może porwać naszą działkę, naszych milusińskich – przyszłość narodu, i to się dla sondażu litościwie nam panujących bardzo dobrze składa, tam uderzy propaganda.

Opozycji dobrze w opozycji, wikt i opierunek się znajdzie, innego końca świata nie będzie. Polski trochę szkoda, ale widziały gały, co brały, na pochyłe drzewo i Salomon nie naleje. Wsłuchujemy się w rewelacje zakłète w dobitnych przysłowiach i melodyjnych przyspiewkach prapolskich Polek i Polaków, albowiem nie bez kozery przetrwały złe i dobre czasy, bystro kształtując pokolenie za pokoleniem. Nie w ciemni bici Polacy chcą się bać „eldżibiti”, ale też chcą być dumni z braku wiz, nie chcą wiedzieć, co władza wyprawia, bo nade wszystkim chcą coś od państwa rządzących dostać, coś mieć z życia: pięćset plus zamiast „eldżibiti plus”. Dobry interes szarego człowieka to nie dać się oszwać, na resztę można przymknąć oko. Rachunek jest prosty jak budowa cepa, a jaki jest cep, każdy widzi. Oczywiście cepa nie wolno ujawniać z uwagi na „klasizm” i przeciwskuteczność, żeby nie podpaść chimerycznym symetrystom i nikogo, ale to nikogo – broń Boże – nie urazić. Ponieważ żyjemy w czasach wszechobecnej urazy, więc nie pozostaje nam nic innego jak permanentna narodowa echosonda. Echosonda w korkociagu. Niżej i niżej. ©

Lektor:

Pilch trzeci



■ Jerzy Pilch
ŻÓŁTE ŚWIATŁO
Wielka Literatura,
Warszawa 2019, ss. 160.

CO DWA TYGODNIE PILCH? Cóż poradzę, że autor „Innych rozkoszy” wydał w ostatnich miesiącach trzy książki i ta trzecia wydaje mi się najważniejsza, a na pewno jest najbardziej niespodziewana. Poczynając od pierwszego zdania pierwszego z dzieł: „Stoję w kuchennym oknie mojego warszawskiego mieszkania i liczę tych, co nie wytrzymały, liczę wisielców kołyszących się na balkonach po

drugiej stronie ulicy”. Ów minitraktak o samobójstwie ma w dodatku przewrotny finał, przypominający trochę opowiadanie mistrza Ambrose’a Bierce’a „Przy moście nad Sowim Potokiem” (kto ciekaw, niech poszuka, też jest o doznaniach ostatecznych). „Dzień wisielca” każe równocześnie zadać pytanie, kim jest właściwie narrator i jak się on ma do pojawiającego się w kolejnych rozdziałach Ariela

Poschukala, dobiegającego siedemdziesiątki potomka luterskiej rodziny z Sigły, niespełnionego artysty, który „pisał słabo, ale o pisaniu wiedział niejedno”. Byliby oni połówkami tej samej osoby? Ariel, dożgonie przez matkę zinfantylizowany, „był niezwykle irytującym dzieckiem; po trzydziestce czy po czterdziestce zawstydział zachowaniami”, a „z dzieciństwa wziął co najgorsze: ospałość, tępotę i niedorozwój”. Wybrał literaturę, ale pisarzem okazał się marnym i źle przyjętym przez krytykę, w dodatku marnotrawił surowiec, jakim były względnie ciekawe postacie jego krewnych. Może więc chodzi o krzywe zwierciadło zniekształcające własne rysy? Tryb narracji przechodzi z pierwszej osoby na trzecią, raz mowa o rodzinnej Sigle Ariela, innym razem o wiślańskim kościele...

Łączy ich na pewno postać ojca i sekret jego nieopowiedzianej historii wojennej służby w Wehrmachcie. Drugi ważny wątek też stanowi sekret (choć wszyscy o jego istnieniu wiedzą, a nawet komentują go w rozmowach telefonicznych): to związek i ślub sześćdziesięciokilkulatka z kobietą młodszą o lat czterdzieści. I jeszcze wątek trzeci, zaznaczony już na początku: śmierć, odchodzenie, zagadka zamykających się przestrzeni mózgu i dróg pamięci. Wszystko to spleta się, tworząc realistyczno-fantastyczną opowieść, obfitującą w dygresje i boczne odnogi, jak wplecione w dzieje późnej miłości „Jedyny arcydzieło starego dadaisty” (mowa o słynnej fotografii przedstawiającej starego Marcela Duchampa grającego w szachy z nagą Eve Babitz). Opowieść, w której groteska przechodzi w zniecka w serio. ©P

PAWEŁ

Bravo:

Diety i mity



PIĘĆDZIESIĄT PROCENT. TYLE MNIEJ WIĘCEJ „klasycznych” eksperymentów z psychologii społecznej nie dało się porządnie powtórzyć. Tzw. kryzys replikacyjny od kilku lat wstrząsa tym segmentem nauk społecznych, który najła-

twiej daje się sponiewierać przez media (nie bez winy głodnych łatwej sławy uczonych), polityków oraz bystrych wujków czekających na deser, żeby zabłysnąć: a wiecie, że w Ameryce ostatnio zbadali, że jak przejdzie ulicą blondynka, brunetka, ruda i łysa, to ośmiu mężczyzn na dziesięciu... i tak dalej w ten durny deseń. Jest jedna pociecha – tę „nienaukowość” demaskuje samo środowisko naukowe, jest to więc raczej dowód na wysokie morale nauki.

Własną wersję kryzysu replikacyjnego przechodzą też dietologia i higiena odżywiania. Najpierw rozpadła się wiara w to, że dieta śródziemnomorska o jedną trzecią zmniejsza ryzyko chorób układu krążenia. Pewnik ten długo wspierała analiza przeprowadzona najwyżej cioną metodą randomizowanego badania z grupą kontrolną. Chociaż badacze dostali do dyspozycji ogromny budżet, to nie mieli czasu i jak tylko zaczęły im wychodzić spodziewane i bardzo sympatyczne wyniki, przerwali robotę, opracowali dane na łapu-capu i puścili je w świat. Jak już opadł kurz i wszyscy zaopatrzyli swoje spiżarnie w zapas oliwy, orzechów i świeżych karczochów, to specjaliści od metodologii zaczęli przyglądać się danym i powynajdowali tyle dziur, że prestiżowe czasopismo naukowe, w którym ukazały się wyniki, wycofało artykuł i zmusiło autorów do przesłania „rozwodnionej” wersji. Szkoda tylko, że na tym zbiorze wadliwych danych już powstało paręset kolejnych szczegółowych studiów... Ilu ich autorów będzie skłonnych wycofać albo gruntownie przerobić swoje publikacje?

Ale to i tak drobiazg w porównaniu z awanturą po publikacji analizy, którą „New York Times” zapowiedział tymi słowami: „Naukowcy mówili, żeby jeść mniej czerwonego mięsa. Dziś niektórzy twierdzą, że to była zła rada”. Czternaścioro badaczy poddało analizie kilkadziesiąt artykułów dotyczących badań obejmujących w sumie 4 mln ludzi – i stwierdziło, że ryzyka zdrowotne jedzenia czerwonego mięsa są albo tak nikłe, że pomijalne, albo dają się odnieść do ogromnych grup ludzi – zatem nie da się ich przełożyć na indywidualne zalecenia żywieniowe. Większość tego, na czym dotychczas wspierała się zła opinia o mięsie, to badania obserwacyjne, o niższej wartości poznawczej, za to znacznie tańsze od randomizowanych z grupą kontrolną. A budżet gra tu kluczową rolę, bo miseria akademicka sprawia, że praktycznie jedynym źródłem solidnych pieniędzy na lepsze badania są granty od biznesu z danej branży, co z kolei podważa wiarygodność takiej roboty.

Wszystko, co dotyczy mięsa, zahacza o politycznie wybuchową ekologię oraz lekką panikę moralną sianą przez wegan. Dlatego długo jeszcze będzie wisiał dym nad tą „akademicką” dyskusją o tym, jakim językiem nauka może komunikować swoje niepewności i nieostrość konkluzji. Na pewno nie powinna nam mówić, jak żyć. Ani jak zjeść. Żeby uszanować serce i wątrobę, starczy po prostu jeść mniej i prościej, do tego nie potrzeba drogich badań. Starać się słuchać własnego ciała i nie robić wokół diety aż takiego cyrku, bo jeśli tak łatwo trafić na kardiologię, to powodów może być tuzin. Niezwiązanych z jedzeniem: np. kompulsywne czytanie sondaży, streszczonych do rozmiaru twitterowej notki.

Naukowcy raczej nie poskarżą się, że media nadużywają ich pracy, upraszczają topornie dane. Zresztą coraz uboższe, bo media zamawiają coraz tańsze badania – no, ale nikt nie będzie się wychylał, żeby nie stracić nawet tych ostatnich, marnych zleceń. Ten numer „Tygodnika” zaczyna się od rozmowy, w której Jarosław Flis mówi o zjawiskach społecznych, unikając kategorijskich stwierdzeń, a już zwłaszcza prognoz, jak przystało na rzetelnego badacza. Im bliżej wyborów, tym głośniejsza każda ze stron będzie chciała nam wbić do głowy korzystne dla siebie słupki. Idąc na polityczny bazar, lepiej zaufać sobie i własnemu apetytowi. Wszystko, co leży na tych straganach, jest mniej lub bardziej szkodliwe dla zdrowia.

© P



ROBERT LATAWIEC / ADOBE STOCK

*I jeszcze raz dynia. Przyznam, że choć niektóre jej odmiany dobrze się przechowują, to dla mnie jest to wybitnie sezonowa radość, niczym pomidory, którym już rzekłem „addio”, biorąc ostatnie z nich, zielone, na patelnię. Oprócz zup, sosów i gnocchi lubię dynię jako wypełniacz do ciast i placków. Opowiem wam o takim deserze, który trudno nam byłoby nazwać po polsku ciastem, choć piecze się go w tortownicy. Torta monferrina pochodzi z Monferrato, mało zdeptanego zakątka Piemontu. 3 **renety** obieramy i kroimy w kostkę, wkładamy do garnuszka z 40 g **cukru**, dusimy kwadrans. Również kwadrans gotujemy osobno 300 g miąższu **dyni** (tej zwykłej lub odmiany **delica**) w 100 ml **mleka** i 40 g **cukru**. Odcedzamy (dynia powinna dać się rozgnieść), łączymy z garścią namoczonych **rodzynek** i posiekanych **orzechów**, 50 g posiekanej **gorzkiej czekolady**, 50 g pokruszonych **herbatników typu amaretti**, łyżką **kakao**, **skórką z połówki cytryny**, 30 ml **rumu** i kapką **ekstraktu waniliowego**, na koniec wbijamy **jajko** i mieszamy. Przelewamy do tortownicy wyłożonej papierem do pieczenia tak, by ciasto miało 3 cm wysokości. Pieczemy w 160 stopniach ok. godziny.*

Nagroda Conrada – nominacje 2019



JUŻ PO RAZ PIĄTY ogłaszamy nominacje do Nagrody Conrada – wyjątkowego wyróżnienia literackiego, bo wspierającego pisarki i pisarzy po debiucie. Do tegorocznego finału zakwalifikowanych zostało pięć książek, które ukazały się w 2018 r. Laureatkę bądź laureata wyłonią jurorzy (którzy wcześniej wskazali pięć nominowanych książek), we współpracy z samymi czytelnikami, którzy mogą oddawać swoje głosy przez stronę internetową Festiwalu Conrada – waga głosów jury i publiczności rozłożona będzie po połowie. Kto zwycięży, dowiemy się ostatniego dnia tegorocznej edycji festiwalu (27 października) podczas uroczystej gali.

NAGRODA CONRADA jest brakującym ogniwem na mapie polskich wyróżnień, gdyż wspiera młodych twórców, którzy jeszcze nie weszli do szerokiego obiegu literackiego. Co roku w Polsce ukazuje się kilkadziesiąt debiutów literackich. Taka liczba jest przytłaczająca nawet dla osób

profesjonalnie związanych z rynkiem książki. Los debiutantek i debiutantów jest bardzo trudny, a prawdziwym wyzwaniem jest druga książka. Nagroda Conrada ma za zadanie ułatwić jej laureatom pracę nad kolejnym dziełem.

PATRONEM NAGRODY jest Joseph Conrad, jeden z najwybitniejszych pisarzy nowoczesnych, który rozpoczął swą międzynarodową karierę literacką po wyjeździe z Krakowa. Dla odmiany wyróżnieni twórcy przyjadą do Krakowa, a laureat nagrody będzie mógł skorzystać z programu rezydencyjnego Instytutu Książki, by w mieście Conrada pracować nad kolejnymi projektami literackimi. Sama nagroda wynosi 30 tysięcy złotych i została ufundowana przez Miasto Kraków, które od 2013 r. nosi tytuł Miasta Literatury UNESCO. Partnerami nagrody są Instytut Książki, Fundacja Tygodnika Powszechnego oraz Krakowskie Biuro Festiwalowe.



ARCH. PRYWATNE

OLGA HUND

(ur. 1991) jest pisarką. Laureatka Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza. Skończyła studia, ale nie pamięta, co i kiedy, za to na pamięć zna całą „Granice” Nałkowskiej i książkę o ziołach doniczkowych.



„Psy ras drobnych” to opowieść o depresji i wycofaniu z życia. Krótkie, poszarpane zapiski z kobiecego oddziału psychiatrycznego opowiadają o chorobie w sposób bezkompromisowy, jednocześnie przełamując – za sprawą pomysłowego i zabawnego języka – liczne stereotypy. Dlatego proza Hund jest jednocześnie zapisem intymnego doświadczenia, jak i skondensowaną panoramą międzyludzkich relacji.

KAPITUŁA NAGRODY:

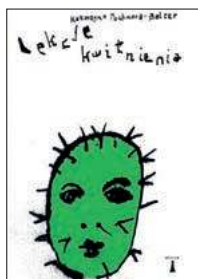
MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI (przewodniczący), URSZULA CHWAŁBA, INGA IWASIÓW,
GRZEGORZ JANKOWICZ, ZOFIA KRÓL, MICHAŁ NOGAŚ,
KRZYSZTOF KOEHLER, JOANNA SZULBORSKA-ŁUKASIEWICZ (sekretarz)



M. BALCER / MAT. PRASOWE

KATARZYNA POCHMARA-BALCER

(ur. 1984) jest pisarką i dziennikarką. Absolwentka filozofii i filologii węgierskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Publikowała w „Kulturze Liberalnej” i „Przeglądzie Powszechnym”.



Rekonstrukcja wydarzeń związanych z działalnością bardzo ekscentrycznej sekty to dla autorki „Lekcji kwitnienia” okazja do stworzenia mapy współczesnych lęków i tęsknot. Bohaterowie jej powieści pochodzą z zupełnie różnych światów, dlatego też inaczej opisują swoje doświadczenia. Wspólnym mianownikiem jest jednak dojmujące poczucie samotności, któremu za wszelką cenę próbują zaradzić.



MAT. PRASOWE

JOANNA SZYNDLER

jest reporterką, od 2012 r. redaktor naczelną miesięcznika „Podróż”. Turystykę studiowała w Polsce, Finlandii i Wietnamie. Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu. Związana z fundacją Strefa WolnoSłowa.



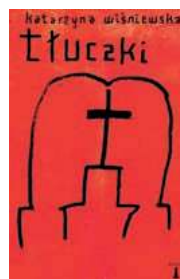
Kubę od wybrzeży USA dzieli 90 mil – tylko tyle. Albo aż tyle, jeśli próbuje się ucieczki z totalitarnego reżimu w poszukiwaniu lepszego życia. Szyndler w swojej reporterskiej książce opowiada o tych, którzy podjęli tę trudną, pełną wyrzeczeń decyzję. „Kuba-Miami. Ucieczki i powroty” to historia o ciężkim losie imigranta w obcym kraju – o życiu pełnym cierpienia, ale i tęsknoty.



BARTOSZ BOBKOWSKI / AG

KATARZYNA WIŚNIEWSKA

(ur. 1979) jest dziennikarką, pisarką i filozofką. Przez lata związana z „Gazetą Wyborczą”, gdzie często zajmowała się problematyką Kościoła w Polsce. Publikowała także w „Tygodniku Powszechnym”, „Znaku”, „W drodze” i „Azymucie”. Laureatka nagrody Matego Feniksa (2007).



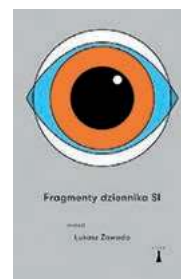
„Tłuczki” to niezwykle portret współczesnej rodziny – a jak wiemy od klasyka, tylko te nieszczęśliwe są ciekawe. Autorka idzie jednak na przekór schematom i stereotypom, skupiając się przede wszystkim na języku, który jest tu podstawowym narzędziem przemocy, nie tylko symbolicznej. To precyzyjna analiza mechanizmów toksycznych relacji – piękta, które dla wielu jest codziennością.



ARCH. PRYWATNE

ŁUKASZ ZAWADA

(ur. 1984) jest pisarzem i wydawcą (prowadzi Wydawnictwa Drugie). Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Za „Fragmenty dziennika SI” był nominowany do Paszportu „Polityki”, a także do Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza.



Ludzkosc od lat wyczekuje powstania sztucznej inteligencji, projektując na nią swoje lęki i nadzieje. Tymczasem Zawada w swojej zgryźliwej satyrze na współczesny świat sugeruje, że prześlepiłiśmy jej narodziny, bo nieludzka nadświadomość towarzyszy nam już od lat. Żyje w ukryciu, prowadzi wnikliwe obserwacje i robi skrzętne notatki. A teraz wszyscy możemy przejrzeć się w jej oczach.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**zawsze
razem**



TP

Już w następnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego” trzeci tegoroczny numer Magazynu Conrad, a w nim wybrani goście tegorocznej edycji Festiwalu Conrada, największego wydarzenia literackiego w Polsce i jednego z największych na świecie:

CHIMAMANDA NGOZI ADICHIE, ALMUDENA GRANDES, VERONIKA JANATKOVÁ, ANDREW SMITH

Zapraszamy do lektury i do Krakowa w dniach 21-27 października!



Festiwal Conrada otrzymał nagrodę EFFE 2019-2020
– jako jeden z pięciu równorzędnych najlepszych festiwali kulturalnych w Europie



PAŃSTWO SŁOŃCA

Arkadag nie mógł tak zwyczajnie wybrać się na rower, bo był Arkadagiem. W ślad za nim pedałowal zastęp ministrów i generałów. Reszta narodu uczestniczyła w tych przejażdżkach za pośrednictwem telewizorów.

MICHAŁ MILCZAREK Z TURKMENISTANU

Z TURKMENISTANEM NIGDY NIE WIESZ. RAZ WYDAJĄ WIZY, Zinnym razem nie. Turystyczne dostają tylko ci, którym przez cały czas będzie towarzyszył miejscowy przewodnik. Dziennikarskie? Zapomnijcie. To Korea Północna Azji Środkowej. Jedyną opcją są pięciodniowe tranzytówki na przejazd z Iranu do Uzbekistanu albo w przeciwnym kierunku. Pięć dni wolności w kraju bez wolności. Ale to też loteria. W tym roku i w zeszłym raczej je dają, niż nie dają, a w dwóch poprzednich było 50 na 50. Kryteriów nikt nie zna.

Ambasada znajduje się w bogatym i liberalnym północnym Teheranie. Złożyłem dokumenty i pojechałem w Iran. Po blisko trzech tygodniach wróciłem. Podałem w okienku paszport. Po godzi-

nie dostałem go z powrotem, z wizą. Była zielona i wyglądała jak dywan. Z radości prawie ją pocałowałem.

Granica była na przełęczy Howdan w górach Kopet-dag, 1700 metrów, powietrze przejrzyste i rześkie. Z tyłu zostawał Iran. Słońce, pustynie, portrety ajatollahów, bazary. Meszhed oplakiwał zamordowanego pod Karbalą imama Husajna, jakby to było wczoraj.

W budce za graniczną bramą dyżurował młody żołnierz – ogolony i z lekka przyszczyty. Dałem mu paszport, a on przepisał dane do grubego kajetu A4 w kratkę ze zrobionymi od linijki rządami rubryk. Wtedy poczułem się prawie w domu. Jak na granicy z byłym ZSRR w każdym razie. Gdzieś



Aszchabad, 2016 r.

w Szehyni na Ukrainie czy Brześciu na Białorusi. Bardziej w Brześciu, bo wszystko jest bardziej serio. A tu było jeszcze bardziej. Bardziej bardziej. Jakby Sojuz wciąż istniał.

Zeszytyzacja zakończona, można było iść dalej. Nad wejściem do terminalu wisiał wielki portret Gurbanguły Berdimuchamedowa, drugiego prezydenta Turkmenistanu, noszącego tytuł Arkadag – „Opiekun Narodu”. Prezydent pozował z dobrotliwą miną na tle dywanu.

Musiałem zapłacić 14 dolarów podatku, zostałem odnotowany w kolejnym zeszycie i zeskanowano mi po kolei wszystkie dziesięć palców.

Wreszcie celnicy. Mieli złote zęby, mimo że Saparmurat Nijazow, pierwszy prezydent Turkmenistanu, znany pod przydomkiem Turkmenbasza, czyli „Ojciec Turkmenów”, zabronił niegdyś posiadania złotych zębów. Złoto zarezerwował dla własnych pomników, a naród powinien mieć zęby białe. Przy Arkadagu można nosić i białe, i złote. Wolność.

– Jak masz na imię? – zapytali po rosyjsku.

– Michaił.

– Michaił Gorbaczow, znasz takiego?

– No ba.

– Skąd jesteś, Michaił?

– Z Polski.

– Zaraz, we Wspólnocie Niepodległych Państw was nie ma, ale w Warszawskim Dogoworze byliście, prawda?

– Prawda, panie celniku.

A nie mówiłem, że prawie jak w domu? Zainteresowali się jeszcze, czy przewożę narkotyki, broń lub jadowite zwierzęta, ale bardziej dla jaj niż z przekonania. Trochę pogrzebali w plecaku, lecz niegłęboko, pokartkowali z nudów przewodnik po Iranie – i tyle.

– No, Misza, to wszystko. Witamy w Turkmenistanie. Powodzenia!

Wyszedłem na zewnątrz. Z tamtej strony też wisiał Berdimuchamedow. I witał, i żegnał – dobre maniery oraz symetria. Ubrane w barwne suknie i chusty Turkmenki ładowały

do autobusu worki z irańskimi oraz tureckimi kosmetykami na handel. W środku grało disco turkmeno śpiewane koślawym rosyjskim. Poborowi zamiatali czysty asfalt, a starszy rangą rozkazywał i sprawdzał, czy robią to należycie. Formy mieli radzieckie. Takie same jak w Rosji albo w Mołdawii. Wiązane buty oraz pasek z klamrą zaciskany na brzuchu. Krawężnik i ułożone na piasku opony były pobielone. Zupełnie jak w Brześciu albo na Kamczatce. Dalej ciągnął się zarany pas ziemi i drut kolczasty. Normalnie późny Związek Sowiecki. Nie mogło być bardziej swojsko.

A więc dotarli aż tutaj – do północnych skłonów Kopet-dagu. Do granicy z Iranem. Tutaj kończył się ten kraj. Kraj-kontynent, kraj-planeta. Kraj, którego racją istnienia była geografia, drut kolczasty i wapno do bielenia.

Okno na słońce

W dole leżał Aszchabad – białe miasto słońca. Za Sowietów nie było tam w sumie niczego. Parusetysięczne miasto, prowincjonalna stolica prowincjonalnej republiki. Bloki, bloki, bloki – niewysokie i nijakie. Nawet socrealizmu niewiele, nawet teatr niezbyt, nawet siedziba władz nieokazała, nawet Lenin na pomniku mały i przygaszony. Tylko zieleń bujna. Słowem – kiszlak, wieś.

A potem wieczny i niewzruszony Sojuz się rozleciał. Turkmeni nie byli na to mentalnie przygotowani. W marcu 1991 r. we wszechzwiązkowym referendum za zachowaniem ZSRS zagłosowało w Turkmenistanie 97 proc. Najwięcej w całym kraju. Nijazow, pierwszy sekretarz miejscowego KC, też był zaskoczony. Ale dokonało się niemożliwe: ZSRS zniknęła, powstała próżnia. Lokalni sekretarze z dnia na dzień stali się prezydentami.

Turkmenbasza miał podwójnego farta. Został prezydentem kraju posiadającego czwarte na świecie złoża gazu ziemnego. Zaczął rządzić z fantazją i na całego. Bez hamulców i bez trzymanki. Zaczął budować Nowy Wspaniały Świat. Świat, jakiego świat nie widział.

⇒



⇒ Na przemian rozdziawiałem gębę albo śmiałem się sam do siebie. Nie mogłem uwierzyć, że to wszystko jest prawdą. Wszędzie stały białe budynki: ministerstwa, pałace, urzędy, bloki. Wszystkie były zbudowane z białego marmuru albo przynajmniej obklejone białym marmurem. Monumentalne, kiczowate, obwieszane flagami. Ze złotymi kopułami, kolumnami, lwami strzegącymi złotych drzwi – podobnie jak w Persepolis. Dopracowano każdy detal przestrzeni: latarnie, znaki drogowe, światła, barierki, przystanki autobusowe. Wszystko było w koronkach, wszędzie widniały miniaturki dywanów i ośmiornicopodobne gwiazdy Chana Oguza – legendarnego przodka Turkmenów. Przepych bez umiaru ciągnął się bez końca, na kilometr.

No i pomniki. Wyróżniały się trzy: Niepodległość, Neutralność i Konstytucja. Dwa pierwsze miały po 100 metrów wysokości, trzeci – 188. Każdego pilnowała warta honorowa w pozie figur woskowych. Na szczycie Neutralności wznosił się złoty Turkmenbasza. Miał rozwarłe ręce, jakby chciał przytulić cały kraj, a złote poły jego płaszcz powiewały. Zrozumiałem, dlaczego Turkmeni nazywają go Batmanem. Spoglądał na stworzone przez siebie miasto.

Ale to nie była chwała – to było zesłanie. Bo kiedyś ten pomnik stał w centrum, koło pałacu prezydenckiego i obracał się wraz ze słońcem. Rano Nijazow spoglądał na wschód i witał jutrenkę, w południe gapił się na południe, a wieczorem łaskawie pozwalał słońcu zejść. Arkadag kazał przenieść go na przedmieścia, ponieważ odtąd to on miał być bogiem. Co gorsza, Nijazowa przytwierdzili do pomnika na stałe. Turkmenbasza znieruchomiał, a słońce wciąż krążyło po niebie. Okazało się, że może wędrować bez niego. To był prawdziwy upadek i desakralizacja.

Pod kopułą

Nijazowowi nie wystarczyło hiperrzeczywiste miasto. Chciał więcej – chciał wszystko. Podarował swojemu narodowi księgę Ruchnamę, którą rzekomo zesłał mu Allah. Ponadto wcielił się w nią duch narodu turkmeńskiego. Miała przeprowadzić naród turkmeński do ziemi turkmenoobiecanej i wprowadzić do wieku złototurkmeńskiego. Być alfą i omegą. Nijazow poprosił Allaha, aby jej trzykrotna lektura gwarantowała pośmiertny transfer do raju. Allah ponoć dał zielone światło. Dlatego lud studiował ją gorliwie. Zresztą nie miał wyboru. Święta Ruchnama stała się głównym przedmiotem w szkole, na maturze, na studiach, podczas rozmowy o pracę i egzaminu na prawo jazdy. Wrzesień i sobota zostały nazwane jej imieniem.

W północnym Aszchabadzie stoi jej pomnik. Okładka jest zielono-różowa, litery złote. Stylistyka bajki o Różowej Panterze. Kiedyś otwierała się co wieczór wśród fontann i neonów. Po jednej stronie widniała stronica rękopisu Nijazowa, po drugiej czysta kartka służąca za ekran. Puszczano na niej filmy o wielkości Turkmenistanu. Dla własnego bezpieczeństwa wypadało je oglądać.

Cytaty z Ruchnamy ozdobiły także Meczety Ducha Turkmenbaszy, który Nijazow wznosił na własną pamiątkę w rodzinnej wsi Gypjak pod Aszchabadem. Pola, pola – i nagle coś *à la* Błękitny Meczet w Stambule. Wyrastał z melonowych pól jak halucynacja.

Na szosie obok stali ludzie udający, że tylko sobie stoją. Z małą słuchawką w uchu. Taksówkarz zatrzymał się i grzecznie zapytał, czy można odwiedzić meczet.

– Jedźcie na parking – powiedział agent. Parking znajdował się pod ziemią. Na jakieś 500 miejsc. Wszystkie były wolne.

Kopuła miała być największa na świecie i była. Poza tym osiem wejść, fontanny i cztery minarety po 91 metrów każdy – bo w dziewięćdziesiątym pierwszym Turkmenistanowi spadła z nieba niepodległość. Na minaretach i wewnątrz meczetu złotymi literami uwieczniono cytaty z Koranu i z Ruchnamy. Sławiono Mahometa oraz Turkmenbaszę. A na półkach do modlitw znajdował się nie tylko Koran, ale także Ruchnama. Tak więc wszystko jasne. Ojciec Turkmenów to nowy prorok, równy Mahometowi.

Wewnątrz było jak w brzuchu wieloryba, a nawet bardziej. Panowały symetria i cisza jak w geometrycznej utopii Platona. Prócz nas nie było nikogo. Dało się słyszeć tylko ćwierkanie ptaków, a na dywanie leżały piórka. Ptaki nie boją się dyktatorów. Spojrzeliśmy z taksjarem na siebie – i zaczęliśmy się śmiać.

Przejażdżka przez pustkę

Ale to wszystko już przeszłość. Teraz naród studiuje – co prawda z mniejszą pilnością – księgi Arkadaga. Napisał ich ponad czterdzieści. O ojczyźnie, koniach, leczniczych roślinach, sporcie, herbacie, wodzie, muzyce. Najnowszy bestseller to „Nauka Arkadaga – źródło zdrowia i natchnienia”. Berdymuchamedow to inny typ umysłu. Nijazow był prorokiem jednej księgi, a Berdymuchamedow to erudyta czterdziestu i czterech ksiąg. Do tego multitalent zdobywający najwyższe laury na wyścigach konnych i rajdach samochodowych, a także pieśniarz, raper, gimnastyk i cyklista.

Wieczorem w Aszchabadzie włączano podświetlenie. Białe miasto stawało się kolorowe, mieniło się jak tęcza. Żółć, zieleń, fiolet, róż, błękit – prawdziwa psychodelia i turboorient. Brałem taksówkę i kazałem się wieźć przed siebie. Waluta na czarnym rynku kosztowała pięć razy więcej niż w banku, więc można było jeździć do woli. Myślałem o Turkmenbaszy i Arkadagu. Musieli się czuć niedocenieni, musiała im doskwierać ta prowincjonalna szarość. Dlatego kiedy spadły im z nieba władza i pieniądze, zamienili swoje życie w miraż. Pragnęli pełnej nieważkości i niezależności od ziemskich praw. Lewitacji w świecie pięknym i prostym. Chcieli dorównać faraonom i szachom, chcieli być bogami. Mieć wszystko, co można mieć. I zyskać komfort nieograniczonego robienia zwykłych rzeczy: rapowania z wnukiem, jazdy na rowerze, ćwiczeń na siłowni, przytulania szczeniąt.

Lecz właśnie tych zwykłych czynności im odmówiono. Arkadag nie mógł tak zwyczajnie wybrać się na rower, bo był Arkadagiem. W ślad za nim pedałowal zastęp ministrów i generałów. Reszta narodu uczestniczyła w tych przejażdżkach za pośrednictwem telewizorów. Jego poddani musieli na każdym kroku składać mu wiernopoddańcze hołdy, a on musiał je przyjmować. I mieć wszystkich na oku, ponieważ nie mógł ufać nikomu. Był zakładnikiem samego siebie i systemu, który stworzył.

Aszchabadzki nadmiar i nieokiełznane samouwielbienie kryły w sobie wielką pustkę. Na ulicach brakowało ludzi. Tak jakby to wszystko było jedynie makietą. Wszędzie wisały ka-



RICHARD MANIN / ANZENBERGER / FORUM

Sprzedaż dywanów z Buchary na targu w Aszchabadzie

Wielbłąd bez odbłasku

Potem pojechałem na północ. Aszchabad zniknął i wszystko się zmieniło. Wokół była pustynia Kara-kum – na fest, na całego. Rosły krzaczaste saksauły i ciągnęły się piaszczyste wydmy. Pustka. Asfalt z każdym kilometrem rzedł i marniał, bo dobry asfalt jest tylko w stolicy. Prezydent tędy nie jeździł – inaczej wylaliby trzy pasy w każdą i byłoby lepiej niż między Frankfurt a Monachium. Aszchabad rozwił się jak halucynacja, wokół była tylko surowa rzeczywistość.

Turkmen mówił po rosyjsku słabo, ale kłął dobrze. Pruł po wybojach sto pięćdziesiąt: – Do ch... tych wielbłądów. W dzień to jeszcze, ale nocą zupełnie ich nie widać. Krowom, osłom i baranom świecą się w reflektorach oczy, a im nie. I weź tu jedź. Dlatego pocinam, póki widno.

To było terytorium pustki. Do żyznego i zamieszkałego Chorezmu na północy zostawało 500 kilometrów. Po drodze były tylko dwie wsie, kilka posterunków policji i czajchan.

Jerbent znajdował się na 168. kilometrze. Leżał w okrężniu piasków.

– Dawaj, brat, wysiadę – powiedziałem. – Popatrzę na *jerbentką* żyzną.

Nędza. Parterowe biedadomy między piaszczystymi wydmami, drzewo saksaułowe na opał, wychodki na pustyni, sterczące absurdalnie słupy elektryczne. Jednogarnbne dromadery trzymano na uwięzi albo za drutem kolczastym. Koryta na wodę były z przeciętych na pół żelaznych beczek. Wiatr niósł piasek i śmieci. Zewsząd czuć było pustkę, która anihilowała rzeczywistość. *Da, eto tiebie nie Aszchabad.*

Mieszkańców nie było widać. Czasami tylko ktoś mijał mnie na motorze.

– *Hände hoch!* – krzyknął, dość nieoczekiwanie, pierwszy jeździec.

Drugi był jeszcze bardziej zwięzły:

– Dokąd?!

mery. Wszędzie byli też policjanci oraz ogrodnicy. Ogrodnicy pielili chwasty, podlewali trawniki i pielęgnowali kwiaty. Kwiatów było wiele, bo wszyscy dyktatorzy je kochają. Natomiast policjanci w centrum stali co sto, a nawet co pięćdziesiąt metrów. Trwali na straży urzędów, pomników i fontann. Pilnowali pustych placów i skrzyżowań. Trzymali Turkmenistan za gardło.

Dlatego ludzie woleli za wiele nie chodzić i nie rozglądać się na boki zbyt frywolnie. Jeśli szli, to raczej do celu, a nie klucząc wedle fantazji. Bali się, że zostaną zatrzymani. Mogli zostać oskarżeni o zakłócanie geometrycznej utopii lub zamach na władzę. Restauracji czy knajp też nie było dużo. Internet prawie nie działał, anteny satelitarne kazali niedawno usunąć ze ścian, bo rzekomo „psują estetykę”. Pozostawało siedzenie w domu i telewizja państwowa, w której głośzono chwałę Arkadaga. Siermięga, nuda i strach.

W pobliżu pałacu prezydenckiego pustka i utopia się kondensowały. Tam nie było już nikogo. Tylko ogrodnicy, policja i wojsko. I cisza. Słysząc było śpiew ptaków oraz szum fontann. Nawet samochody raczej omijały to miejsce. Nie wolno było podejść zbyt blisko, nie wolno było patrzeć, nie wolno było nic. W powietrzu wisiał upał i niewidzialna ręka władzy.

Ja miałem to gdzieś, bo mogłem mieć gdzieś. Krążyłem wokół pałacu Arkadaga. Jeśli zbliżałem się za bardzo, kazali mi przejść na drugą stronę ulicy lub skrócić w bok. A potem szli za mną, sprawdzając, czy idę w stosownej odległości. Gorzej było z fotografowaniem. Zatrzymali mnie za nie trzy razy. Kazali przełączać aparat na tryb przeglądu zdjęć. Brali go do ręki i kasowali te, na których widać było – choćby minimalnie i zza drzew – pałac Arkadaga albo złoty pomnik Turkmenbasy. Widać było, że są w tym wprawieni. Wszystko przebiegało spokojnie, bez nerwów.

Trochę Dubaj, trochę Mińsk, a trochę Pjongjang. Miasto jednej prawdy.

⇒ Sam nie wiedziałem dokąd. Ale szedłem. Nic więcej mieszkańcy Jerbentu mi nie powiedzieli. Siedzący na progu chłopak tylko machnął ręką, kiedy zapytałem go, gdzie jest sklep. A kobieta trwająca beczynnie między ścianą a wydumą na moje „*zdrawstwujcie*” ograniczyła się do niemego kiwnięcia głową. Wielbłądy zaś ryczały dziko, gdy się zbliżałem. Pomyślałem, że wystarczy Jerbentu.

O 100 kilometrów dalej leżała Darwaza. To był sam środek Turkmenistanu i pustki. Znajdowały się tam posterunek policji i czajchana. A także płonący krater. Z okrągłej dziury w ziemi ulatniał się gaz i palił jak kuchenka. Ponoć w każdej chwili może zgasnąć, ale jakoś nie gaśnie. Nocą lunę było widać na kilometry. Z wnętrza buchał żar, a nieliczni ludzie gapili się i pstrykali fotki. Było to dość surrealistyczne i idealnie pasowało do Turkmenistanu.

A jeszcze dalej nie było już nic. Rzadki saksauł, piasek i światło księżyca. I ślady zwierząt. Przecinały się, kluczyły i ginęły w ciemności. Wolność była tylko tutaj, w środku nicości.

Jak się żyje

Rano pojechałem w stronę Kuni Urgenczu. Ostatni odcinek drogi autobusem. To był już Chorezm. Pustynia zniknęła, pojawiły się pola z bawelną. I niezliczone kanały, którymi płynęła woda z Amu-darii. Droga wyglądała jak po bombardowaniu. Wokół leżały kołchozy, bo w Turkmenistanie, podobnie jak na Białorusi, kołchozy przetrwały. I było kołchozowo, arcykołchozowo wręcz. Kobiety wiozły zakupy w workach po ziemniakach. Jedna taszczyła kilka przewiązanych sznurem worów z pustymi butelkami z plastiku, żeby je sprzedać w mieście. Będą na wielbłądzi ajran. Przystanki nie istniały, ludzie wsiadali prosto z krzaków. Musieli się wciskać i ugniatać, bo autobus był zapchany.

W Kuni Urgenczu niewiele się zmieniło – nadal było kołchozowo. Tyle że bawelna się skończyła. Zapytałem taksiarza o hotel, a on zaprosił mnie do siebie. Powiedział, że pierwszy raz widzi cudzoziemca – prawdziwego, niesowieckiego, a zarazem mówiącego językiem Puszkina i Lenina.

Dawna stolica Chorezmu to był kiszlak aż do bólu. Mało asfaltu, dużo pyłu, parterowe domy i ani jednej otwartej restauracji. W centrum znajdował się bazar. Sprzedawano lepioszki, melony, arbuzy, miód i, jak wszędzie, chińskie barachło. Rozbitymi drogami jeździły rozbite samochody. A także naczepy zaprzężone w osły. Złota, marmuru ani koronkowych latarni nie było. Epoka wielkości i szczęścia chyba jeszcze się tu nie zaczęła.

Ruiny starego Urgenczu znajdowały się za miastem. Od XI do XIII w. był on stolicą Imperium Chorezmijskiego obejmującego większą część Azji Środkowej i Iranu. Państwo upadło na skutek najazdu Czyngis-chana w 1220 r. Niewiele przetrwało: kilka mauzoleów, z których sypały się cegły, oraz stojący samotnie minaret. Ziemia była przemieszana z odłamkami cegieł, resztkami ceramiki. Wszystko pomieszało się ze wszystkim. Także z kośćmi, bo miejscowi założyli tam cmentarz. Chowali swoich zmarłych na ruinach miasta. Na każdym grobie leżała drewniana drabina. Przynosili na nich ciała i pozostawiali. Być może w dniu sądu umarli będą mogli z nich skorzystać. Z grobu pewnie niełatwo wyjść, poza tym od długiego bezruchu można zdrętwieć. Otaczające mogiły płoty zżerała rdza. Dokonywał się rozpad substancji istnienia i mineralizacja form. Tylko gdzieś tam rosły kępy krzaków – pogrobowcy paszytujący na trupie miasta.

Wróciłem o zmroku. Podłoga, zgodnie ze środkowoazjatycką tradycją, była nakryta. Piław, chleb, owoce, słodycze. No i wódka. Dołączył do nas sąsiad.

– No i jak się wam żyje? – zapytałem.

– Szczerze?

– Szczerze.

– Nie ma o czym gadać. Do dupy się żyje. My ze wszystkim zdajemy sobie sprawę. Ale co możemy zrobić?

– Boicie się?

– Tak, najzwyczajniej w świecie się boimy. Sam widziałeś w Aszchabadzie – co kawałek policjant, wszędzie kamery, a ludzi nie ma. Po co wychodzić na ulicę, bezpieczniej siedzieć w domu, bo jeszcze ktoś się przyczepi.

– Oni też się was boją – przerwałem.

– Dokładnie! Jest coraz gorzej. Przykręcają śrubę. Moja mama i brat żony pracują w Turcji. Udało im się wyjechać, ale nie każdemu się udaje. Masz paszport, wizę, bilet na samolot – i po prostu mogą cię zawrócić na lotnisku. Nie wypuszczą – i tyle. Internet jest martwy, chodzi bardzo wolno, zresztą już prawie wszystkie strony zablokowali. Maila lepiej nie mieć – będą czytać listy, wezwą na policję, by pytać, z kim korespondujesz. Ciebie też powinienem zgłosić na policję, zameldować. Ale potem by mnie wypytывali, o czym rozmawialiśmy. Poza tym kryzys. Waluta padła, brakuje towaru w sklepach, ceny wysokie. Kołchoźnicy zarabiają miesięcznie 400 manatów, czyli jakieś 25 czarnorynkowych dolarów. I weź żyj za tyle. Dlatego mamy prośbę do ciebie: napisz, co tutaj widziałeś. Napisz całą prawdę. Tylko imiona zmień, dobra?

© MICHAŁ MILCZAREK

TP

JUŻ W NASTĘPNYM WYDANIU

„Tygodnika” dodatek Jazz Jantar

jj festiwal
jazz jantar

Zdobywcy trzech nagród Grammy Cécile McLorin Salvant, porywający publiczność trębacz CHRISTIAN SCOTT ATUNDE ADJUAH, uzbrojony w saksofon lider brytyjskiej inwazji jazzowej Shabaka Hutchings, a także jazz z Estonii, Bliskiego Wschodu i oczywiście z Trójmiasta – to tylko próbka programu nadchodzącej 23. edycji festiwalu Jazz Jantar. Od 25 października przez prawie miesiąc w gdańskim klubie Zak oklaskiwać będzie można przełamujących muzyczne stereotypy jazzowych odkrywców.

Więcej o festiwalu i jego bohaterach w następnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego”.

weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”

W PRENUMERACIE

4 wydania* **wraz z dostawą do domu**

za **69 zł**



* oferta dotyczy 4 kolejnych wydań specjalnych (numery 4/2019 i 1, 2, 3/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj okładki przedstawiają wydania archiwalne. Chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”,
ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY

SALES MANAGO
marketing automation



STANISŁAW

Mancewicz:

Olśnienie w kiosku



KANWĄ BĘDZIE NAM DZIŚ PRYWATNE WYDARZENIE w miejscu publicznym. Oto niedawno, pośród mnogości mikro zdarzeń dnia codziennego, pośród planktonu fabulek jałowych i pożywnych, tych, które natychmiast schną i giną bądź codziennie

zagnieżdżają się w głowach każdego z nas, zdarzyła się nam i taka, o czym za sekundę. Weszliśmy więc do kiosku, bo wiem co dzień to robimy, w celach skrajnie profesjonalnych. Są to bardzo zaawansowane wizyty, wypełnione obserwacjami, których głębia ostrości ustawiona jest podobnie jak w owym teleskopie Hubble'a, zaglądamy poza granice świata łatwo widzialnego.

Zważmy, że kioski, począwszy od ich scenografii, po wspomniane tu mikro zdarzenia, są miejscem do znakomitego orientowania się w świecie. Scenografia kiosku – popatrzymy – jest portretem estetycznym miejscowej kultury i świetnym wstępem do badań poważniejszych. Oczywiście przede wszystkim kiosk ogarnia granice każdych potrzeb, nazwijmy je natychmiastowymi. Bilet tramwajowy, woda brzożowa, salicylany, a w placówkach prowadzonych przez gibkich kierowników są to równo stojące bataliony flaszeczek z krzykliwie kolorowymi alkoholami, przeznaczonymi do picia szybko, gdy tylko zapali się w głowie zielone światło i zanim zbłyśnie czerwone.

Widzimy krzyżówki, bez których synapsy jak liść jesienny żółkną, literaturę historyczną bądź religijną, na poziomie zaawansowania dostępnej tu także literatury erotycznej. Naturalnie mamy i prasę, a popatrzenie, że cała prasa jest teraz w identycznych kolorach, nazwijmy je „powitalnymi”. To czerwienie, biele, niebieskość, plus marchewka z natką. Są i papierosy, a ich pudełka okazują się teraz przeciekawym atla-

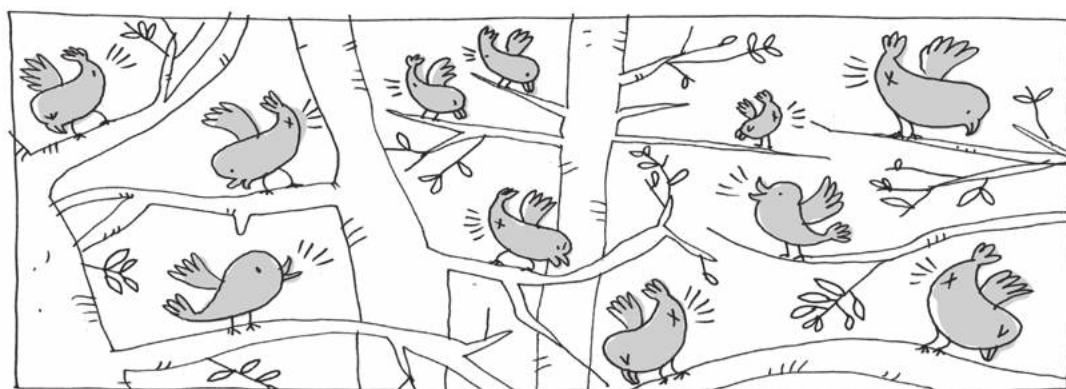
sem najstraszliwszych schorzeń czy też zbiorem ilustracji modelujących społeczeństwu zachowania przy zwłokach osób bliskich. Pudełka te mogą być pretekstem do dłuższego pobycia w kiosku, każde dziś może być nam pomocne w fabularyzowaniu szarości dnia i przyglądaniu się – dla przykładu – jakże genderowy balans jest fikcją, bowiem na obrazkach owych cierpią tylko mężczyźni. To im, z ich winy, umierają dzieci, rosną przeraźliwe guzy, wypadają zęby i tylko oni mają kłopoty z erekcją, co wydaje się fikcją, grubą przesadą i niesprawiedliwością.

Kiosk to też zapach, to niepowtarzalny koktajl zapachów mydła i zadrukowanego papieru – każdy wie, o czym tu mówimy. Kiosk to wreszcie klienci. Rzec wypada: krótkotrwali, ale bynajmniej nie niemi, albowiem jak to często w kiosku bywa, każdy ma tu coś do powiedzenia. Krótkotrwałość bycia zmusza do syntetyzowania myśli, wizyta w kiosku trwa około minuty, trzeba więc się postarać, by poglądy i opinie prezentować prędko i zwięźle. Należy znaleźć stosowne środki ekspresji, warto zatem przed przyjściem potrenować wokabularz, rytmikę i sztukę tworzenia małych komunikatów, niosących maksimum emocji i treści. Te komentarze są oczywiście reakcją na mikro zdarzenia, ot, przykładowe pytanie brzmi: „Jak można czytać tę szmatę?”, gdy współkolejko- wicz kupuje sobie gazetę, której z troski o światopogląd i moralność kota pytający nie użyłby do wyścielenia mu kuwety.

Wszystko to nas ciekawi niezmiernie, więc gdy pewien obywatel poczuł potrzebę wygłoszenia w kiosku krótkiego opisu krajobrazu ścielącego się wokół niego, przeszliśmy w tryb czujności dobermana. Opis ów był bardzo precyzyjny i krótki, był oralną fotką, szkolnym i konkretnym zapisem otoczenia. Mózg tego obywatela, jego centralny układ nerwowy pracowały bez szmerów i zaburzeń. Pręciki jego oczu bezbłędnie przekazały pod korę jego mózgowia sygnały prawdziwe, te zostały modelowo przetworzone i uruchomiły bez zgrzytów, kaslań i stękań aparat mowy. Rzekł ów z wyrażnym sarkazmem te słowa: „Czy pan wciąż jeszcze wierzy w to, co widzi?”. Pytanie to wbiło zgromadzonych w stan dezorientacji, skłoniło do natychmiastowych i panicznych konfrontacji, znudzeni się zaciekawili, zaciekawieni się zaciekawili jeszcze bardziej. Zapadła cisza. Wszyscyśmy się także zorientowali, że jest to pytanie w naszym kraju zasadne, jeśli nie najważniejsze.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



TWITTER PRZED WYBORAMI

Wojciech Fangor, M46, 1969, olej, płótno, 203 x 234 cm,
kolekcja Galerii Fibak, fot. Wojciech Woźniak

NAZYWAM SIĘ CZERWIEN

do 12.01.2020

KURATOR: BOGUSŁAW DEPTUŁA

Artyści:

Abakanowicz, Adach, Albers, Artymowski, Artymowska,
Barana, Barlik, Bażowska, Berlewi, Brzozowski,
Centkiewicz-Michalska, Czerniawski, Dobkowski, Eibisch, Fangor,
Fijałkowski, Gierowski, Gilewicz, Gliszczyński, Golińska, Jachtoma,
Janikowski, Jarnuszkiewicz, Jarodzki, Jastrzębska, Jung, Kacperska,
Kalinowska, Kałucki, Knuth, Kobzdej, Kokosiński, Kołodziejczyk,
Kowalewski, Kozera, Krasieński, Kuśmirowski, Lebenstein, Lenica,
Maciejowski, Madera, Markowski, Menkes, Modzelewski,
Moskowczenko, Nowacki, Nowicki, Nowosielski, Pawlak, Pągowski,
Piasecki, Reinert, Rietveld, Rogalski, Sandomierz, Sobocki,
Sosnowski, Stern, Susid, Świeszewski, The Krasnals, Tymoszewski,
Weiss, Wróblewski, Wyżykowski, Zemanek, Ziemiński

Prezentowane na wystawie prace pochodzą z kolekcji Artystów,
Galerii Kolekcji Fibak, Galerii Piekary, Galerii Starmach,
Zachęty – Narodowej Galerii Sztuki, kolekcji prywatnych między
innymi: Urszuli i Piotra Hofman, Grzegorza Króla, Rafała Labijaka,
Grzegorza Musiała, Krzysztofa Musiała, Katarzyny Orzeszek,
Marii i Marka Pileckich, Piotra Sarzyńskiego

fot. Lucyna Kolendo

KURATORKA: EMILIA ORZECZOWSKA

do 3.11.2019

ANNA KRÓLIKIEWICZ

OD SUFITU, OD DĘBU, OD MARCHWI

WIELOŚĆ PORZĄDKÓW. OD CYBISA DO STRZEMIŃSKIEGO. KOLEKCJA GRAŻYNY I JACKA ŁOZOWSKICH

do 26.01.2020

Jerzy Tichorzewski. W czerwonych światłach, olej na płótnie,
110 x 79 cm, 1956, fot. archiwum Jacka Łozowskiego

Artyści: Berdyszak, Brzozowski, Cybis, Drózd, Fangor,
Gieraga, Hałas, Janikowski, Jarema, Jurkiewicz, Kałucki,
Kamoji, Kantor, Kobzdej, Krzetuska, Lebenstein, Lenica, Marczyński,
Mazurkiewicz, Mikulski, Michałowska, Misiak, Modzelewski,
Nacht-Samborski, Niesiołowski, Nowosielski, Orbitowski,
Pawlak, Potworowski, Rudzka-Cybisowa, Sobczyk, Stażewski, Stern,
Studnicki, Strzemiński, Szpakowski, Tarasewicz, Tarasin,
Tichorzewski, Wiktor, Wolff, Ziemiński

Państwowa Galeria Sztuki,
Plac Zdrojowy 2
81-720 Sopot
www.pgs.pl

Wystawy czynne od wtorku do niedzieli w godzinach
11.00–19.00



PAŃSTWOWA GALERIA SZTUKI
PL-81-720 SOPOT, PLAC ZDROJOWY 2, tel.: (+48 58) 551 06 21, fax: 551 32 62, NIP 585-122-00-52, REGON 000277167

Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie


MAŁOPOLSKA

REKLAMA

DUŻA SCENA
08.11
10.11
13.11
14.11
15.11

Szekspir/Wyspiański

Hamlet

reżyseria Bartosz Szydłowski

PREMIERA 9 LISTOPADA 2019

Teatr im. J. Słowackiego
w Krakowie

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWODZTWA
MAŁOPOLSKIEGO


MAŁOPOLSKA

www.teatrwwkrakowie.pl